KTO ZYSKA, A KTO STRACI

Czy polski biznes da się wyprzedzić konkurentom w rozmowach z Rosją?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 44/704 26 PAŹDZIERNIKA–1 LISTOPADA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

Banderowcy ze Lwowa czczą swoich zbrodniarzy



NIEZWYKŁA HISTORIA NAJSŁYNNIEJSZEGO RUSINA – ANDY'EGO WARHOLA

Włodzimierz Czarzasty – nowy Palikot Tuska

AfD – partia, która budzi przerażenie

JAK POLSKA ZAREAGUJE NA ZMIANY W NIEMCZECH – PISZĄ PIOTR SEMKA I ŁUKASZ WARZECHA

Alice Weidel i Tino Chrupalla – liderzy niemieckiej AfD

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Trwa nabór na **Misję Polskiego Biznesu do Texasu**, liczba miejsc jest ograniczona! **ZAPRASZAMY!**

TEXAS

Planujesz skalowanie firmy, jesteś start-upem, szukasz inwestorów lub chcesz wprowadzić swoje produkty i usługi na rynek amerykański?

A może chcesz otworzyć oddział produkcyjny w USA?
Bez podatków, bez wysokich cen paliw i energii?

Ta misja jest dla Ciebie!

50% RABATU dla pierwszych 10 zgłoszeń na hasło: **wprost**

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK Solidarność · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl 03a9f32532



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polska szkoła odrealnienia

Na początek zagadka. Kto to powiedział? „Szczerze mówiąc, Rosja zachowuje się całkiem dobrze, jeśli chodzi o Ukrainę. Nie robi zbyt wiele […]. Nie posunęła się nawet w przybliżeniu tak daleko, jak mogła, i jestem za to wdzięczny". Cóż, dla łykaczy codziennej porcji prowojennej propagandy nad Wisłą sprawa musi być jasna: takie rzeczy mógł powiedzieć jedynie świadomy lub nieświadomy agent Kremla. Przecież od lat ogół Polaków ciągle słyszy o „pełnoskalowej wojnie" i o zbrodniarzu Putinie. Jak to zatem możliwe, że ktoś mógłby twierdzić, iż Rosja „zachowuje się całkiem dobrze" i „nie posunęła się nawet w przybliżeniu tak daleko, jak mogła"? Jedno jest pewne: takich słów nie mógł wypowiedzieć żaden polski ekspert, publicysta ani polityk. A więc kto? Oczywiście zdradził go styl: Donald Trump, prezydent USA i jednocześnie potencjalny twórca „Fortu Trump", który to Fort ma być w świadomości ogółu polskiej klasy rządzącej… zabezpieczeniem przed Rosją.

Ten sam amerykański przywódca kilka razy zdążył też w ostatnich dniach powiedzieć, że „Ukraina musi chcieć zakończenia tej wojny", że prezydent Zełenski wiele razy miał okazję to zrobić, ale z niej nie skorzystał. „Chcemy, żeby Zełenski zawarł porozumienie. Może to zrobić. Nadszedł czas, by Ukraina zakończyła tę wojnę" – oświadczył Trump. Jednocześnie USA zniosły znaczącą liczbę sankcji nałożonych wcześniej na Rosję i zaczęły sprowadzać stamtąd miliony litrów oleju napędowego.

Co się stało? I co z tego zrozumiała polska klasa polityczna?

Najprostsza jest odpowiedź na pierwsze pytanie. Donald Trump zmienił stanowisko wobec Moskwy, bo grunt zaczął mu się palić pod stopami. Dał się wciągnąć przez Izrael do z góry przegranej awantury na Bliskim Wschodzie, co doprowadziło do gwałtownego wzrostu cen energii na świecie i w samej Ameryce.

Wojna w Zatoce Perskiej uszczupliła też w znacznym stopniu amerykański arsenał. Krótko: Donald Trump zrozumiał, że nie da się prowadzić wojny na dwa fronty, i postanowił na poważnie zamknąć jeden z nich, na Ukrainie. Mógł to zrobić znacznie wcześniej, ale uległ wówczas presji jastrzębi prowojennych wokół siebie oraz namowom państw europejskich. Od samego początku, gdy został prezydentem, było bowiem pewne, że jedynym sposobem doprowadzenia do porozumienia na Ukrainie jest usunięcie ze stanowiska Zełenskiego. Wtedy jednak Trump się na to nie zdecydował.

Sprawa ma dwa aspekty: moralny i pragmatyczny. Oczywiście z tego pierwszego punktu widzenia to, co robią Amerykanie, jest, oględnie to ujmując, dość paskudne. Najpierw wykreowali ukraiński reżim po 2014 r., następnie zasilili go bronią i pieniędzmi, przygotowując do starcia z Rosją, a następnie od 2022 r. robili, co się tylko da, żeby Ukraina mogła wojnę toczyć. Nazywając to po imieniu: wykorzystali Ukraińców do własnej rozgrywki geopolitycznej zgodnie z zasadą, że przelewanie cudzej krwi jest najtańszą formą prowadzenia wojny. Dlatego Amerykanom nie przeszkadzały ani faktyczny autorytaryzm ekipy Zełenskiego, ani jego dyktatorskie zapędy, ani krzewiący się nacjonalizm. Teraz okazuje się, że Ukraina potrzebuje demokratycznych wyborów, a wojna musi się skończyć.

Aspekt pragmatyczny jest jasny: porozumienie z Rosją leży w żywotnym interesie USA i dlatego trzeba do niego doprowadzić. Najkrócej mówiąc, Stany Zjednoczone prowadzące z Rosją wojnę zastępczą (proxy war) się przeliczyły. Nie doceniły wcześniej siły Moskwy i teraz uznały, że pora ogłosić odwrót, tym bardziej że cenę ludzką za konflikt płacą Ukraińcy, a co się tyczy kosztów gospodarczych, Europejczycy. USA zachowały się teraz tak, jak musiały.

Pora na rzecz najsmutniejszą, czyli polską klasę polityczną. Na wszelki wypadek przypomnę: po 2022 r. rządzący wówczas politycy PiS twierdzili, że taki scenariusz, który właśnie się realizuje, czyli porzucenie Kijowa przez Waszyngton, nie może się w żadnym wypadku spełnić, bo… stanowiłoby to skazę na wizerunku Ameryki. Te mądrości głoszą cały czas. Jeszcze teraz powtarzają, że sankcje nałożone na Moskwę muszą pozostać bez zmian. To samo mówią politycy KO, zarzekając się, że pomoc finansowa i militarna dla Ukrainy nie może zostać ograniczona. Podobny poziom zrozumienia spraw geopolitycznych ma też prezydent Karol Nawrocki. „Stabilizacja sytuacji energetycznej nie powinna prowadzić do osłabienia presji na Rosję" – powiedział.

Szkoda, że wszyscy oni nie tłumaczą, w jaki to sposób można doprowadzić do „stabilizacji sytuacji energetycznej" bez wpuszczenia na rynek światowy surowców rosyjskich. Jak można wspierać ataki Ukrainy na rosyjskie rafinerie, skoro muszą one prowadzić do zmniejszenia podaży surowca, która i tak została drastycznie zmniejszona przez zamknięcie cieśniny Ormuz i ograniczenie transportu przez Morze Czerwone?

Przy takim poziomie odrealnienia Polski nie może spotkać nic dobrego. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
POLSKA PRAWICA PATRZY NA AFD
Jak Polska zareaguje na zmiany w Niemczech

19 ŁUKASZ WARZECHA
CZY AFD WRACA DO KORZENI UE?

KRAJ

22 KAROL GAC
RZĄD, KTÓRY ŚCIGA OPOZYCJĘ
Sprawa Marcina Romanowskiego

25 MARCIN PALADE
PREZYDENCKI PAKT SENACKI

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
WŁODZIMIERZ CZARZASTY – NOWY PALIKOT TUSKA

30 ROZMOWA Z BARTOSZEM MALEWSKIM
POLAK W POLSCE GOSPODARZEM?

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CHOCHOLI TANIEC Z MIGRANTAMI

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
CZAS ŻENADY
Ideologiczne szaleństwa Hollywood

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
HUCPA MA SWOJE GRANICE

38 PIOTR SEMKA
ANDY WARHOL – NASŁYNNIEJSZY RUSIN

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 MARIUSZ MUSZYŃSKI
ŚLUBOWANIE KREUJE SĘDZIEGO TK
Kto wybiera, a kto ustanawia sędziów Trybunału

48 MICHAŁ ADAM SZYMAŃSKI
TWIERDZA NIE DO ZDOBYCIA

50 MICHAŁ KRUPA
CIA – OPERACYJNE RAMIĘ PREZYDENTA

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
POLSKA W UNII EUROKOŚCIELNEJ

HISTORIA

56 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
ZWYCIĘZCÓW SIĘ NIE SĄDZI
W kręgu sojuszników Hitlera

ŚWIAT

60 OLIVIER BAULT
FRANCJA WYWRÓCI UNIJNY STOLIK
Paryż ogranicza rolę UE

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
BANDEROWCY ZE LWOWA CZCZĄ SWOICH ZBRODNIARZY

EKONOMIA

68 JAN FIEDORCZUK
DZIEŃ, W KTÓRYM POLUBIMY ROSJĘ?
Czy polski biznes da się wyprzedzić konkurentom w rozmowach z Moskwą?

71 JAN SOLECKI
TRUMP TANKUJE Z PUSTEGO DYSTRYBUTORA?

72 JACEK PRZYBYLSKI
WYŚCIGI W POWIETRZU

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 03a9f32532

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Tobias Schwarz/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zakupy warzyw i owoców w Kancelarii Prezydenta

Wicenaczelny portalu Onet inh. Ringier Axel Springer w Radiu Zet, redaktor Andrzej Stankiewicz, odkrył kolejną przestępczą działalność Prezydenta RP. Redaktor Stankiewicz (znawca rynku prostytutek w hotelu sopockim) odkrył bowiem, że Kancelaria Prezydenta zaplanowała zakupy warzyw i owoców do kuchni w ośrodkach prezydenckich na dwa lata do przodu.

Nie bardzo rozumiem, co jest „perwersyjnego" w zakupie marchwi czerwonej i fioletowej – uprawianej w Polsce, tak jak ponad 100 jej odmian. Podobnie zdziwił się redaktor, że zamawia się ziemniaki w AŻ pięciu odmianach („Nie wiedziałem, że tyle jest"). Informuję, że w Polsce w rejestrze COBORU ujęto 110–130 odmian ziemniaków uprawianych w Polsce…

Dla redaktora Stankiewicza to wszystko są zakupy egzotycznych warzyw i owoców, a szczególnie grzyby mun, które nie dość, że są uprawiane w Polsce, to jeszcze ich dziki odpowiednik powszechnie rośnie w polskich lasach. Dla redaktora Stankiewicza te grzyby to wyłącznie przypadłość kuchni chińskiej… Podobnie grzyby shimeji, które notabene także występują w lasach polskich. Egzotyczny i perwersyjny topinambur jest zaś uprawiany w Polsce od XVIII w., a sałata mizuna to nie wyłączność japońska, bo w Polsce uprawiana i bardziej znana jest jako musztardowiec japoński.

Nie lubię się znęcać, więc tylko się zdziwię: Skąd u redaktora Andrzeja Stankiewicza taka niechęć do polskich rolników? Oto wydziwia nad zakupami do kuchni prezydenckiej (z której w tym roku korzystał też król Szwecji i nie sądzę, by dobrze o naszej kuchni świadczyło podanie sparciałych ziemniaków…) – wydziwia nad zakupem brokułów bimi, czyli brokułu dzikiego, uprawianego chociażby w gospodarstwie rodziny D. w powiecie inowrocławskim na Kujawach… Jednym słowem: spożywanie polskich brokułów wspiera pracę mózgu i jelit, co pośrednio wpływa na obniżenie poziomu stresu, a więc uspokaja.

Sławomir Siwek,
były zastępca szefa Kancelarii Prezydenta RP, redaktor naczelny „Tygodnika Rolników Obserwator"

Pozdrowienia ze Szwajcarii

Chciałbym Państwa poinformować, że jestem ogólnie o liberalnych poglądach, czasem nawet lekko lewicowych, ale codziennie czytam również Państwa portal dorzeczy.pl. Właściwie stało się to pewnego rodzaju rutyną.

Tak właśnie wyobrażam sobie rzetelny, konserwatywny portal.

Pozdrawiam ze Szwajcarii
Adam Gebuca



„Episkopat ma za co przepraszać", ks. prof. Waldemar Rakocy CM, „DRz" nr 43/2026

W tygodniku „Do Rzeczy" nr 43/2026 przeczytałem artykuł ks. prof. Waldemara Rakocego CM, odnoszący się do Listu Episkopatu Polski z 12 marca 2026 r.

Dziękuję ks. Rakocemu za ten tekst, za obronę prawdy i ludu Bożego w Polsce i jednoznaczny stosunek do tego „kuriozum", którym był ten list. Takich kapłanów (a także w ogóle osób w życiu publicznym), czyli odważnych i bezkompromisowych, stojących po stronie prawdy, nam potrzeba.

Dziękuję również redakcji „Do Rzeczy" za odwagę poruszania spraw trudnych, niewygodnych, różnego rodzaju „tabu", a także za twarde stąpanie po ziemi i „nieodrywanie się od rzeczywistości" przy poruszaniu różnych tematów.

Pozdrawiam serdecznie
Tomasz Gajownik

eprasa.pl 03a9f32532

NA PIERWSZY OGIEŃ

Parasol nad Kołodziejczakiem



PIOTR SEMKA

Ponad dwa tygodnie temu Kanał Zero zaprezentował wypowiedzi dwóch kobiet, które były podwładnymi Michała Kołodziejczaka, wiceministra rolnictwa w rządzie Donalda Tuska. Kobiety oskarżyły go o stosowanie przemocy, agresję oraz nakłanianie do zażywania narkotyków w czasie zbliżeń intymnych.

Po pewnym czasie opowieściami o podobnym przestępczym zachowaniu podzieliły się z mediami kolejne dwie kobiety. Wybuchł skandal, w którego wyniku Kołodziejczak został zawieszony w prawach członka klubu Koalicji Obywatelskiej. Wiceministrem przestał być już w czerwcu 2025 r. – oficjalnie w wyniku różnic zdań z ministrem Czesławem Siekierskim.

Kołodziejczak odrzuca zarzuty o wykorzystywanie podwładnych. Twierdzi, że są to jedynie pomówienia, ale unika szczegółów. Kilka dni po wybuchu afery w sprawie Kołodziejczaka w roli jego obrońcy i przedstawiciela zaczął występować znany detektyw Krzysztof Rutkowski. Jego medialny show to dobry przykład na to, jak łatwo zmieniać klimat wokół osoby oskarżonej o poważne przestępstwa. Rutkowski w swoim stroju gwiazdy Bollywood, ze złotymi łańcuchami, czarnymi okularami i wypracowaną fryzurą szybko odciągnął uwagę od głównego bohatera skandalu. Zaczął przedstawiać swojego podopiecznego jako ofiarę. Zapowiedział wnioski do prokuratury o ściganie jego oskarżycielek, a Kanał Zero pozwał za rzekome kłamstwa na sumę 1 mln zł podwyższoną potem do 5 mln.

W sieci natychmiast zaroiło się od filmików wygenerowanych przez sztuczną inteligencję, w której duet Kołodziejczak – Rutkowski przedstawiany jest jako grupa tandetnych wykonawców disco polo. Wszystko to spowodowało, że sięgnięcie po Rutkowskiego zamieniło poważną i oburzającą sprawę w swoisty popkulturowy klip. W oczach wielu internautów były minister i znany detektyw za cenę bycia ikoną groteski stali się postaciami zabawnymi i budzącymi zaciekawienie. Tak dziś wyciąga się zagrożonego poważnymi oskarżeniami polityka z sytuacji kryzysowej. Współczesna komunikacja oparta na klipach internetowych generowanych przez AI doskonale ułatwia przeprowadzanie takiej operacji ratunkowej w wypadku kryzysu wizerunkowego.

Tyle że w całej sprawie jest jeszcze jeden ważny aspekt. Zrobienie ze sprawy Kołodziejczaka szopki zupełnie zepchnęło na dalszy plan podstawową kwestię. W jakim stopniu sięgnięcie po tak kontrowersyjną postać przez Donalda Tuska kompromituje samego premiera? I kolejne pytanie: Ile na temat domniemanych ekscesów Kołodziejczaka wiedział lider Koalicji 13 grudnia, gdy prawie rok temu doszło do odejścia Kołodziejczaka z jego funkcji?

Nie słychać głosu feministek, dla których sprawa powinna być przykładem wykorzystywania przewagi służbowej wobec podległych kobiet. I jeszcze jedno: tylko dziennikarka Kanału Zero zdołała znaleźć w budynku sejmowym Kołodziejczaka i zadawać mu pytania. Gdzie podziewają się wszystkie te dziennikarki, np. TVP w likwidacji, które potrafią ścigać polityków opozycji na długich korytarzach sejmowych? Wrażenie dziwnego parasola ochronnego nad Kołodziejczakiem nie słabnie. ©℗



FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

OSIEM LAT DLA MAJTCZAKA

Sąd w Piotrkowie Trybunalskim uznał Sebastiana Majtczaka za winnego zarzucanych mu czynów i skazał go na osiem lat pozbawienia wolności za spowodowanie śmiertelnego wypadku na autostradzie A1 we wrześniu 2023 r. Sąd uznał, że sprawca rozpędził BMW do ponad 300 km/h, stracił panowanie nad autem i staranował rodzinę jadącą osobową Kią. Trzy osoby zginęły w płomieniach. Osiem lat to maksymalna możliwa kara za spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. ©℗

ATAK NOŻOWNIKA W WARSZAWIE

37-letni obywatel Indii został w czwartek zatrzymany za atak z użyciem noża na 58-letniego obywatela Indii. Napastnik zaatakował swą ofiarę ok. południa na tyłach Hotelu Novotel w centrum Warszawy, po czym uciekł. W wyniku policyjnej obławy z użyciem psa tropiącego nożownik został zatrzymany tego samego dnia ok. godz. 16 na warszawskiej Woli. W momencie ujęcia Hindus zachowywał się agresywnie. Poszkodowany trafił do szpitala. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 03a9f32532



PŁYWANIE W KISIELU

Zbrodnia i głupota

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Ukraina pod rządami Wołodymyra Zełenskiego staje się podwójnym symbolem. Z jednej strony – bezprzykładnej militarnej sprawności i bohaterstwa. Z drugiej – skrajnej politycznej głupoty. Do pewnej chwili światu zachodniemu wygodnie było dostrzegać tylko ukraińskie bohaterstwo. Teraz przyszedł czas na ukraińską głupotę, pozwalającą się Zachodowi, perspektywicznie, zwolnić z wyrzutów sumienia, gdy przychodzi czas pogodzić się i na nowo dogadać z Putinem.

Trzeba bowiem nie tylko skrajnej podłości, co do tego nie ma dyskusji, lecz także skrajnej głupoty właśnie, żeby zrobić to, co zrobili lokalni politycy ze Lwowa: ogłosić rok 2027 Rokiem UPA, uhonorować szczególną uchwałą najbardziej bodaj zbrodniczego ze wszystkich jej zbrodniarzy, inspiratora i dowódcę rzezi wołyńskich Romana Szuchewycza, i jeszcze w odpowiedzi na krytykę zapowiedzieć budowę jego muzeum. I gdybyż mogli się jeszcze Ukraińcy tłumaczyć, że to jakiś wyskok nieodpowiedzialnej grupki skrajnych nacjonalistów! Ale po wszystkim, co Zełenski i jego poprzednicy zrobili dla gloryfikacji tego, co w historii ich narodu było najgorsze i najbardziej haniebne, te uchwały światnie się wpisują w działania całego państwa. W którym kultowi UPA, jeszcze kilkanaście lat temu mającemu znaczenie marginalne, nadano rangę mitu założycielskiego nowej, demokratycznej Ukrainy.

Cztery lata temu Rosja rozpoczęła „specjalną operację wojskową" pod hasłem konieczności „zdenazyfikowania" Ukrainy. Przez ten czas władze Ukrainy robią wszystko, by przekonać świat, że te oskarżenia wcale nie były wyssane z palca. Jakby Zełenski chciał na złość Putinowi Ukrainę naprawdę znazyfikować. Być może licząc, że pod czarno-czerwonymi sztandarami zdoła swój kraj zjednoczyć do wojny. I jakby nie pojmując, że coraz bardziej odbiera to mu współczucie świata, akurat w chwili gdy geopolityczne wiatry zmieniają kierunek i USA zaczynają dogadywać się z Rosją. ©℗

CZYTAJ TEŻ „CZY UKRAIŃCY POPIERAJĄ ZEŁENSKIEGO?" NA STR. 64



#WARTO

Cynizm w służbie śmierci

JAN POSPIESZALSKI

20 października, sześć lat po wyroku TK przywracającym prawo do życia dzieciom, u których w okresie prenatalnym podejrzewa się wady rozwojowe, Sejm przegłosował dwie ustawy. Jedna (druki 611, 3202 i 3202-A), uchylająca karalność za podżeganie i pomocnictwo w aborcji, przeszła tylko czterema głosami, drugą, przywracającą aborcję eugeniczną (druki 223, 3202, 3202-A), przegłosowano: 233 za, 203 przeciw.

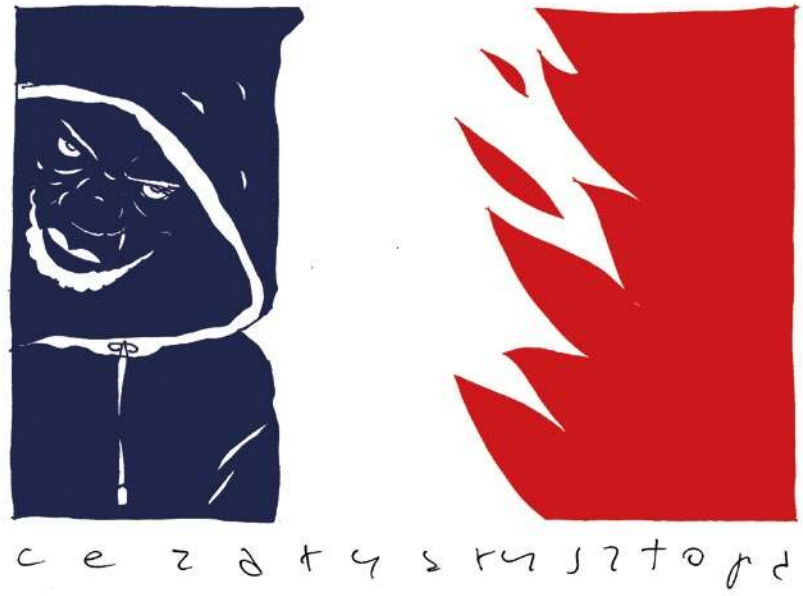
W ostatnich 35 latach wszystkie najważniejsze argumenty za życiem zostały w Polsce wyartykułowane. Nie ma czynnego polityka, który by nie musiał się skonfrontować z miażdżącą siłą racji przedstawianych nie tylko przez obrońców życia, lecz także przez naukę, medycynę, psychologię. Pozostaje kwestia zimnej litery prawa, a co do tej też nie ma wątpliwości.

Po pierwsze, mamy do czynienia z próbą obalenia wyroków TK zwykłą ustawą (!). Po drugie, zapisy ustaw są rażąco sprzeczne z konstytucyjną gwarancją ochrony życia i zdrowia dziecka poczętego, a także obniżają poziom ochrony życia i zdrowia kobiet. Po trzecie, uderzają w wolność sumienia lekarzy (szpital, w którym lekarze próbowaliby skorzystać z klauzuli sumienia, może stracić kontrakt z NFZ). Donald Tusk jednak w swym cynizmie idzie dalej (nie oszukujmy się, żaden projekt poselski nie wchodzi pod głosowanie bez jego zgody). W kraju, gdzie na podstawie jednego zaświadczenia od psychiatry można dokonać aborcji, a obok Sejmu działają bezkarnie klinika aborcyjna i „abortomat", ustawa o ochronie życia jest praktycznie martwa. Rozpętanie na nowo tego sporu nie tylko odwraca uwagę od serii porażek Tuska, lecz także wrzuca kolejny zapalny temat prezydentowi.

Niezamierzonym przez Tuska efektem ubocznym głosowań jest ujawnienie postawy posłów opozycji, z których kilkunastu nie przyszło na głosowania, w tym 11 z PiS z Jarosławem Kaczyńskim. Zabrakło też Janusza Cieszyńskiego z Rozwoju+ i Lidera Nowej Nadziei, Sławomira Mentzena. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Wenecki autorytet



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Wojciech Sadurski, prawnik tak wybitny, że antypisowski – znaczy to jest jego podstawowa kompetencja – został członkiem Komisji Weneckiej, o której Tusk mówi, że wszystkie kraje jej słuchają. Stop. Nie będziemy się tu zatrzymywać nad tym, że Tusk kłamie, podobnie jak nad tym, czy Włodzimierz Czarzasty kuca w polu. Stop. Będzie tu krótko o autorytecie Sadurskiego jako profesora prawa i członka Komisji Weneckiej. Stop. W 2022 r., komentując napiętą sytuację na granicy polsko-białoruskiej, napisał na portalu X haniebnie: „Auschwitz 2022. Poland-Belarus border". Stop. Wtedy rządził PiS, więc intruzi wysłani przez Łukaszenkę i Putina do szturmowania naszej granicy byli biednymi ludźmi. Stop. Teraz jednak Sadurski chciałby zapomnieć o własnych słowach, więc napisał, że to nieprawda, że niczego takiego nie pisał, ale zapomniał usunąć wpis i internauci pokazali mu, że to jednak prawda. Stop. Wtedy wpis usunął i zmienił temat. Stop. Nie przesądzamy, czy omijacz prawdy Sadurski nadaje się do Komisji Weneckiej, ale jakby co, to do rządu Donalda Tuska wprost urodzony. Stop.

Myślałem, że policjantka, która w czasie głośnej interwencji wobec pana Piotra w biurze Adama Borowskiego zasiadała na ofierze i wykrzykiwała wulgarnie „Kładź się k....!", dostanie jakąś reprymendę, naganę, zawieszenie czy coś, ale okazało się, że komendant główny policji Boroń i jego szef minister Kierwiński napisali listy wspierające policję, że trudną mają pracę itd. Stop. W sumie dbają o tych, na których jeszcze mogą trochę polegać. Stop. Z młodości pamiętam cudownie przewrotne hasło: „Milicja, bijące serce partii!". Stop. Wiele musiało się zmienić, żeby zostało po staremu.

Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski (ten, co śpiewając „Międzynarodówkę", machał czerwonym krawatem) chce zamknięcia portalu X, bo jest tam ponoć dużo dezinformacji. Stop. Zamknąć trzeba z innego powodu, tam się pokazują treści, które użytkownicy konfrontują np. wypowiedź Macieja Berka, który chce być sędzią Trybunału Konstytucyjnego: „Nie rozmawiam, nie mam kontaktu z premierem. Ja naprawdę wiem, w jakiej roli ja teraz występuję", zestawiono z wypowiedzią premiera Tuska: „Jak wiecie, był moją prawą ręką, dziś nadal tak jest, jeżeli chodzi o egzekwowanie naszych planów". Stop. Ten X trzeba zamknąć! ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



GWIAZDOBZDUR

PAŃCIA KONTRA PAN AKTOR

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

Jakoś dyskusja o „Lalce", a raczej o dwóch „Lalkach", ominęła naszą rubrykę, a więc czas nadrobić. Przyjrzyjmy się okołolalkowym michałkom. Takim bezsprzecznie jest fragment wywiadu przeprowadzonego przez dziennikarkę Onetu z odtwórcą roli Stanisława Wokulskiego w filmie pełnometrażowym, Marcinem Dorocińskim. – Trochę muszę tak tutaj pana w takim razie pod włos, bo wie pan, że trochę się zmieniają te narracje i ten Staś Wokulski, którego panu tak żal, to teraz już czasami mówi się, że to wręcz red flag jest. Że on za bardzo osacza tę Izabelę, że to tak nie, no, że tak za bardzo ta obsesyjna miłość jest. No niezdrowe, no, że jest stalkerem – zauważyła prowadząca. – Dobrze, dobrze, to jeżeli on jest stalkerem, to kim jest Izabela? Blacharą? Nie, no chciałbym zapytać, no stalker to też nie jest miłe określenie, prawda? A jej zależy tylko na pieniądzach? – zauważył trzeźwo Dorociński, co wyraźnie wprowadziło dziennikarkę w konsternację. – No właśnie, ale czy zrobi wszystko dlatego, czyli jest blacharą czy nie? Leci na pieniądze i na furę? No właśnie, więc myślę, że to jest zbytnie spłycenie tematu. Ja myślę, że czy on jest nieuczciwy w tych uczuciach – powiedział aktor, wskazując na zupełnie inny aspekt historii. Komentarze internautów są bezlitosne: „Pozytywny przykład, jak aktor Dorociński rozmawia z pańcią dziennikarką"; „Ulala, co to tutaj się wydarzyło z osobą trzymającą mikrofon z kostką Onetu".



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

KŁÓTNIA PARAFIANEK

Lalkomania zawitała też do TVP Info w likwidacji. Tam dyskusję o produkcjach – serialu Netflixa oraz filmie Macieja Kawalskiego – odbyły Agnieszka Holland i Ilona Łepkowska. Wcale nie było miło, choć panie są raczej z „jednej parafii". Łepkowska zaznaczyła, że nie sprzeciwia się reinterpretowaniu klasyki, jednak jej zdaniem problem pojawia się wtedy, gdy twórcy zbyt mocno odchodzą od literackiego pierwowzoru. – Nikt nie mówi o tym, że nie można zrobić tego typu reinterpretacji „Lalki". My mamy zastrzeżenie do tego, że porównujemy dwie „Lalki" jakby to były dwie adaptacje „Lalki", dwie wizje „Lalki". Jedna to jest wizja „Lalki" Kawalskiego, a druga to jest jakaś wizja świata, który nie istnieje w większości. Już od połowy to w ogóle rozjeżdża się z książką – przekonywała scenarzystka. Zupełnie odmienne zdanie zaprezentowała Holland. Zaczęła przywoływać przykłady filmowców, którzy odważnie podchodzą do znanych konwencji. – Popatrz na „Faworytę", popatrz na Lanthimosa, popatrz na Tarantino – wyliczyła. – Ale to nie jest adaptacja literatury – odpowiedziała Łepkowska. – Ale to jest jakieś takie czepianie się – grzmiała Holland. – Nie jest czepianie, ja występuję z pozycji autora – oznajmiła scenarzystka. To jednak nie koniec. Jeszcze goręcej zrobiło się, gdy reżyserka „Zielonej granicy" poruszyła kwestię spadkobierców pisarzy i ich wpływu na ekranizacje literackich dzieł. – Mówicie o spadkobiercach Prusa, a spadkobierca Tyrmanda zabronił robić wierny film według powieści swego ojca. Spadkobiercy to często głupcy. Co by powiedział Prus, nie wiemy, chyba że uda się nam go przywołać. Ale dla mnie jest przede wszystkim ważne, czy to stawia pytania – mówiła Holland. – Ale można te same pytania stawiać, nie używając Izabeli Łęckiej, Stanisława Wokulskiego – skwitowała Ilona Łepkowska.

PROMOCJA NA POZIOMIE

W TVN mają nieco mniej ambitne problemy. Pod koniec sierpnia na antenie pojawiła się polska wersja brytyjskiego formatu „Taskmaster", czyli kolejnego programu z serii „celebryci robią różne rzeczy". Jak zareklamowano, „znane twarze show-biznesu mierzą się z absurdalnymi, a niekiedy wręcz niedorzecznymi zadaniami". W pierwszej edycji do rywalizacji stanęli m.in. Zofia Zborowska, Wiolka Walaszczyk, Rafał Rutkowski i Kazimierz Mazur. Program szybko zyskał aprobatę widzów, szczególnie występy Zborowskiej. Aktorka opublikowała jednak nagle oświadczenie, w którym z pełną powagą oświadczyła, że zamierza podjąć kroki prawne przeciwko stacji. Powodem ma być zadanie, którego przebieg widzowie zobaczą w jednym z odcinków. – Zdecydowałam się wydać to oświadczenie, ponieważ sytuacja związana z programem „Taskmaster" doszła do punktu, w którym muszę zareagować. Starałam się wpłynąć na produkcję i na stację TVN, aby jeden z tasków, który ma zostać wyemitowany w najbliższym odcinku, nie był pokazany – słyszymy. Dalej wyjaśniła, że zarejestrowane podczas nagrań wydarzenia mają stawiać ją w bardzo złym świetle. – Została w nim zarejestrowana sytuacja, która pokazuje moją osobę w sposób skrajnie kompromitujący. I mimo rozmów i moich próśb osoby odpowiedzialne uznały, że jest to moment niezwykle śmieszny i warty pokazania widzom. Nie mam więc wyjścia i w związku z emisją [...] zdecydowałam się pozwać TVN – ogłosiła. Nie trzeba być szczególnie rozgarniętym, aby spostrzec, że to ironiczna forma promocji. Jednak wielu internautów wyraziło krytyczne zdanie. „Ten program to totalna klapa, więc jakoś trzeba go wypromować. Szkoda, że w ten sposób", „Oj, ktoś ściemnia"; „Aktorstwo na miarę »Trudnych spraw«" – czytamy w komentarzach. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, musimy wam się przyznać: nie do końca lubimy jesień. Jest nam trudno powiedzieć to tak wprost, iż nie chcemy być posądzani o jakieś uprzedzenia czy nietolerancję, no ale nic nie poradzimy na to, że kiedy robi się ciemniej, to stajemy się bardziej drażliwi, smutni, czekamy na słońce (ale of kors z umiarkowanymi temperaturami) i ogólnie trudniej nam się żyje w tych fashystoffskich ciemnościach, a my przecież nie musimy bać się światła, iż nie mamy niczego do ukrycia.

I tak, wiecie, chodziliśmy tacy przybici przez tę aurę i niezadowoleni z siebie, iż nie chcieliśmy czuć tego, co czujemy, nawet pite litrami pumpkin latte nie pomagało, aż kiedyś w Internecie znaleźliśmy artykuł: „Jak rozpoznać autumn blues".

W pierwszej chwili pomyśleliśmy, iż chodzi o pewien nowy gatunek muzyczny, a znacie nas, jesteśmy niesamowicie otwarci na nowe trendy, więc postanowiliśmy sprawdzić i cóż, okazało się, że nie o muzykę chodzi, a o jesienny smutek, który okazuje się całkiem nieźle udokumentowaną przypadłością mentalną.

Zrozumieliśmy wtedy, iż tak naprawdę to, co przeżywamy, jest normalne i nie musimy się siebie ani swoich uczuć wstydzić. Dzięki temu żyjemy w większej akceptacji siebie, nie wyrzucamy sobie, iż nasze uczucia mogą komuś sprawić przykrość, a co więcej możemy się czuć moralnie lepsi od wąsatego janusza, który co najwyżej pomruczy: „znów ciemno jak w doopie" albo „znowu pada, Halyna, nie idzie wytrzymać" i w ogóle nie rozumie tego, co przeżywa.

Jednocześnie uważamy, iż skoro jest to zjawisko, które ma już nawet swoją angielską nazwę, to rząd powinien pomóc obywatelom w przetrwaniu jesieni, np. refinansując dostęp do Netflixa i skandynawskich kryminałów, rozdając wszystkim potrzebującym puchowe kocyki i wydając Bony Jesieniarza – do zrealizowania np. w sklepie z hand-made świecami sojowymi czy też w sklepach z żywnością organiczną, gdzie można kupić dynie na domowe pumpkin latte oraz fair trade przyprawy korzenne z kooperatywy rolniczej queer w Ameryce Południowej.

I na koniec, kochani, iżby było jasne: of kors nie odmawiamy takiemu przeciętnemu januszowi, że on naprawdę się wnerwia na to, iż o 16 jest ciemno, ciągle pada i jest zimniej niż w styczniu. Po prostu nie każdy ma na tyle świadomości, aby rozumieć, że przechodzi autumn blues. A my, odkąd to zrozumieliśmy, tym bardziej nie możemy doczekać się listopada.

A jak 1 listopada, to wiadomo – grobbing. Jedziecie pewnie w większości do małych ośrodków, iżby za cenę chodzenia po cmentarzu z osobami płodzącymi zebrać trochę słoików i parę stówek od babci. Jednocześnie nie możemy nie zauważyć, że samo pojęcie grobbingu weszło do mainstreamu i bywa używane nawet na Podkarpaciu, wobec czego czujemy się zmuszeni wprowadzić kilka nowych pojęć, aby zachować jednak pewną ekskluzywność doświadczenia kulturowego.

A zatem, jeżeli zdecydujecie się wyjechać, możecie zostać pionierami slow grobbingu w swojej okolicy. Wiecie, jak to zazwyczaj wygląda: wszyscy wsiadają do Passata, ojciec wnerwiony, bo korki pod cmentarzem, nie ma gdzie zaparkować, trzeba wszędzie szybko, żeby zostawić znicz, zanim ciotka postawi swój większy, słowem: wielki pośpiech od grobu do grobu.

Dlatego proponujemy podejście jakościowe, w którym nie stracicie focusu na swoje własne „ja". Chodząc po cmentarzu, wsłuchujcie się w siebie, czy wam nie zimno, czy buty nie uciskają, czy na pewno nie macie ochoty na watę cukrową albo popcorn po wyjściu za bramę. I pamiętajcie, iż nie trzeba koniecznie odwiedzać grobów, czasem wystarczy stanąć i odpoczywać, a osobom płodzącym zawsze możecie powiedzieć, iżby nie przeszkadzały, bo właśnie się modlicie.

A jeśli nie macie ochoty nigdzie jechać, możecie uprawiać post-grobbing. A więc zostać w wielkim ośrodku i zamiast na cmentarz, zająć się po prostu czymś innym, mając jednak w świadomości, iż robicie to zamiast tradycyjnego grobbingu – wtedy się będzie liczyć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Ja tylko odchrząknąłem

No, opowiadaj, Bogdan.
Co tu opowiadać, Jarku? Stanąłem w drzwiach, spojrzałem w dół, a tam Berek.

Ale popchnąłeś go w końcu?
No skąd. Tylko brzuch tak wypiąłem, o. Więc może tym brzuchem go tak przesunąłem lekko.

A on?
Drgawek jakichś dostał, chyba z nerwów. O, tak mu prawa powieka chodziła. A potem zemdlał.

Ale jak? Sam z siebie?
Prawie. Ja tylko odchrząknąłem. No, może jeszcze chuchnąłem na niego, o tak...

Dziękuję, nie musisz demonstrować. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Musimy robić tak politykę, aby nie dopuścić PiS-u do władzy".

ANDRZEJ DOMAŃSKI, *minister finansów i gospodarki, na portalu wyborcza.pl*

eprasa.pl 03a9f32532

dwaj panowie g

W resorcie spraw wewnętrznych trwają intensywne konsultacje, jak wyprowadzić Godzillę z Trybunału Konstytucyjnego. Jednocześnie prowadzone są poszukiwania odpowiednio rosłych funkcjonariuszy. I tu jest problem. Większa część funkcjonariuszy to przy Bogdanie Święczkowskim ludzie wzrostu i postury raczej nikczemnej. Godzilla mierzy bowiem dwa metry i jest zawodnikiem wagi ciężkiej. W dodatku wysportowanym byłym zawodnikiem judo. No i jeszcze tym się różni od innych szefów urzędów, że ma pod komendą swoją własną straż. A to też chłopy nieułomki. Nie dziwi nas, że w tej sytuacji lista ochotników nie jest zbyt długa.

Tymczasem po drugiej stronie ulicy, czyli w siedzibie MSZ: Radek rok przed wyborami postanowił wysłać osobie głowy państwa Karolowi Nawrockiemu kolejną listę kandydatów na ambasadorów. Ot, tak po prostu, bez żadnych wstępnych konsultacji z Dużym Pałacem. Dawniej nazywało się to „pisz na Berdyczów!".

Natomiast doszły nas też wieści o innym ciekawym posunięciu w resorcie Radka. Chodzi o powołanie „nowej" dyrektor kadr, która nie dosyć, że nie ma poświadczenia od służb, to ma jeszcze całkiem świeżą (zdaje się z grudnia 2025 r.) odmowę jego wydania. Od której to decyzji – mówią wiewiórki – nie zechciała się odwołać. Co nie przeszkodziło w jej powołaniu. Oczywiście uważamy tę wiadomość za całkowicie wyssaną z palca. To po prostu niemożliwe. Obecne MSZ to przecież miejsce, gdzie z olbrzymią surowością przestrzega się procedur i szanuje praworządność.

Wieści z koalicji. Podobno przywódca naszych zielonych braci, Władysław Kosiniak-Kamasz, zgodził się na to, żeby Michała Kamińskiego, znanego jako Misio Kamiński, wywalić ze stanowiska wicemarszałka Senatu. Egzekucja ma być wykonana wkrótce. Bezpośrednią przyczyną egzekucji mają być konszachty z PiS i Adamem Bielanem, ale tak naprawdę to Misiowi zbierało się od dawna. Zwłaszcza od wiosny, kiedy organizował Kosiniakowi-Kamaszowi



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 03a9f32532

wizytę w Waszyngtonie. Która miała być pozbawiona elementów PiS-owskich, ale nie była.

Dobra wiadomość: skoro zwalniają, to będą zatrudniać. Marszałek polny Kosiniak-Kamasz otrzymał zapewnienie od Większego Brata, czyli KO, że może sobie wstawić na miejsce Misia kogoś z Peezelu. Wieść niesie, że tym kimś mógłby być senator Jan Filip Libicki. Jak widać, dla byłych członków Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego najkrótsza droga do ważnych stanowisk prowadzi przez Peezel.

Skoro już mówimy o Senacie: tydzień temu ujawniliśmy pierwsze przymiarki do tego, jak będzie wyglądał pakt senacki na prawicy. Dziś możemy ujawnić, że ze strony Konfederacji, a dokładnie z jej części zwącej się Ruch Narodowy, do negocjacji w tej sprawie upoważniony został niejaki Michał Wawer. Nie żeby nas to jakoś specjalnie emocjonowało, ale po prostu taki już mamy zwyczaj: jak coś znajdziemy, to ujawniamy.

Wracając do Misia Kamińskiego – chyba zaczęło się jego legendowanie, czyli uwiarygodnianie jako nowego bezpartyjnego polityka Niezjednoczonej Prawicy. Skąd to wiemy? Cóż, słyszeliśmy, że na Forum Ekonomicznym w Krynicy ma w najbliższych dniach pojawić się jako prelegent na konferencji organizowanej przez EKR.

Nowo wybrany włodarz grodu Kraka powołał swoich zastępców. Wśród nich znalazł się Jan Hoffman. Człowiek, który jako inicjator referendum doprowadził do odwołania poprzedniego prezydenta, Aleksandra Miszalskiego. To wywołało niezmiernie gorący sprzeciw kandydatki centrolewu Piątkowskiej, która uznała to za przesadę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że sama Piątkowska oferowała wiceprezydenturę Hoffmanowi, gdyby to ona objęła rządy w Krakowie.

Àpropos referendów: nie znamy jeszcze w chwili, gdy piszemy te słowa, wyników referendum w Częstochowie, ale urzędującemu prezydentowi życzymy wszystkiego krakowskiego, nie tylko ze względu na stawiane mu zarzuty. Słyszeliśmy natomiast, że ugrzęzła sprawa referendum w Bytomiu. Za to całkiem prawdopodobne jest referendum w Gliwicach, co ciekawi nas niepomiernie, gdyż w Gliwicach prezydentem jest Katarzyna Kuczyńska-Budka, żona Borysława Budki.

Tak czy inaczej, referendalna fala płynie przez Polskę, co przypomina nam słynną wypowiedź Adama Hofmana z roku 2013, kiedy to na łamach „Rzepy" zapowiadał, że PiS zrobi Platformie „tysiąc Wietnamów". Wtedy to próba odwołania Hanki Bufetowej w Warszawie zakończyła się tak, jak się zakończyła. Dziś strategia tysiąca Wietnamów powróciła, ale jest z nią kłopot: wszędzie tam, gdzie za referendum gardłuje najgłośniej PiS, to jakoś wychodzi słabo. A tam, gdzie nie-PiS – wychodzi dobrze. Dziwne, prawda?

Francja płonie. Strasburg jest częścią Francji. A częścią Strasburga jest budynek Parlamentu Europejskiego (choć najbrzydszy w mieście). W tymże to gmachu po raz pierwszy w historii wprowadzono ostre restrykcje w kwestii wprowadzania gości. Stosowne e-maile w tej sprawie rozesłano w zaprzeszłą niedzielę, tuż przed sesją PE w Strasburgu. Zwyczajowo jest tak, że biuro każdego eurodepa może sobie występować o tyle przepustek, ile chce. No więc już nie.

Powyższa wiadomość brzmi niby neutralnie i rozsądnie. Ale właściwie dlaczego należałoby się w siedzibie europarlamentu obawiać tego, że np. europoseł X zaprosi posła Y? Cóż, chodzi o to, że mamy tam europosłów francuskich z tych partii, które nakręcają obecne zadymy. I ktoś skojarzył te fakty, więc uświadomił sobie, że mogą wprowadzić, pod pozorem zapraszania gości, zadymiarzy do gmachu w Strasburgu. Jesteśmy w szoku. Po raz pierwszy bowiem się okazało, że ktoś w administracji PE może posiadać mózg.

W Strasburgu zatem gmach nie zapłonął, ale za to bardzo gorąco było na tradycyjnej wspólnej kolacji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Awantura wybuchła między Patrykiem Jakim a Jadwigą Wiśniewską. Ta druga wyrzucała mu bowiem – podobnie jak Kalecie, Kanthakowi i innym – że choć niby są w PiS, to nadal w mediach społecznościowych używają logotypów Solidarnej Polski, Suwerennej Polski czy jak się tam teraz nazywają. Gorące dyskusje mają to do siebie, że eskalują. W tym przypadku również. Skończyło się bowiem na kłótni o to, dlaczego rzecznikiem EKR ciągle jest Niemiec.

W ubiegłym tygodniu miała w Strasburgu miejsce także rzecz straszliwa. Otóż faszyzm wkroczył na salony. Faszyzm miał twarz, ciało i głos Alice Weidel, szefowej Alternative für Deutschland, której wystąpienie zgromadziło dzikie tłumy. I to z wielu rozmaitych frakcji. Alice Weidel mówiła straszne rzeczy, np. że „Germany first!". Nas to w sumie nie martwi, bo to znaczy, że jak Germany first, to Europäische Union kaputt. Co do oskarżeń mediów centrolewu, że panią Weidel – czyli tym samym AfD – fetowali też polscy europarlamentarzyści: było czterech, ale nie klaskali.

Àpropos mediów centrolewu, a nawet lewolewu – gorąco rekomendujemy lekturę „Gazety Wyborczej". To nawet lepsze od drogich i trudno dostępnych środków psychoaktywnych. Szczególnie polecamy lekturę gromów rzucanych na Warszawski Festiwal Filmowy. Miał się na nim pojawić gwiazdor prawicy z USA, Ben Shapiro, którego koncern medialny DailyWire nie ogranicza się do prowadzenia popularnych kanałów internetowych, ale wszedł też w produkcję filmową. Otóż główny zarzut (oprócz rutynowych: homofob i transfob) to ten, że Żyd Shapiro popiera Izrael i nie lubi islamistów. Zarzuty „Wyborczej", rozumiecie? Shapiro się nie pojawił, ale gromy pozostały.

KRRiT zdecydowała się delegować do Rady do spraw Sztucznej Inteligencji Marzenę Paczuską. Nas to cieszy, bo wreszcie będziemy mogli obserwować starcie prawdziwej inteligencji ze sztuczną. A ponieważ znamy Paczkę dobrze, to niezmiernie współczujemy EjAjowi. Nie ma szans. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

BUDOWA PIERWSZEJ POLSKIEJ ELEKTROWNI ATOMOWEJ NABIERA TEMPA

Polskie Elektrownie Jądrowe (PEJ) do końca października wystąpią do wojewody pomorskiego z wnioskiem o pozwolenie na wstępne roboty budowlane pod przyszłą elektrownię – poinformował prezes PEJ Marek Woszczyk. – Będą to już głębokie wykopy pod przyszłe fundamenty reaktorów. Planujemy uzyskać to pozwolenie w 2027 r. i wtedy ruszyłyby te prace – oznajmił Woszczyk podczas ubiegłotygodniowego spotkania z dziennikarzami.

Na plaży w Choczewie niedaleko Łeby, w rejonie planowanej elektrowni jądrowej, pojawiła się już platforma WaveWalker 1 (na zdjęciu). Dzięki zaawansowanemu systemowi hydraulicznemu ośmionoga platforma potrafi sama „chodzić", aby prowadzić badania geologiczne i geotechniczne. Ich celem jest rozpoznanie dna morza pod przyszłe kanały systemu chłodzenia elektrowni atomowej. Woda do układu będzie bowiem pobierana prosto z morza, a po jej użyciu odprowadzana do Bałtyku. Dzięki temu nie będzie potrzeby budowy ogromnych chłodni kominowych.

Teren inwestycji obejmuje ponad 330 ha. Wykonawcą pierwszej polskiej elektrowni jądrowej, która powstanie w lokalizacji „Lubiatowo-Kopalino" na terenie gminy Choczewo, jest konsorcjum amerykańskich firm Westinghouse i Bechtel. W szczytowym momencie na budowie elektrowni ma pracować ponad 10 tys. osób.

Pierwszy reaktor AP1000 w gminie Choczewo ma zostać uruchomiony w roku 2036, a kolejne w latach 2037 i 2038. Łączna moc brutto elektrowni wyniesie 3750 MWe. ©℗

FOT. ANDRZEJ JACKOWSKI/PAP

eprasa.pl 03a9f32532



eprasa.pl 03a9f82532



Polska prawica patrzy



Piotr Semka

Prawa strona polskiej sceny politycznej już od dawna zauważała, że jej myślenie jest zbieżne z nastawieniem liderów Alternatywy dla Niemiec (AfD) w takich kwestiach jak sprzeciw wobec Zielonego Ładu i migracji z krajów Trzeciego Świata. Mocno wątpię jednak czy to wystarczy do budowania współpracy politycznej

Mimo bliskiego położenia Niemiec Polacy mają średnią wiedzę o tym kraju. Po części wywodzi się to z urazu historycznego, niechęci do samego brzmienia języka niemieckiego i wreszcie do dość dużej obojętności obu społeczeństw wobec siebie.

Wielokrotnie w czasie wizyt w Szczecinie – w mieście, od którego centrum do granicy z RFN jest jedynie 15 km – wiele osób mówiło mi, że nigdy za nieodległą granicą nie było. Podobnie jest w wypadku Berlina, który leży raptem 90 km od polskiej granicy. Ogromna większość mieszkańców niemieckiej stolicy nigdy w Polsce nie była.

To zainteresowanie zwykłych obywateli drugą stroną – delikatnie mówiąc, średnie – niwelowane było czy to w czasach NRD, czy to po 1990 r. oficjalną polityką zbliżenia czy nawet przyjaźni. Problem w tym, że tzw. przemysł pojednania skupił bardzo dużą część niemcoznawców czy polonoznawców po obu stronach granicy i jak każde przedsięwzięcie organizowane odgórnie wytworzył coś, co nazwano złośliwie kiczem pojednania.

Na dodatek informacje medialne w polskich mediach są w bardzo dużym stopniu zideologizowane. W przypadku mediów liberalnych w kierunku idealizowania establishmentu politycznego RFN przy jednoczesnym, wręcz przesadnym demonizowaniu Alternatywy dla Niemiec. Po prawej stronie bywa inaczej. Często przesadna jest wizja Niemiec chylących się ku upadkowi, ale z oceną AfD jest jeszcze

eprasa.pl 03a9f32532



Tino Chrupalla i Alice Weidel podczas kongresu partii AfD, Erfurt, 5 lipca 2026 r.
FOT. KARINA HESSLAND/REUTERS/FORUM

na AfD

większy kłopot. Po pierwsze, po prawej stronie brakuje wyspecjalizowanych grup analizujących niemiecką politykę, a w tym i największą partię antyestablishmentową. To z jednej strony wzmacnia obawy, ale z drugiej nie pozwala na zauważanie bardziej niepokojących, a znacznie bardziej subtelnych zjawisk w obozie alternatywy.

CO CIĘ NIE ZABIJE, TO CIĘ WZMOCNI

Zacznijmy od podstawowego skojarzenia, które nasuwa się polskiemu zwolennikowi prawej strony sceny politycznej. Nawet nieuprzedzony polski czytelnik relacji prasowych o sposobie traktowania AfD w Niemczech może dojść do wniosku, że jest to partia, która ma prawo uważać się za dyskryminowaną.

Ugrupowanie to znajduje się pod groźbą ciągłych wezwań do delegalizacji, podlega rozmaitym operacjom Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji i mimo sporej frakcji w Bundestagu wykluczone jest z udziału w prezydium tego gremium. Jest to jedyna duża niemiecka partia, która ma blokowany dostęp do rad medialnych, do rad programowych i nadzorczych mediów publicznych w całym państwie i poszczególnych landach. Co więcej, to wykluczenie dotyczy też mediów papierowych. Oprócz pisemka „Capital" nie sposób wskazać na jakikolwiek dziennik czy tygodnik, który można byłoby nawet w luźnym stopniu utożsamiać z AfD.

Te problemy w porównaniu z Polską idą jeszcze dalej, bo dotyczą też obu największych Kościołów chrześcijańskich – ewangelickiego i katolickiego. Na mocy wewnętrznych ustaleń w obu tych związkach wyznaniowych wierni aktywni w AfD są usuwani z rad parafialnych i diecezjalnych. Co więcej, np. w Saksonii-Anhalcie oba Kościoły brały udział w kampanii pośrednio wzywającej do niegłosowania w wyborach na AfD.

Trwająca od ponad 20 lat akcja izolowania AfD przyniosła wręcz odwrotny skutek. Partia, na której czele stoi dziś Alice Weidel, do perfekcji opanowała komunikację w Internecie oraz doskonałą organizację i wymianę informacji wśród swoich członków i sympatyków. Co więcej, w Polsce, gdzie występuje bardzo często wyobrażenie o AfD jako partii jakichś skinów czy neonazistów, nie zauważa się, jak silne to ugrupowanie ma oparcie w kręgach uniwersyteckich czy biznesowych. W tym sensie można powiedzieć, że istnieją jakieś inne „tajne" Niemcy, które w ciągu ostatnich dwóch dekad zbliżyły się do partii posługującej się kolorem błękitnym.

Ostatni sondaż w Bawarii wykazał, że poparcie dla tradycyjnie wiodącej w tym landzie CSU spadło do 36 proc. przy jednoczesnym rekordowym poziomie AfD – 21 proc. Jeszcze w styczniu tego roku sondaże pokazywały, że CSU miało 39 proc., a AfD 16 proc. To pokazuje, jak dynamiczny jest wzrost poparcia. Jak to często bywa z ugrupowaniami protestu, AfD przechodzi teraz od fazy wdzierania się na „pełnoprawną scenę polityczną", z całą typową dla tego procesu dezynwolturą, do fazy pewnego ucentrowienia i wygładzania kantów. I ewidentnie AfD czeka na ruchy tektoniczne w słabnącej CDU bądź w postaci przechodzenia jej polityków do AfD, bądź tworzenia gruntu pod przyszłą koalicję chadeków z niebieskimi. I już z obozu AfD płyną dwie deklaracje: porzucenia zamiarów wyjścia z Unii i pod różnymi warunkami odejścia od hasła: „Precz z euro!".

Gdy piszę ten tekst w środę 21 października liderka AfD, Alice Weidel, przedstawia w Parlamencie Europejskim w Strasburgu propozycje reformy Unii Europejskiej. Wśród pomysłów jest likwidacja bezpośrednich wyborów do Parlamentu Europejskiego – kandydaci mieliby być wybierani przez parlamenty krajowe, dalej: zmniejszenie komisji europejskiej a także zezwolenie Berlinowi na wycofanie się z niektórych aspektów wspólnej polityki unijnej i swobodę co do traktowania umowy z Schengen. Wszystko to oznacza, że AfD skupiona jest na razie na rozmiękczaniu CDU. Jeśli się to nie uda, to Alternatywa chce przejąć zarówno polityków, jak i wyborców obu partii chadeckich: CDU i CSU. Czy to jej się uda? Zobaczymy.

PRÓBY KONTAKTU

Na razie sukces AfD, czyli zbliżenie się do samodzielnej większości w Saksonii-Anhalcie, pokazuje, że sięganie po samodzielną większość staje się możliwe. A jeśli AfD uda się rozbić dotychczasowy front niechęci ze strony chadeków, to jest w stanie zdobyć władzę nawet w całych Niemczech po najbliższych wyborach do Bundestagu w 2029 r.

Jakie to może mieć konsekwencje dla Polski? Polska prawica już od dawna zauważała, że jej myślenie jest zbieżne z nastawieniem AfD w takich kwestiach jak sprzeciw wobec Zielonego Ładu i migracji z krajów Trzeciego Świata. Na fali tych podobieństw Sławomir Mentzen zadecydował, że ta część eurodeputowanych reprezentujących Konfederację, która wywodzi się z Nowej Nadziei, dołączy do frakcji Europa Suwerennych Narodów, w której znajduje się już AfD. Pozostała trójka, a po pewnym czasie czwórka konfederatów z Brukseli, związanych raczej z Krzysztofem Bosakiem, wolała inne ugrupowanie – Patrioci Europy. Decyzja ta ściągnęła na Mentzena w polskich mediach ogromną krytykę, ale niespecjalnie widać, by dała

eprasa.pl 03a9f32532

Mentzenowi jakieś specjalne korzyści. Przykładowo: nigdy np. nie doszło do żadnego spotkania lidera Konfederacji z Alice Weidel.

W AfD jest jeden obywatel RFN polskiego pochodzenia, Tomasz Froelich, i wyraźnie jest on skierowany przez AfD do kontaktów z Polską, ale jego lojalność jest jednostronna. Gdy np. Mentzen zdecydował się na urządzenie reparacyjnego show w Berlinie pod Bramą Brandenburską 1 sierpnia br., to Froelich ostro go skrytykował. „Taka forma upamiętnienia mnie obrzydza, bo wcale nie chodzi o pamięć, tylko kliki i lajki. To prowokacja, a nie żadne upamiętnienie". Froelich dodał jeszcze: „Kto wspomina ofiary we własnej stolicy, nie powinien tego robić w obcej stolicy". Ten przykład dobrze pokazuje, jak naiwne były nadzieje, że w AfD może powstać coś w rodzaju nawet polskiej frakcji, mogącej być pomostem między Alternatywą a polskimi partiami prawicowymi. Niewiele też wynikło z wizyty prof. Andrzeja Nowaka 8 października 2025 r. z AFD w Bundestagu na zaproszenie tegoż Tomasza Froelicha. Niemieccy deputowani grzecznie wysłuchali referatu krakowskiego naukowca, ale żadnych kolejnych debat potem już nie było.

Co charakterystyczne, kolejny kontakt polskiej prawicy z AfD miał miejsce dopiero w wykonaniu Grzegorza Brauna. W październiku br. Braun wraz z posłem Romanem Fritzem spotkał się z politykami AfD w miejscowości Lubmin w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Miejsce nie było chyba przypadkiem, bo właśnie w Lubminie na ląd wychodzą rury gazociągu Nord Stream. Nic dziwnego zatem, że Braun określił gazociąg będący wspólnym przedsięwzięciem Niemiec i Rosji jako wspaniały projekt, wezwał do jego ponownego uruchomienia i dodał, że „Polska powinna wziąć w nim udział i zostać jego „licytatorem".

NA PEWNO NIE PARTNER

To porównanie kontaktów Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna jest bardzo charakterystyczne. Konfederacja nie zdołała w ciągu ostatnich dwóch lat wypracować jakiejś bardziej obiecującej formy kontaktów z AfD. A w wypadku Brauna spotkanie okazało się obiecujące, ale za cenę zaakceptowania przez lidera Korony statusu kooperanta w dużym projekcie, którego głównymi graczami będą w przyszłości ponownie Rosja i Niemcy. Przy zaakceptowaniu tej pośledniej roli Braun został zaakceptowany. Oczywiście lider Korony będzie w swoim ulubionym stylu przedstawiać się jako sprawny i przebiegły obrońca polskiego interesu, ale trudno sobie wyobrazić, aby Polska w projekcie rury bałtyckiej miała mieć jakąkolwiek podmiotową i samodzielną rolę.

To oznacza, że tak naprawdę linia podziału po prawej stronie w kwestii AfD jest funkcją szerszego stosunku do Rosji. Czy zaakceptować imperialną i agresywną politykę Kremla i się do niej jakoś dostosować, ale jako partner z definicji słabszy i zdany na to, co Rosja uzna za stosowne w naszych relacjach, czy też trzymać się linii budowania frontu obrony przed rosyjską nieprzewidywalnością? Tyle że różnica pomiędzy stanowiskiem AfD a Grzegorza Brauna jest bardzo duża. AfD przyjęła doktrynę powrotu do XIX-wiecznej bismarckowskiej doktryny neoimperialnego paktu Niemiec z Rosją jako sojuszu silnego z silnym. Opiera się to myślenie na przekonaniu, że państwo niemieckie jest na tyle silne, iż może sobie pozwolić na taki sojusz bez uszczerbku dla swojej podmiotowości i suwerenności. Ważnym czynnikiem tego wyboru jest oczywiście chęć powrotu do „złotych" czasów, gdy gospodarka niemiecka rozwijała się w oparciu o relatywnie tanie źródła rosyjskich surowców przy jednoczesnym zredukowaniu wydatków na obronę.

W determinacji AfD do wskrzeszenia tego modelu dostrzec można typowo niemiecką mieszankę ideologizacji z niezauważaniem zagrożeń. To moim zdaniem polityka dla Niemiec zabójcza, bo narkotyk tanich surowców już w przeszłości spowolnił zdolność RFN do modernizacji i wzrostu innowacyjności, a dodatkowo „utuczył" rosyjski kompleks militarno-przemysłowy. Niemiecka AfD realizuje zatem polityczną utopię, wierząc, że Rosja nie zdecyduje się na kolejny krok i próby bezpośredniego podporządkowania sobie niemieckiej klasy politycznej. A przecież istnieje tradycja NRD jako państwa satelickiego, a przykłady Gerharda Schrödera zamienionego w rosyjskiego jurgieltnika pokazują, że niemieckich polityków można kupować tak samo jak każdy inny towar. Dlatego możemy twierdzić, że polityka AfD jest na dłuższą metę także w stosunku do niemieckiej racji stanu kolejną iluzją. Ale to, co w wypadku alternatywy za Odrą jest moim zdaniem nietrafną polityką budowania swojej siły, w wypadku Polski jest wstępem do finlandyzacji. Bo jeśli w Niemczech do władzy dojdzie AfD i stworzy silny sojusz z Rosją, to na pewno stanie się to ponad głowami Polski. I żadne kwieciste czy wypowiadane wykwintną polszczyzną tyrady Grzegorza Brauna nic w tej kwestii nie zmienią. Niemcy pod rządami AfD na dłuższą metę oznaczać będą zgodę Berlina bądź na ubezwłasnowolnienie krajów bałtyckich i Ukrainy bezpośrednio przez Moskwę, bądź w wypadku takich krajów jak Polska, Czechy, Słowacja czy Węgry na ich finlandyzację. A ta oznaczać będzie wpływ Rosji na poziom naszego potencjału militarnego, na ograniczenia w naszej polityce zagranicznej i de facto na zdanie się na łaskę lub niełaskę Kremla. To, że Braunowi będzie w tej sytuacji „wspaniale pachniał rosyjski gaz" (autentyczny cytat lidera Korony po spotkaniu z AfD w Lubminie), być może nabije kabzy paru jego współpracownikom, ale nie przysłuży się w żadnej mierze polskiej podmiotowości i suwerenności. Dlatego obserwowanie rozwoju wydarzeń w Niemczech wiązać się powinno z obserwowaniem stosunku niemieckich ugrupowań do planów Kremla.

Gdy Sławomir Mentzen decydował o wejściu jego partii w Brukseli do tej samej frakcji, w której jest AfD, odpowiadał na krytyki argumentem: „Wszystkie niemieckie partie są prorosyjskie". To prawda, ale mimo wszystko są różnice. Oczywiście Niemcy mogą być za pięć lat scenerią iście wagnerowskiego konfliktu między blokiem islamolewicy a obozem antyimigracyjnym pod wodzą AfD, ale to już temat na osobną analizę. Na razie gwarantem obecności Niemiec w NATO jest obecny, przeciwny AfD, establishment partyjny. Dlatego w tej rozgrywce przypatrujmy się uważnie rozwojowi wydarzeń, ale nie gódźmy się już dziś na rolę pionka łatwego do zbicia w wielkiej grze mocarstwowców z Berlina (ze słabymi kartami) z mocarstwowcami z Moskwy, którzy będą mieli nieporównanie silniejsze karty. Na razie twórzmy koalicję, która może stać się barierą przed rosyjską nieprzewidywalnością. Akceptacja dla dodatkowej nieprzewidywalności zza Odry to już zupełne szaleństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532

Alternatywa dla Unii Europejskiej



Łukasz Warzecha

Problem z AfD po umownej prawej stronie ma nie tylko PiS. Wielu konserwatywnych liderów opinii czy analityków zajmujących się Niemcami wyraża się na temat tego ugrupowania z bardzo dużą rezerwą. Podejście AfD przede wszystkim do kształtu UE jest jednak ważnym polem, na którym można z tym ugrupowaniem grać do jednej bramki

W grudniu 2021 r. w Warszawie odbył się zjazd przedstawicieli ugrupowań, z którymi Prawo i Sprawiedliwość gotowe było rozpocząć współpracę na rzecz zmian na poziomie europejskim. Do polskiej stolicy przyjechali wówczas m.in. Viktor Orbán, Santiago Abascal z hiszpańskiego Vox oraz Marine Le Pen ze Zjednoczenia Narodowego. W styczniu kolejne spotkanie odbyło się w Madrycie.

Kontynuacji inicjatywy już nie było. W lutym Rosja zaatakowała Ukrainę, a PiS uznał, że od współpracy na rzecz zmian w UE ważniejsza jest postawa skrajnej i bezwarunkowej proukraińskości, na którą nie można było liczyć ani ze strony Orbána, ani Le Pen (nieco się to od tamtego czasu w jej przypadku zmieniło).

WIELCY NIEOBECNI

Równie ciekawe jak to, kto na spotkaniach był, jest to, kogo nie zaproszono oraz gdzie politycznie uczestnicy zjazdu oraz nieobecni są dzisiaj. PiS stracił bezpowrotnie pozycję hegemona, rozpadł się i ma notowania w większości poniżej 20 proc. Jego znaczenie jest cieniem dawnej wielkości, a wydarzenia takie jak manifestacja pod Trybunałem Konstytucyjnym wywołują bardzo umiarkowane zainteresowanie.

Po plechach depcze mu Konfederacja, która na spotkania zaproszona nie była. Ta sama Konfederacja, której przedstawiciele są dzisiaj w jednej grupie politycznej – Patrioci dla Europy – z przedstawicielami Zjednoczenia Narodowego i Vox. Grupa ta, licząca 84 posłów, jest większa niż Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, do których należy PiS, którzy mają 78 europosłów (i to wliczając wciąż członków Rozwoju Plus, którzy nie za bardzo mają się gdzie podziać).

Viktora Orbána po przegranych wyborach na scenie nie ma. Losy jego partii pozostają niepewne i nie wiadomo, czy on sam powróci do polityki. Vox zaczyna rozmawiać z bardziej głównonurtową Partią Ludową o zawarciu porozumienia przed przyspieszonymi wyborami do Cortezów w Hiszpanii, które, mocno ryzykując, premier Pedro Sánchez zaplanował na 29 listopada. Zsumowane sondaże dają takiej koalicji spore szanse na przejęcie władzy. Vox ma dziś ok. 20 proc. poparcia, Partia Ludowa plasuje się tuż powyżej 30 proc., a socjaliści Sáncheza na poziomie 26 proc.

Zjednoczenie Narodowe nie wygrało wyborów parlamentarnych w 2024 r. Zadziałał „bezpiecznik", wbudowany we francuski system wyborczy. Marine Le Pen będzie jednak mogła wziąć udział w przyszłorocznych wyborach prezydenckich i na razie znacząco prowadzi w sondażach, które dają jej bardzo dużą przewagę nad resztą stawki w pierwszej turze. Liderka Zjednoczenia Narodowego zbiera ok. 35 proc. głosów wobec ok. 15 proc. Jeana-Luca Mélenchona, kandydata populistycznej lewicowej La France Insoumise. Na podobnym poziomie co 75-letni lewicowiec sytuują się inni potencjalni konkurenci Le Pen: centrysta Edouard Philippe, kandydat umiarkowanej lewicy Raphaël Glucksmann czy potencjalny rywal dla Philippe'a jako kandydat centrowy, Gabriel Attal.

MAKE GERMANY GREAT AGAIN!

Jednak największe realne sukcesy oraz bezapelacyjnie najlepsze notowania są udziałem wielkiego nieobecnego na konferencjach zainicjowanych przez PiS: Alternatywy dla Niemiec (Alternative für Deutschland – AfD). AfD pod przywództwem wygadanej, błyskotliwej, energicznej lesbijki Alice Weidel idzie jak burza, wygrywając ostatnio wybory w krajach związkowych: najpierw w Saksonii-Anhalcie, gdzie premierem może zostać młody, charyzmatyczny lider lokalnych struktur AfD Ulrich Siegmund, a następnie w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, wyprzedzając nawet bardzo tam popularną SPD (socjalistów). Nawet w skrajnie lewicowym Berlinie, który ma status odrębnego kraju związkowego, gdzie wybory odbywały się w tym samym momencie, AfD zajęła trzecie miejsce, zyskując blisko 8 punktów procentowych od poprzedniego rozdania.

Kontekst spotkania z grudnia 2021 r. nie jest bez znaczenia. Pokazuje bowiem, że część umownej polskiej prawicy ma z AfD znaczący problem, a nawet woli się do tego ugrupowania nie zbliżać. Dotyczyło to i nadal dotyczy PiS, który wpada nieustannie w pułapkę własnej retoryki politycznej i absurdalnie moralistycznego podejścia do spraw międzynarodowych. Jego przejawem było już zerwanie rozmów z potencjalnymi sojusznikami z innych państw UE tylko dlatego, że nie okazali się wystarczająco proukraińscy; gdy zaś chodzi o stosunek do AfD, PiS pada ofiarą własnej skrajnie antyniemieckiej retoryki. Ta retoryka dotyczy przede wszystkim rządzącej dzisiaj w Niemczech CDU/CSU i skrajnie niepopularnego Friedricha Merza – wrześniowy sondaż notował akceptację dla kanclerza na rekordowo niskim poziomie 11 proc. – jednak przekłada się to również na AfD. Musi,

eprasa.pl 03a9f32532



skoro oficjalna retoryka i program tej partii zakładają uczynienie Niemiec silniejszym państwem. Można by powiedzieć: Make Germany great again! – Machen wir Deutschland wieder groß!

Problem z AfD po umownej prawej stronie ma nie tylko PiS. Wielu konserwatywnych liderów opinii czy analityków zajmujących się Niemcami, takich jak Sebastian Meitz czy Michał Kuź, wyraża się na temat tego ugrupowania z bardzo dużą rezerwą. Ta rezerwa nie wynika jednak z akceptacji populistycznego przekazu, serwowanego przez obecny obóz władzy. Ten straszy rzekomo przenikającymi szeregi AfD rewizjonistycznymi sentymentami, podając jako dowód pojedyncze wypowiedzi niektórych działaczy tej partii. Żadna rewizja granic nie jest jednak w programie AfD zawarta, a retoryczne zabiegi samej Weidel, takie jak użycie określenia „Mitteldeutschland", czyli „środkowe Niemcy", dla określenia wschodnich regionów kraju, nie są dowodem na to, że AfD chciałaby zakwestionować zachodnią granicę Polski. Trudno to sobie zresztą wyobrazić w praktyce choćby z powodów prawnych czy praktycznych.

Obawa przed AfD, wyrażana przez konserwatywnych komentatorów i analityków, zasadza się raczej na swoistym paradoksie: uznają oni, że gdyby partia ta miała doprowadzić do obalenia „Brandmauer", czyli „zapory ogniowej" wokół siebie, i przejąć rządy w całym kraju (Saksonia-Anhalt może być w tym kierunku dużym krokiem), może to faktycznie doprowadzić do uwolnienia Niemiec z ograniczeń i problemów, wynikających m.in. z polityki europejskiej, a także z rozwiązań przyjętych przez samą niemiecką elitę polityczną, a mających dla Niemców fatalne skutki – takich jak choćby decyzja o czysto ideologicznie motywowanej rezygnacji z energii jądrowej. Przynajmniej niektóre z niemieckich elektrowni atomowych, wygaszonych w ostatnich latach, mogłyby być przecież uruchomione ponownie. Paradoksalne jest to, że ogólny kierunek, jaki wyznacza AfD, jeśli idzie o Unię Europejską i miejsce w niej krajów członkowskich, jest jak najbardziej zgodny z kierunkiem deklarowanym przez dużą część polskiej „prawicy", w tym również w dużej mierze przez PiS. Zarazem jednak może to oznaczać, że Niemcy staną się silniejsze i jeszcze bardziej asertywne, to zaś z kolei może być niekorzystne dla Polski. Mówiąc prościej: słabe Niemcy to korzyść dla Polski, ale zarazem ta słabość wynika z tych samych czynników, które potężnie osłabiają i nas.

WSPÓLNA WIZJA UE?

Obawy sceptyków zasadzają się na błędnej ocenie priorytetów. Dla Polski dzisiaj absolutnie najważniejszym problemem, poza kwestią bezpieczeństwa zewnętrznego, jest coraz bardziej sklerotyczny, do głębi socjalistyczny oraz oparty na chorych ideologiach sposób funkcjonowania Unii Europejskiej. Największym zagrożeniem dla polskiej pomyślności nie jest niemiecka dominacja, ale wejście w życie systemu ETS2 (w tej chwili trwa walka o jego dalsze odłożenie w czasie, a część posłów Europejskiej Partii Ludowej, wliczając w to wielu z KO i PSL, chce w ogóle skasowania ETS2) czy absurdalne obowiązki biurokratyczne dla firm, takie jak rozporządzenie opakowaniowe PPWR, a także rozwiązania uderzające w wolność słowa, jak akt o usługach cyfrowych (DSA). Tymczasem AfD w swoim programie proponuje radykalne odwrócenie kursu UE.

Pod koniec września delegacja tego ugrupowania przedstawiła w Brukseli program dla UE, zatytułowany „Sovereign Nations, Common Europe" („Suwerenne narody, wspólna Europa"). AfD zapowiada w nim zasadniczą zmianę, ale bez elementów, które wzbudzały wcześniej największe poruszenie, choć w żadnym formalnym programie nie były ujęte, takich jak wystąpienie ze strefy euro – co w praktyce sprawiłoby, że wspólna waluta w ogóle utraciłaby sens. O wystąpieniu w ogóle z UE nie mówiąc.

Program przewiduje częste korzystanie z instrumentu opt-outu, czyli wyłączenia się z unijnych reguł wszędzie tam, gdzie będzie to sprzeczne z niemieckim interesem. Polska podawana jest jako przykład kraju, który tego instrumentu używał. Niemcy miałyby wyłączyć się m.in. z polityki azylowej, jakiejkolwiek ewentualnej harmonizacji podatkowej, polityki bezpieczeństwa i obrony oraz programów, mających promować rzekome „wartości" lub „społeczeństwo obywatelskie".

Jest mowa o uwolnieniu wspólnego europejskiego rynku od szkodliwych, krępujących przedsiębiorczość regulacji, takich jak te związane z Zielonym Ładem (dobijającym m.in. niemiecki przemysł samochodowy) czy ESG (obowiązkowe raportowanie firm notowanych na giełdach w sprawach takich jak polityka równościowa czy „zielone" działania). Pojawia się postulat radykalnego wzmocnienia ochrony zewnętrznych granic UE – wszak kwestia imigracji to jeden z najsilniejszych moto-

eprasa.pl 03a9f32532



AfD po zdobyciu władzy może zacząć wykorzystywać instrumenty unijne do promowania niemieckich interesów

FOT. JOHN MACDOUGALL/AFP/EAST NEWS

rów napędowych poparcia dla AfD. Jest także miłe dla konserwatystów wsparcie dla zachodniej tradycji – chrześcijańskiego dziedzictwa, mimo że AfD ma do religijnego fundamentu stosunek momentami ambiwalentny.

Niemniej ważne są postulowane zmiany w konstrukcji instytucjonalnej UE. AfD sprzeciwia się dotychczasowej postaci Parlamentu Europejskiego, wybieranego bezpośrednio. Te wybory miałyby zostać zastąpione przez delegacje z parlamentów narodowych, czyli system przypominający ten znany ze Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy (której siedziba jest zresztą w Strasburgu, podobnie jak jedna z siedzib PE).

Naczelnym ciałem decyzyjnym miałaby się stać Rada Europejska, czyli zgromadzenie szefów państw i rządów, dziś pełniąca jedynie funkcję wyznaczania strategicznego kierunku. Komisja miałaby stracić swoją rolę unijnego quasirządu, zmieniając się w ciało wyłącznie administrujące wspólnotą. Dodatkowo konstytucje krajów członkowskich mają mieć z zasady bezwzględne pierwszeństwo przed ustawodawstwem unijnym.

W sferze finansów Niemcy miałyby skończyć z rolą największego płatnika netto, a Europejski Bank Centralny musiałby zerwać z promowaniem poprzez nacisk finansowy ideologicznych celów, takich jak zielona transformacja czy równościowe absurdy, ograniczając się do pilnowania wspólnej waluty w neutralny sposób. Chroniona ma być gotówka, a plany wprowadzenia cyfrowego euro mają zostać porzucone. Zamiast rozporządzenia MICA 2 o kryptowalutach ma istnieć konkurencja pomiędzy walutami, w której bitcoin i inne podobne rozwiązania mają brać swobodnie udział.

Ma zostać ogłoszone moratorium w sprawie dalszych unijnych regulacji, których i tak jest już zbyt wiele. Państwa mają swobodnie wybierać swój miks energetyczny, a wolność słowa ma być bezwzględnie chroniona przed zakusami unijnych cenzorów.

Tak urządzona Unia ma być federacją wolnych narodów. I choć termin „federalizacja" w połączeniu z UE może się źle kojarzyć w polskiej debacie, AfD ma na myśli to, czym faktycznie federacje są – zrzeszeniami organizmów o wielkiej autonomii. Przy tym nie chodzi tutaj oczywiście o stworzenie państwa federacyjnego, lecz o związek suwerennych krajów. W dużej mierze program ten przypomina postulaty powrotu UE do korzeni – strefy wspólnego wolnego handlu o ograniczonych kompetencjach.

SOJUSZNIK POLSKIEJ PRAWICY

Gdy czyta się program unijny AfD, ma się wrażenie, że spokojnie mogłyby się pod nim podpisać obie Konfederacje, a także niemała dzisiaj część PiS – choć już niekoniecznie Rozwoju Plus, którego lider, Mateusz Morawiecki, dźwiga odium najbardziej szkodliwych prounijnych posunięć z lat 2016–2023. Trudno mieć wątpliwości, czy tak zarysowana strategia unijna byłaby dla Polski korzystna. Odpowiedź jest jasna: tak, byłaby bezwzględnie korzystna i dokładnie to jest kierunek, w którym powinniśmy zmierzać.

Pragmatyzm nakazywałby widzieć zatem AfD jako sojusznika polskiej prawicy przynajmniej w tych kwestiach. Są jednak analitycy (tak argumentuje chociażby Michał Kuź), którzy uznają, że sprawy mogą się potoczyć zgoła inaczej: AfD, zdobywszy władzę, miałaby według nich przejąć istniejące dzisiaj instrumenty coraz bardziej scentralizowanej UE i zacząć je wykorzystywać do bezwzględnego promowania niemieckich interesów. Z takim scenariuszem są jednak dwa problemy. Po pierwsze – musiałoby to oznaczać sprzeniewierzenie się w zasadzie całemu europejskiemu programowi AfD, a więc bardzo poważne ryzyko utraty poparcia. Po drugie – czy taka sytuacja zasadniczo różniłaby się od obecnej, w której niemieckie wpływy w instytucjach unijnych oraz najważniejszych grupach politycznych w Parlamencie są wykorzystywane dokładnie w tym samym celu?

Pozostaje wątek rosyjsko-ukraiński, w polskiej debacie publicznej traktowany wręcz histerycznie. AfD zajmuje w tej sprawie jasne stanowisko, opowiadając się za mocnym ograniczeniem wsparcia dla Ukrainy i odnowieniem relacji z Rosją.

Należy do tej perspektywy podejść z lodowatym pragmatyzmem. Nadchodzi najpewniej moment przesilenia strategicznego w kwestii wojny na Ukrainie – może to nastąpić w przeciągu kilku miesięcy. W Polsce nie ma na ten temat w głównym nurcie żadnej rzeczowej dyskusji – są jedynie wzmożenia i pokrzykiwania. Tymczasem trzeba zadać sobie kilka prostych pytań. Czy wobec strategii Waszyngtonu i interesu Niemiec, które przy swoich problemach gospodarczych potrzebowałyby na gwałt znów taniej energii z Rosji, Polska ma jakąkolwiek moc sprawczą? Odpowiedź powinna być oczywista: nasze antyrosyjskie pokrzykiwania będą miały skutek taki sam jak próba zawracania kijem Wisły. Obojętne, czy w Niemczech rządziła będzie nadal obecna koalicja czy też do władzy dojdzie AfD (zapewne też w jakimś układzie koalicyjnym). Co w takim razie powinniśmy w tej hipotetycznej, ale coraz bardziej prawdopodobnej sytuacji robić – nadal wygłaszać wzniosłe antyrosyjskie tyrady czy przyjąć, że musimy znaleźć dla siebie możliwie bezpieczne i zyskowne miejsce w nowym układzie? Odpowiedź powinna być oczywista.

Wreszcie polska prawica powinna pamiętać o podstawowej zasadzie: żadna zagraniczna siła polityczna ani żadne państwo nie musi być naszym sojusznikiem w każdej sprawie. Aby zostać za takiego uznanym, wystarczy, że wspólna jest istotna część interesów – w innych sprawach mogą pozostać nawet duże różnice. Podejście AfD przede wszystkim do kształtu UE jest ogromnym i bardzo ważnym polem, na którym można z tym ugrupowaniem grać do jednej bramki. To powinien być priorytet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Z dr. Bartoszem Lewandowskim, adwokatem
rozmawia Karol Gac

Rząd, który ściga opozycję

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

KAROL GAC: Panie mecenasie, ma pan kontakt z Marcinem Romanowskim?

DR BARTOSZ LEWANDOWSKI: Niestety, niczego nie mogę powiedzieć na temat kontaktów z Marcinem Romanowskim. To dlatego, że jest to objęte tajemnicą obrończą, a z mojego doświadczenia wynika, że zarówno wszystkie moje wywiady, jak i innych obrońców są bardzo skrupulatnie oglądane i odtwarzane przez organy ścigania i prokuratorów. Podobnie jak w przypadku samych podsądnych.

Czyli nie może pan też wyjaśnić zagadki Naddniestrza, która tak dużym echem odbiła się w polskich mediach i w polskiej polityce?

Nie mogę. Myślę, że Marcin Romanowski, jeżeli sąd przyzna mu list żelazny, sam powinien te okoliczności wyjaśniać. Natomiast mogę powiedzieć, że ani sąd, ani prokuratura nie potwierdziły pobytu Marcina Romanowskiego na terenie Naddniestrza. Jedynie pan premier w swoim stylu stwierdził, że ma informacje, podobno z zaprzyjaźnionych służb, że na 99 proc. Marcin Romanowski jest w Naddniestrzu.

Pod koniec września Sąd Okręgowy w Warszawie zdecydował o przyznaniu tzw. listu żelaznego Marcinowi Romanowskiemu. Czy ta decyzja, biorąc pod uwagę kontekst polityczny, była dla pana pewnym zaskoczeniem?

Brałem pod uwagę, że sąd okręgowy może nie być chętny do tego, żeby przyznać list żelazny, dlatego że wymagało to odwagi od sędziego. Nie miałem wątpliwości, że z punktu widzenia przepisów wydanie listu żelaznego jest dopuszczalne i sensowne, bo to jest w interesie wymiaru sprawiedliwości, żeby Marcin Romanowski był w Polsce i odpowiadał z wolnej stopy, a prokurator mógł kontynuować to postępowanie. Z drugiej strony wiedziałem, co spotkało chociażby sędziego Dariusza Łubowskiego oraz jak zachowuje się prokurator generalny, minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, który zastrasza sędziów, zawiesza ich w czynnościach służbowych za treść orzeczeń czy odwołuje z delegacji. Zgodnie z przewidywaniami minister od razu zbeształ publicznie sędziego Konrada Mielcarka.

eprasa.pl 03a9f32532

Dowiedzieliśmy się np., że jest on rzekomo „neosędzią", a przecież warto przypomnieć, że sędzia ten chociażby odmówił listu żelaznego Michałowi Kuczmierowskiemu.

Pan sędzia Mielcarek udzielił wywiadu, w którym mówił o swoich wcześniejszych rozstrzygnięciach, jak choćby o uniewinnieniu Sławomira Neumanna, i jakoś nikt nigdy nie zarzucał mu tego, że jest on w jakikolwiek sposób uwikłany politycznie. W sprawie Marcina Romanowskiego nagle okazało się, że fakt, iż pan sędzia został powołany po 2017 r. na stanowisko sędziego SO w Warszawie, urósł do rangi przeszkody w orzekaniu. To nie ma nic wspólnego z elementarnymi zasadami państwa prawnego czy z niezależnością wymiaru sprawiedliwości. To samo spotkało sędziego Łubowskiego, który został pozbawiony funkcji, był represjonowany za wydanie postanowienia, które nie spodobało się ministrowi. Tyle że ono wynikało z sumienia i z przepisów prawa, które zastosował sąd, uchylając europejski nakaz aresztowania i krytykując prokuraturę oraz organy ścigania za wprowadzanie sądu w błąd, za próbę nacisku na sąd, kontaktowanie się prokuratorów z sędzią referentem, aby ustalić kwestie dotyczące postępowania. Jak zatem Marcin Romanowski i Zbigniew Ziobro mogą liczyć na sprawiedliwy proces w Polsce?

Zażaleniem prokuratury zajmie się Sąd Apelacyjny w Warszawie. Pan w mediach społecznościowych alarmuje o skandalu w związku z tym, co się dzieje w SA. Dlaczego ma pan tak daleko idące wątpliwości?

Musimy cofnąć się do bezprawnych działań Adama Bodnara. Niemal natychmiast – zarówno w Sądzie Okręgowym w Warszawie, jak i SA – w wydziałach pierwszoinstancyjnych, czyli tych, które będą rozpoznawać w przyszłości sprawy przeciwników politycznych, doszło do odsunięcia od orzekania tych sędziów, którzy zostali powołani po 2017 r. Utworzono tam dwie tzw. sekcje, choć sędziowie mówią o gettach, do których zesłano ich z naruszeniem przepisów. Zabrano im wszystkie sprawy inicjowane aktem oskarżenia, także te „newralgiczne", które dotyczyły m.in. orzekania w przedmiocie kontroli operacyjnej, czyli podsłuchów oraz sprawy np. w przedmiocie tymczasowego aresztowania. W ten sposób wyeliminowano faktycznie z orzekania kilkudziesięciu sędziów w SO i SA, których przesunięto do sekcji zajmujących się mniej newralgicznymi z politycznego punktu widzenia kwestiami, jak chociażby rozpoznawaniem spraw dotyczących zabezpieczenia majątkowego czy np. właśnie listów żelaznych. SA jako sąd drugiej instancji rozpoznaje zażalenia od orzeczeń w sprawie listów żelaznych w tzw. sekcji zażaleniowo-wnioskowej. To dotychczas nie budziło sporów. Przykładowo: zażalenie obrońcy Michała Kuczmierowskiego od orzeczenia – notabene też sędziego Konrada Mielcarka – trafiło do sekcji zażaleniowo-wnioskowej, w której jest 12 sędziów niecieszących się zaufaniem obecnego kierownictwa resortu sprawiedliwości.

Jak rozumiem, w sprawie Marcina Romanowskiego też tak powinno być?

Właśnie, ale tak się nie stało. Sprawa została przejęta przez wydział i przekazana do losowania z pominięciem tych sędziów. Wylosowano panią sędzię, która niedawno była delegowana przez Waldemara Żurka do SA. Nastąpiło to z naruszeniem przepisów dotyczących podziału czynności orzeczniczych, a to dlatego, że kierownictwo sądu uznało, że postępowanie nie jest sprawą w przedmiocie listu żelaznego, tylko jest w przedmiocie tymczasowego aresztowania, ponieważ sąd – wydając list żelazny – musi wydać postanowienie o uchyleniu tymczasowego aresztowania. To jest oczywiście naruszenie przepisów. Wygląda to tak, jakby komuś zależało, żeby sprawę odebrać sędziom, którzy nie cieszą się zaufaniem obecnego kierownictwa SA czy Ministerstwa Sprawiedliwości, a dla mnie, mojego klienta i licznych obserwatorów – aby doprowadzić do zmiany orzeczenia i listu żelaznego Marcinowi Romanowskiego nie przyznać. To jest skandal i opinia publiczna ma prawo oceniać to jako manipulację składem osobowym sądu.

Proszę też zwrócić uwagę, w jakiej sytuacji została postawiona pani sędzia, która otrzymała to zażalenie. Ministerstwo Sprawiedliwości może w każdej chwili cofnąć jej delegację, a Waldemar Żurek tak już wcześniej robił, gdy sędzia podjął działania, które mu się nie spodobały.

W związku z tym zwróciłem się do kierownictwa SA w Warszawie, żeby wyjaśniło mi przyczyny, dla których ta sprawa została odebrana sekcji, i to, dlaczego została przekazana z ominięciem obowiązujących procedur. Wystąpiłem również do pierwszego prezesa Sądu Najwyższego, informując go o tej sytuacji i prosząc o podjęcie wszelkich możliwych działań, żeby zwrócić uwagę na niemożliwość takich działań. Ponadto za moment zostanie poinformowana komisja do spraw praw człowieka Departamentu Stanu Stanów Zjednoczonych, żeby opisać tę sytuację, a także sprawę sędziego Dariusza Łubowskiego. To ważne informacje pod kątem wniosku o ekstradycję Zbigniewa Ziobry.

Jest oczywiste, że rozstrzyganie sprawy przez sędziego delegowanego niedawno przez ministra sprawiedliwości i jednocześnie prokuratora generalnego, a zatem oskarżyciela publicznego, nie powinno mieć miejsca, bo budzi wątpliwości

Jeśli odpowiedź z sądu będzie negatywna, to będę zmuszony – dla dobra mojego klienta i samej sprawy – prosić o wyłączenie pani sędzi z uwagi na sytuację, w której ona też się znajduje jako sędzia delegowany przez Waldemara Żurka. W opinii przeciętnego odbiorcy jest oczywiste, że rozstrzyganie sprawy przez sędziego delegowanego niedawno przez ministra sprawiedliwości i jednocześnie prokuratora generalnego, a zatem oskarżyciela publicznego, nie powinno mieć miejsca, bo budzi to wątpliwości. Jeżeli to nie przyniesie oczekiwanego efektu, to wystąpię z wnioskiem o przekazanie tej sprawy do innego sądu apelacyjnego na terenie Polski jako równorzędnego. Moim zdaniem ta sprawa nie powinna być sądzona w Warszawie.

eprasa.pl 03a9f32532

Tutaj są za duże emocje pomiędzy sędziami i za duży wpływ polityczny na to, co się w tych sądach dzieje. Uważam, że dla dobra wymiaru sprawiedliwości ta sprawa powinna być przekazana do innego sądu.

Załóżmy na chwilę, że list żelazny zostanie mimo wszystko utrzymany. Czy to oznacza, że Marcin Romanowski wróciłby do kraju i stawiłby się w prokuraturze na przesłuchanie?

List żelazny nie daje bezkarności. To instytucja wielowiekowa w polskiej tradycji prawnej, która dzisiaj sprowadza się do tego, że sąd gwarantuje, iż dana osoba będzie odpowiadała w postępowaniu karnym z wolnej stopy, czyli nie zostanie zatrzymana i nie zostanie tymczasowo aresztowana. W tym względzie musi ona jednak wykonywać obowiązki, które sąd na nią nałożył, np. nie opuszczać miejsca pobytu stałego, i musi się stawiać na wszystkie wezwania sądu czy prokuratury. List żelazny daje z jednej strony pewność takiej osobie, że będzie odpowiadała z wolnej stopy, a wymiar sprawiedliwości uzyskuje zapewnienie i instrument, który pozwala kontynuować postępowanie z udziałem takiej osoby, przebywającej poza granicami Polski. Jeżeli list żelazny byłby utrzymany w mocy, to sobie nie wyobrażam sytuacji, w której Marcin Romanowski nie stawi się w Polsce, bo jest to ze wszech miar dla niego korzystne – zarówno procesowo, jak i politycznie. Pamiętajmy też, że ma życie rodzinne, więc pobyt w Polsce był niezbędny do tego, żeby mógł normalnie funkcjonować.

Tymczasem po decyzji SO wielu polityków, jak np. Tomasz Trela, mówiło, że ważniejsze niż sam proces jest to, aby Marcin Romanowski trafił do aresztu.

Niektórzy otwartym tekstem mówili, że chodzi o to, aby po prostu Marcin Romanowski był w tym areszcie. To nie chodzi o jakieś dobro postępowania, tylko o obrazek. Trzeba zobaczyć Marcina Romanowskiego czy Zbigniewa Ziobrę w kajdankach, najlepiej zespolonych. Należy ich umieścić w areszcie, jeszcze ich trochę potorturować, powozić po prokuraturach i sądach, żeby można było robić fajne zdjęcia i zaspokoić żądze tego najbardziej prymitywnego elektoratu obecnej większości rządzącej, który po prostu niczym innym nie żyje, jak tylko tym, żeby mścić się na politykach opozycji albo widzieć ich w sytuacji procesowej. To oczywiście nie ma nic wspólnego z jakimikolwiek zasadami sprawiedliwości i państwa prawnego. Pierwszy raz po 1989 r. mamy sytuację, w której główna partia rządząca w ramach programu politycznego wpisała ściganie opozycji politycznej w Polsce i robi to przy użyciu metod procesowych i organów ścigania.

Przeskoczmy na chwilę za ocean, bo jest pan też pełnomocnikiem Zbigniewa Ziobry. Na jakim etapie jest jego sprawa?

Prokuratura zwróciła się z wnioskiem o ekstradycję do Stanów Zjednoczonych. Wniosek przeleżał miesiąc w ambasadzie polskiej w Stanach Zjednoczonych, więc chyba urzędnicy jakoś się niespecjalnie spieszyli z tym, ale wniosek faktycznie trafił w końcu do Departamentu Stanu i ta procedura powinna być przez stronę amerykańską uruchomiona. Zobaczymy, czy Amerykanie uznają, że w tej sprawie dochodzi do ścigania faktycznego, a nie politycznego, tak jak stwierdził np. wcześniej Interpol w sprawie Marcina Romanowskiego, bo pamiętajmy, że Interpol odmówił wydania czerwonej noty, a uzasadnienie było bardzo proste: czerwona nota nie służy ściganiu z przyczyn politycznych, a gdyby była wydana, doszłoby do naruszenia praw człowieka.

Czy sam azyl dla Zbigniewa Ziobry nie jest też pewnego rodzaju sygnałem wysłanym ze Stanów Zjednoczonych w kierunku rządu? Taka decyzja musiała zapaść na najwyższych szczeblach w USA.

Politycznie można to tak odbierać. Niewątpliwie strona amerykańska krytycznie odnosi się do tego, co robi obecna większość w Polsce. Amerykanie bardzo wnikliwie weryfikują, jaki jest stan praworządności i czy dana osoba może liczyć na sprawiedliwy proces w kraju, który oczekuje jego wydania. Tymczasem w sprawie Zbigniewa Ziobry mamy całe mnóstwo argumentów, które wskazują na to, że do tego wydania nie powinno dojść z uwagi na to, że po prostu Zbigniew Ziobro nie może liczyć na sprawiedliwy proces. Wystarczy, że amerykańscy prawnicy pana ministra, którzy broniliby go w tamtym postępowaniu, będą załączać wpisy, publiczne wypowiedzi ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka czy wcześniej Adama Bodnara na temat tych spraw i określenia tego, co się dzieje wokół, chociażby sędziów odsuwanych od orzekania w sprawach dotyczących funduszu sprawiedliwości.

Jak pan patrzy na to, co dzieje się obecnie wokół Trybunału Konstytucyjnego?

Donald Tusk i Koalicja Obywatelska walczą o przeżycie. Trybunał Konstytucyjny jest im niezbędny zarówno do tego, żeby zabezpieczyć swoje interesy na przyszłość, jak i wysadzić w powietrze prawo, które im się nie podoba. TK w zamyśle KO nie ma odgrywać roli takiej, jaka jest opisana w konstytucji, a więc jej strażnika, ale ma być przedłużeniem parlamentu i większości rządzącej, przy ominięciu prezydenta.

Nie mam żadnych wątpliwości, że jedną z pierwszych spraw, którymi by się taki Trybunał zajął, byłaby sprawa Sądu Najwyższego, by później stwierdzić nieważność wyborów prezydenckich. Taki będzie efekt końcowy. Moim zdaniem Tusk jest zdeterminowany, by pójść na wojnę z narodem, bo panicznie boi się odpowiedzialności. To ma być jego ostatnia deska ratunku.

Koalicja rządząca chce też postawić przed Trybunałem Stanu prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego, i to pomimo orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego z 2024 r.

Nie można bagatelizować ryzyka i zagrożeń dla pozycji prezesa NBP. Patrzę jednak na to jako na wrzutkę PR-owską. Chodzi o to, żeby coś się działo, a nie żeby się zadziało. Patrząc na orzeczenia TK, możliwość zawieszenia czy postawienia go przed TS nie wchodzi w grę. To uzasadnienie zostało opublikowane. Powody, o których mowa, są po prostu śmieszne. Chodzi o to, by rozgrzać emocje Silnych Razem i twardego elektoratu, by wmawiać im, że Adam Glapiński zostanie wyprowadzony w kajdankach. Tyle że Tusk potrzebuje NBP. Dla niego kwestia rozchwiania rynków finansowych jest paradoksalnie na rękę, bo będzie mógł wtedy mówić o kryzysie, a w efekcie wejść do strefy euro. Donald Tusk przyzwyczaił nas do tego, że ostatnie, o czym myśli, to dobro RP. W zdecydowanej większości myśli o swoim interesie lub swojej formacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Marcin Palade

Prezydencki pakt senacki

Gdyby w połowie października PiS poszedł do wyborów senackich samodzielnie, mógłby liczyć na 14 mandatów. Pozostałe przypadłyby centrolewicy

Nie możemy udawać, że nie ma w Polsce Grzegorza Brauna i wyborców Grzegorza Brauna – stwierdził kilka dni temu w wywiadzie prezydent Karol Nawrocki. To ważne słowa wypowiedziane rok przed wyborami parlamentarnymi jedynego zdolnego do sklejenia pokłóconej i zwalczającej się nawzajem centroprawicy polityka w Polsce. Cóż z tego, że od miesięcy po dnie szoruje akceptacja dla premiera Tuska i jego gabinetu. Cóż z tego, że partie współtworzące zaplecze dla rządów centroprawicy mają łącznie nieco ponad 40 proc. wskazań, skoro dla liderów i polityków centroprawicowej opozycji, którzy deklarują jak najszybsze odsunięcie Tuska od władzy, główna ich aktywność sprowadza się do batalii z tymi, z którymi można rzeczonego wysadzić z siodła. Wspólnie i tylko wspólnie. W ostatnich miesiącach o konieczności zawiązania prawicowego paktu senackiego mówiono i pisano wiele. Mieliśmy i wciąż mamy do czynienia z dwugłosem.

PROAMERYKAŃSKIE WAZELINIARSTWO NOWOGRODZKIEJ

Jedni, mający problem z odnalezieniem się w świecie rzeczywistym, jak liderzy i wielu polityków Prawa i Sprawiedliwości, przebąkiwali o konieczności porozumienia, ale od razu wyłączali z niego Koronę Brauna. Słowem – Bosak tak, bo coraz bardziej nasz, czyli PiS-owski, Mentzen od biedy, Morawiecki – chociaż zdrajca – niech się dołoży ze swoim skromnym poparciem. A Braun? Skoro głos zabrał ambasador USA w Polsce Tom Rose, wydał wytyczne do działania Jarosławowi Kaczyńskiemu, to należy to potraktować jako przeniesiony z Watykanu dogmat o nieomylności. Zastąpić papieża dyplomatą i zakomunikować ludowi na centroprawicy: Rose locuta, causa finita. Tyle tylko, że to mogłoby zadziałać jeszcze kilka lat temu. Proamerykańskie wazeliniarstwo Nowogrodzkiej mogło liczyć na widoczny poklask. Ale po wyborach prezydenckich w 2025 r. dokonała się na centroprawicy rewolucja, w której wyniku PiS przeszedł od pozycji hegemona do pozycji wciąż jeszcze najsilniejszego bytu na centroprawicy, ale z udziałem – w puli ogółu wyborców na prawo od centrum – nieprzekraczającym połowy. Do dziś słychać w PiS głosy fantastów przebąkujących o wygranej, poparciu powyżej 30 proc., a w ciężkich przypadkach odchylenia od normy – nawet o okolicach 40 proc. Do dziś wtórują tym bajkopisarzom niektóre tzw. media patriotyczne czy jedyne patriotyczne. I to jest największa przeszkoda w powołaniu prawicowego paktu senackiego.

ARYTMETYKA WYBORCZA

Popatrzmy na liczby. Gdyby w połowie października PiS poszedł do wyborów senackich samodzielnie, mógłby liczyć na 14 mandatów. Pozostałe przypadłyby centrolewicy. Werdykt suwerena z 2023 r. dawał partii Kaczyńskiego 35 miejsc. Gdyby Konfederacja porozumiała się z Koroną, to miałyby one tych mandatów 15, a PiS 4. Tak, tak – to nie pomyłka – 4 mandaty. Szersza koalicja PiS i Konfederacji to byłyby 34 mandaty, a gdyby dołożyć jeszcze do niej Rozwój Plus Morawieckiego – 43 mandaty. Tyle tylko, że to mniej niż połowa (wynosząca 50 mandatów). No właśnie, do trójporozumienia, jeśli chce się przejąć Senat, trzeba doprosić Koronę Brauna. To realny byt polityczny, z poparciem w przedziale 10–11 proc. Bez niego o przewadze w izbie wyższej można sobie tylko pomarzyć.

Ale oprócz wspomnianych fantastów szkodników były i są też głosy rozsądku. Może nie tak nośne. ale odwołujące się do twardych danych. A pokazują one jasno, że spośród około 54 proc. wyborców gotowych poprzeć cztery partie centroprawicowe ta większość jest do przekucia na mandaty senackie wyłącznie przy najszerszym z możliwych porozumień. Wszystkich bez wyjątku. Bez oglądania się na to, co powie rzeczony ambasador i jego przełożeni za Atlantykiem. Co powiedzą liberalno-lewicowe media nad Wisłą, straszące powrotem faszyzmu, w tym – z racji wciągnięcia do paktu senackiego Brauna – w jego najbardziej brunatnym z brunatnych wydaniu. Przecież wiadomo, że zrobią wszystko, w pełnej symbiozie z politykami centrolewicy, by do zgody po prawej stronie nie doszło. Bo ona ją buduje, a jej brak rujnuje. A skoro rujnuje po prawej stronie, to jest tylko jeden tego beneficjent – centrolewica. To ona zbiera od 2019 r. premię za jedność. Idzie razem od skrajnej lewicy Zandberga po umiarkowanych konserwatystów z prawego skrzydła PSL. I wygrywa, jak w 2023 r., dwie trzecie z szansami na jeszcze więcej, jeśli centroprawica nie pójdzie po rozum do głowy w ciągu najbliższych miesięcy.

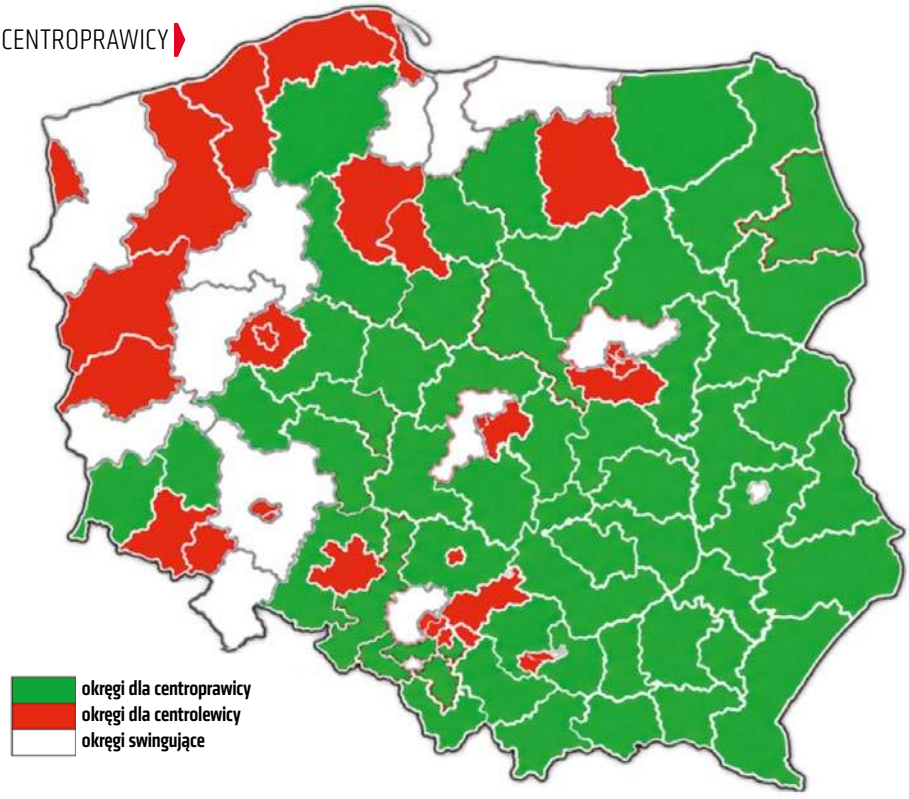
KOLEJNE POLE MINOWE

Załóżmy jednak, że prezydent Karol Nawrocki będzie konsekwentny, a tego życzą mu miliony w elektoracie centroprawicowym, w woli stworzenia paktu. Wbrew podszeptom ze swojego otoczenia, z dużym odsetkiem antybraunowskich dogmatyków. Wbrew linii ograniczonej

eprasa.pl 03a9f32532

suwerenności obowiązującej od ponad trzech dekad, za sprawą wtykania nosa przez tych, którzy są za Atlantykiem, w polskie podwórko polityczne. To niełatwe zadanie, ale nie wątpię, że mogące zakończyć się sukcesem dla prezydenta i centroprawicy. Ale i tak następny krok oznaczać będzie wejście na kolejne pole minowe. No bo ogłosić, że wszyscy usiedli do rozmów, by ustalić szczegóły paktu, to jedno, a to paktowanie zmaterializować – to drugie. Aby to ostatnie miało miejsce, trzeba ustalić, co i komu się należy na starcie. Tort ma swoje ograniczenia. Jest w nim 100 kawałków. Nie wszystkie uda się zjeść tym, którzy siedzą po prawej stronie stołu. Ale te w zasięgu możliwości konsumentów, jak sobie to już powiedzieliśmy na starcie, to ponad połowa słodkości. A skoro nie wszystko, to trzeba określić strategię, jak podzielić to, co jest, by żadna z czterech par rąk, czyli partii centroprawicowych, nie była ani uprzywilejowana, ani poszkodowana. Bo? No właśnie, bo z tego nasycenia słodkościami nic nie wyjdzie i to, co przed oczami i w zasięgu, owszem, zje – ale konkurencja na centrolewicy.

Sięgnijmy, kolejny raz, po twarde dane. To podstawowe narzędzie pracy dla myślących. Średnia sondażowa w połowie października, skorygowana o błędy sondażowni z lat 2023–2025 (a te w większości za centroprawicą – nazwijmy to łagodnie – nie przepadają), daje następujące poparcie dla partii wśród zdecydowanych wyborców: PiS 21 proc., Konfederacja 16 proc., Korona 11 proc. i Rozwój Plus 6 proc. Wiem – to się na dzień dobry nie może spodobać w PiS., bo tam wielu żyje przeszłością, śni o potędze. Alternatywa jest prosta. Albo Kaczyński i polityczni przyjaciele wrócą szybko na ziemię, albo rzeczony Kaczyński będzie musiał grubo ponad połowie obecnych senatorów PiS powiedzieć, że powoli muszą sobie znaleźć inne zajęcie, bo za rok mandatu w okręgach nie odnowią.



Zwycięzcy w okręgach senackich na podstawie średniej sondażowej w połowie października 2026 r., skorygowanej o błędy sondażowni w latach 2023–2025, w wariancie startu prawicowego bloku senackiego (PiS, Konfederacja, Korona, SRP) RYS. MARCIN PALADE

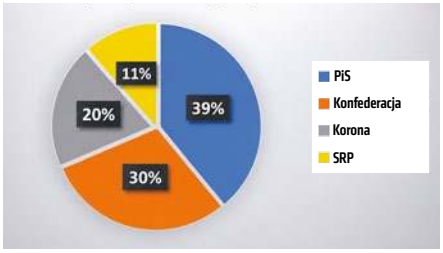
STRATEGIA PODZIAŁU TORTU

Co jest alternatywą? Dokonanie właściwej diagnozy. Jedni siedzą bliżej jednej części tortu, drudzy drugiej. To położenie do 2027 r. się nie zmieni. Trzeba więc opracować taki podział tortu, by każdy, uprzednio zadaniowany, wykonał ruch dający wszystkim na centroprawicy jak najwięcej. Co zrobić? Podzielić tort na ten najdalszy od siedzącej centroprawicy, gdzie prawdopodobieństwo dotarcia i tego, co najważniejsze, czyli konsumpcji, jest niemożliwe. Takich kawałków mamy na połowę października 23. Mniej, bo tylko 10 jest takich kawałków, gdzie prawdopodobnie szybciej dotrze do nich centrolewica. Cień szansy jest, ale ich zdobycie uznać by należało raczej w kategoriach cudu. Dalej mamy kawałki, które położone są pośrodku. Dostęp do nich mają, mniej więcej równy, obie strony miłośników słodkości. Warto po nie sięgnąć, a jest ich 13. I od tego momentu zaczyna się ta bardziej optymistyczna wyliczanka dla centroprawicy. Bo kolejne kawałki, których mamy 7, to są już te naprawdę blisko. Niemal na wyciągnięcie ręki. Wreszcie, długo wyczekiwana, uczta dla podniebienia. Aż 47 kawałków tak blisko dla centroprawicy, a tak daleko dla centrolewu, że w zasadzie tylko sięgnąć, bez większego wysiłku, i po chwili mogą wylądować w ustach. Ale – co ważne – w każdym z tych ruchów, a szczególnie względem kawałków od środka stołu aż po prawą jego stronę, potrzebna jest pełna koordynacja, by sięgający po nie robili to według wcześniej opracowanego planu. Bez jego korygowania w trakcie. Bez wchodzenia sobie w drogę.

Co mamy? Całkiem niezły podział tortu. Taki, o którym szeroko rozumiana prawa strona mogłaby tylko pomarzyć w 2019 r. czy 2023 r. Aż 54 kawałki dla centroprawicy i tylko 33 dla centrolewicy. Nawet gdyby walkę o środek stołu wygrała druga strona, to i tak bardziej najedzona i usatysfakcjonowana będzie ta centroprawicowa. Ale koordynacja jej działań musi oznaczać w praktyce, tak jak przy poprzednich krokach, sprawiedliwy, niekrzywdzący nikogo podział obowiązków, by wszystkim, zgodnie z siłą rąk sięgających po tort, dać radość w finale. No właśnie. Wszystkim, bez premiowania czy degradowania kogokolwiek. No to policzmy. Zaczynając od tego, co najodleglejsze, nieosiągalne, ale i tam muszą sięgnąć ręce. Wszystkich według następujących proporcji. PiS 9 kawałków, Konfederacja 7, Korona 5, Rozwój Plus Morawieckiego 2. Solidarnie w skazanej na niepowodzenie walce na najtrudniejszym terytorium. W tym, co raczej nieosiągalne z PiS, z aktywnością w starciu o 4 kawałki, Konfederacja 3, Korona 2,

eprasa.pl 03a9f32532

Udziały w prawicowym pakcie senackim



Udziały wyliczone na podstawie średniej sondażowej w połowie października 2026 r., skorygowane o błędy sondażowni w latach 2023–2025 RYS. MARCIN PALADE

a Rozwój Plus 1. Raczej bez większych szans na konsumpcję, ale wszyscy w pełni tego świadomi i niemający o niepowodzenie misji do innych, z którymi współpracują, pretensji. Dalej tych, którzy będą środkowymi w ataku o to, co dostępne w równym dystansie przez konkurencję z centrolewicy. Tu podział powinien kształtować się następująco: PiS 5, Konfederacja 4, Korona 3 i Rozwój Plus 1. Dalej tam, gdzie zjedzenie jest dosyć blisko, choć aby to zrobić, trzeba włożyć sporo wysiłku. Tu, bez kłótni, powinno wyglądać to następująco: PiS 3, Konfederacja 2, Korona 1 i Rozwój Plus 1. No i pewniacy w konsumpcji – te 47 kawałków. Spośród których 18 powinno trafić do PiS, 14 do Konfederacji, 10 do Korony, a 5 do Rozwoju Plus. W bilansie ogólnym PiS w przedziale między 21 a 26 kawałków. Konfederacja od 16 do 20, Korona z 11 do 14 i Rozwój Plus 6–7.

Dojście do tego momentu przez centroprawicę dziś trzeba byłoby uznać w kategoriach cudu, a mnie, za to, co już napisałem do tej pory, okrzyknąć scenarzystą cudotwórcą. Choć nie przez wszystkich. Bo przecież pierwszymi rozsadzającymi ten zaproponowany, oparty na danych nie z sufitu, podział będą obecni senatorowie PiS. No ale jak to powie większość z nich: to my, doświadczeni parlamentarzyści, tyle razy czerpiący z tego, co na stole, i wiedzący, jak to robić, mielibyśmy być odsunięci od konsumpcji tortu w 2027 r.? W imię czego mielibyśmy zrobić miejsce tym, którzy są niepewni (Konfederacja), są agentami Rosji (Korona) i zdrajcami (Rozwój Plus)? My? Sól ziemi? Tak, bez znieczulenia. Spośród tych wybranych z PiS w 2023 r. maksymalnie 26 byłoby dalej senatorami. Przypomnieć alternatywę, jeśli pójść kursem mocarstwowości partii Kaczyńskiego? Całe 14 kawałków, a w najgorszym wariancie 4. Czy 4 lub 14 jest większe od 26? Odpowiedź znają nawet przedszkolaki z zerówki. A skoro one, to musimy założyć, że także doświadczeni parlamentarzyści, którzy mają za sobą edukację co najmniej do stopnia średniego. Przesunąć się dla innych – mowa o PiS – by uratować z tego, co jest, jak najwięcej? Mam świadomość, że formacja, która przez kilkanaście lat rozdawała karty na prawo od centrum, nie musi być gotowa do natychmiastowego zaakceptowania wariantu defensywnego. Ale im szybciej to zrobi, tym lepiej dla niej i jej potencjalnych współkoalicjantów zwycięskiego bloku do Senatu. A pozostali? Oni nie będą kręcić nosem. Mentzen czy Bosak z co piątym, w wersji optymistycznej, senatorem to coś, co mogłoby być realne w kolejnej dekadzie. Podobnie jak co dziewiąty senator z Korony czy szóstka, siódemka od Morawieckiego. Wszyscy oni na dziś braliby to w ciemno.

Do dziś słychać w PiS głosy fantastów przebąkujących o wygranej, poparciu powyżej 30 proc., a nawet w okolicach 40 proc.

Jednak to jeszcze nie koniec. Powiedzieliśmy już sobie, że każdorazowo przejście do kolejnego etapu senackiej układanki będzie dowodem na obecność sił nadprzyrodzonych. Bo teren, jeden po drugim, jest zaminowany, a minującymi są zwykle niechętni szerokiej koalicji, których na prawo od centrum nie brakuje. Dla uniknięcia kosztownego zlecenia zamówienia saperów, niemal w finale całej układanki, dorzucę jeszcze pomysł ułatwiający dotarcie do mety. O czym mowa? O dwóch z pięciu kategorii tortu, w których kawałki powinny, być może, zostać przydzielone w walce o ich zdobycie, w drodze losowania. Aby uczynić całość konstrukcji jeszcze bardziej przejrzystą, wolną od oskarżeń o obłowienie się jednych kosztem drugich. Mowa o tych kawałkach, do których dotarcie jest prawdopodobne, a także tych, które są pośrodku. To tu prawdopodobnie mogłoby dojść do zaognienia relacji między potencjalnymi współkoalicjantami paktu senackiego. Aby tego uniknąć, wystarczy wspomniane losowanie, z daniem możliwości wszystkim uczestnikom tortowej batalii, wzajemnej wymiany. Jeśli ktokolwiek będzie miał na to ochotę i znajdzie się drugi czy trzeci chętny, by to, co już przydzielone zmienić, ale tylko w ramach podziału już istniejącego.

PRIMUM NON NOCERE

No i jeszcze jedno, równie ważne. Spinający prawicowy pakt senacki prezydent Nawrocki musi dostać swoją pulę w jego, w dużej mierze, dziele. Bo samo zebranie w jedno tego, co wydaje się rok przed wyborami nie do zebrania, musi zostać dla głowy państwa wynagrodzone. Posiadaniem własnej, niezależnej od rekomendacji partii współtworzących pakt, reprezentacji. Wszystkie człony paktu powinny zrobić więc miejsce ludziom prezydenta, przy zachowaniu proporcji wynikających z dotychczasowego udziału w konsumpcji tortu. Co oczywiste z pełną swobodą obsady personalnej przez prezydenta Nawrockiego. Nawet gdyby mieli się tam znaleźć ci, którzy długi czas powstanie takiej szerokiej koalicji torpedowali. Zresztą ta pełna autonomia w sprawach personalnych, na logikę, powinna także być w przypadku puli przypadającej dla przedstawicieli czterech partii centroprawicowych. Jedna partia proponuje, inne przyjmują do wiadomości.

Trudne do realizacji? Owszem, ze względu na wykonawców, liderów centroprawicy. Nie proponuję jednak czegoś, co jest nie do zrealizowania. Jestem realistą. Czy liderzy centroprawicy staną na wysokości zadania? Doświadczenie uczy, że może być z tym różnie. Ale przyjmując wariant optymistyczny, nasuwać się musi fundamentalne i kluczowe dla sukcesu w finale pytanie. Czy będą się układać po partnersku? Będą sobie nawzajem pomagać? Nie wiem. Ale dopowiem, obserwując prawicowy grajdołek od ponad trzech dekad. Niech nie deklarują, że będą sobie pomagać, będą się wspierać. Niech w działaniu jak najmniej sobie przeszkadzają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

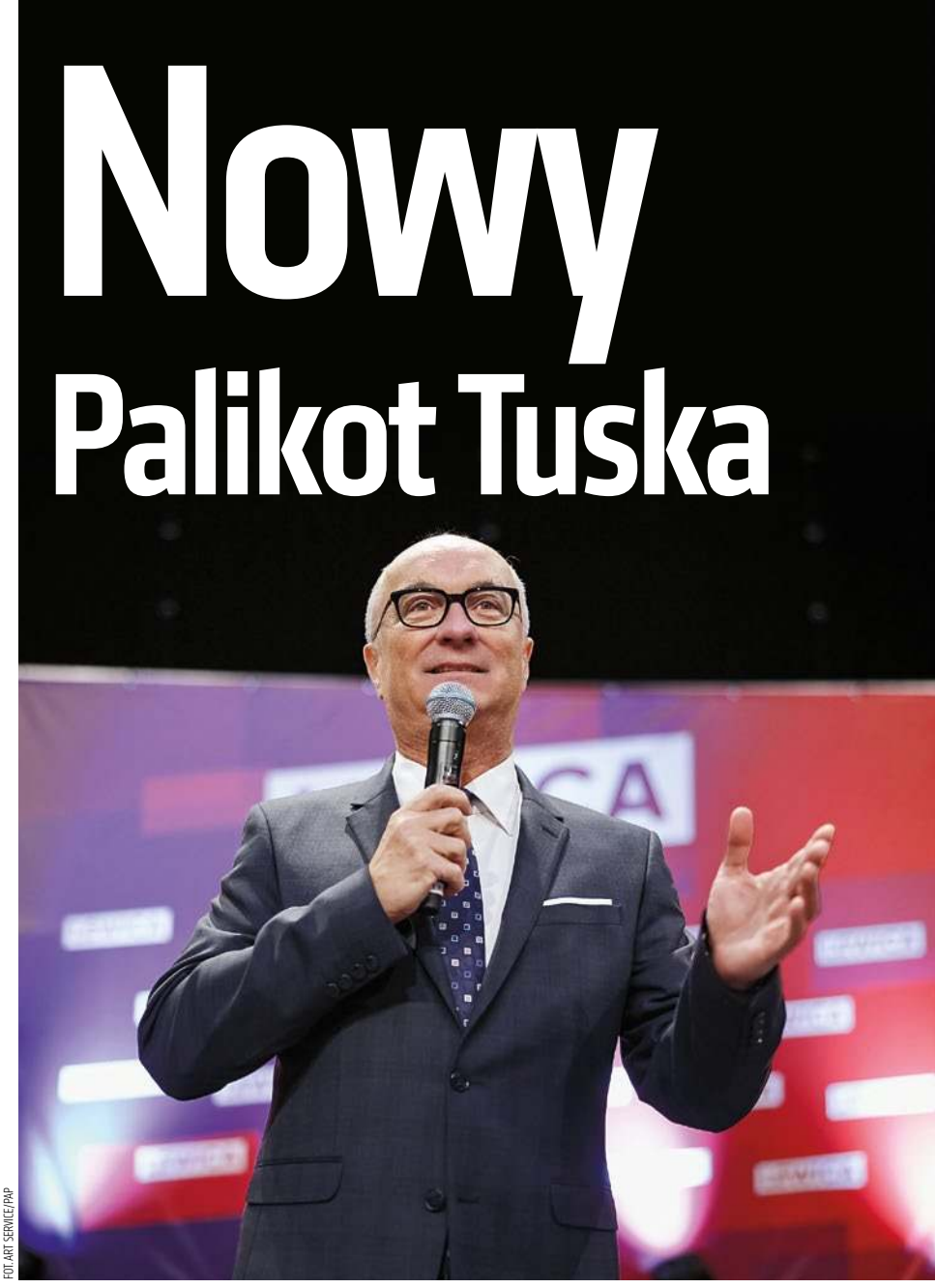
eprasa.pl 03a9f32532

Nowy Palikot Tuska



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Włodzimierz Czarzasty miał być spokojnym, stanowczym marszałkiem Sejmu, a coraz częściej zachowuje się jak polityczny harcownik. Oskarża prezydenta o „zdradę stanu", porównuje przeciwników do terrorystów, sugeruje związki głowy państwa z przestępczym półświatkiem i nie przebiera w słowach nawet wobec prezydenta USA



FOT. ART SERVICE/PAP

W najbliższym politycznym otoczeniu Donalda Tuska jest postać, która pod pewnymi względami może przypominać dawnego Janusza Palikota. Mówi to, czego premierowi nie wypada, w sposób, który nie pozostawia złudzeń – władza idzie na starcie i nie ma zamiaru się cofać. Jest nią Włodzimierz Czarzasty, od listopada 2025 r. marszałek Sejmu, przewodniczący Nowej Lewicy.

Zanim ten polityk objął fotel marszałka, postrzegany był jako całkiem sympatyczny, nieco rubaszny „stary komunista" w kolorowych sweterkach. Gdy prowadził obrady, lubił zaczepiać i zagadywać posłów, rzadko kiedy robiąc to w ofensywny sposób. Szybko wizerunek ten uległ zmianie. Jako szef Sejmu Czarzasty wybrał wyraźnie konfrontacyjny styl. Tuż po wyborze na stanowisko zadeklarował: „Będę wspierał ten rząd, bo jestem politykiem tej koalicji, Lewicy, inaczej sobie tego nie potrafię wyobrazić. Deklaruję bardzo lojalną współpracę z rządem". Zapowiedział, że „do niczego nie będzie można go zmusić, a tymczasem z ław opozycji słychać było: „Precz z komuną!".

WALKA Z NAWROCKIM

66-letni Czarzasty szybko pokazał nowe oblicze. Już w grudniu, podczas kongresu Nowej Lewicy, przypuścił ostry atak na Karola Nawrockiego. – Człowiek zbudowany z nacjonalistycznych obsesji, kontynuator najgorszych tradycji Romana Dmowskiego, i to nie w wersji intelektualnej, lecz w stadionowej. Tej stadionowej endecji trzeba się przeciwstawić – grzmiał, mówiąc o prezydencie. Zapowiedział, że jego relacje z głową państwa będą oparte na otwartej konfrontacji.

– Będę z Nawrockim walczył. Gdy będzie chciał atakować naszą konstytucję lub zarzucać Sejm populistycznymi ustawami służącymi skłóceniu społeczeństwa. Nawrocki rozumie tylko język siły. Trudno, będzie weto za weto, będzie wet za wet – oznajmił. Niedługo później, w rozmowie z Moniką Olejnik w TVN24, stwierdził, że Nawrocki „nie jest królem" i nie może postępować wyłącznie według własnego uznania. Motyw prezydenta próbującego rzekomo odgrywać rolę monarchy, z którym marszałek będzie walczył do upadłego, wraca w wypowiedziach szefa Nowej Lewicy do dziś.

PRZECIW TRUMPOWI I WSCHODNIM KONTAKTOM

Ofensywny styl Czarzastego nie ogranicza się do polityki krajowej. Na początku lutego 2026 r. marszałek wszedł w otwarty spór z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Powodem był pomysł poparcia Donalda Trumpa w staraniach o Pokojową Nagrodę Nobla (z inicjatywą wystąpili przewodniczący Izby Reprezentantów

eprasa.pl 03a9f32532

oraz przewodniczący izraelskiego Knesetu). Tymczasem marszałek ogłosił, że nie poprze tej kandydatury. Nie ograniczył się jednak do odmowy złożenia podpisu pod dokumentem, ale wygłosił tyradę pod adresem Trumpa. – Prezydent Trump destabilizuje sytuację w tych organizacjach, reprezentując politykę siły, i przy użyciu siły prowadzi politykę transakcyjną – mówił. Zarzucił przywódcy USA podważanie polityki opartej na wartościach, a także łamanie prawa międzynarodowego. Skutki tego wystąpienia były niemałe. Chwilę później ambasador USA w Polsce Thomas Rose ogłosił, że zrywa kontakty z marszałkiem Sejmu. Premier Donald Tusk wsparł swojego koalicjanta. „Panie Ambasadorze Rose, sojusznicy powinni się szanować, a nie pouczać. Przynajmniej tak w Polsce rozumiemy partnerstwo" – napisał, zwracając się do dyplomaty. Czarzasty oświadczył, że przyjmuje decyzję ambasadora z ubolewaniem, ale nie zmienia stanowiska.

Porównanie Czarzastego z Palikotem nie jest dosłowne. Znacznie częściej korzysta on z instrumentów politycznej konfrontacji

W lutym tego roku o marszałku z Lewicy mówiło się wiele. Po awanturze z USA na agendzie Rady Bezpieczeństwa Narodowego znalazła się kwestia jego poświadczeń bezpieczeństwa oraz doniesień o wschodnich kontaktach towarzysko-biznesowych. Sprawę tę nagłaśniały przede wszystkim media prawicowe, wspierające opozycję. Jednak Czarzasty zamiast wyjaśnić nieścisłości, przeszedł do kontrataku. Zapowiedział, że podczas posiedzenia RBN będzie domagał się odpowiedzi na pytania dotyczące samego Karola Nawrockiego – wskazywał na jego rzekome kontakty ze środowiskami pseudokibicowskimi i znajomości z osobami wiązanymi z przestępczym półświatkiem. Marszałek, próbując odwrócić uwagę od siebie, zadał pytanie prezydentowi: „Co pan robił, panie prezydencie, w 2018 r. w Moskwie? Był pan wówczas dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej [...]. Z kim się pan spotykał tak naprawdę, o czym rozmawiał i co załatwiał?". Po posiedzeniu RBN Czarzasty ponownie przemówił ostrym językiem. – Możecie na mnie pluć i opowiadać bzdury na mój temat, ale ja nie zrezygnuję z funkcji marszałka Sejmu – oświadczył. – Źle trafiliście, ustawka się nie udała – mówił w stronę PiS i prezydenta.

ZDRADA STANU I INTEGRACJA EUROPEJSKA

W marcu, po decyzji Karola Nawrockiego o zawetowaniu ustawy wdrażającej unijny mechanizm pożyczkowy SAFE, Włodzimierz Czarzasty wytoczył najcięższe działa. W programie „Kropka nad i" w TVN24 oskarżył prezydenta o zdradę stanu. – Prezydent naszego kraju dokonał moim zdaniem zdrady stanu i pozbawił polskie wojsko i Polaków bezpieczeństwa na kwotę 185 mld zł – stwierdził. Następnie zarzucił Nawrockiemu zniszczenie nadziei polskiej armii i krajowych zakładów zbrojeniowych. Dodał, że z decyzji prezydenta cieszy się Moskwa. Regularnie marszałek sugeruje, że Nawrocki wychodzi poza swoje kompetencje. – Jest taki pomysł ze strony Pałacu Prezydenckiego, że prezydent będzie premierem, prezydentem i marszałkiem Sejmu. Absolutnie apeluję do pana prezydenta: niech pan abdykuje z pozycji króla i wróci na pozycję prezydenta – stwierdził we wrześniu w Polskim Radiu. – Z terrorystami się nie rozmawia – powiedział, odnosząc te słowa do osób, którym zarzuca łamanie konstytucji. W tym kontekście wymienił byłego prezydenta Andrzeja Dudę, obecnego Karola Nawrockiego oraz środowisko PiS. Wskazywał m.in. na spór dotyczący odbierania ślubowania od sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Szef Nowej Lewicy występuje jako wielki orędownik integracji europejskiej. Na kolejnych spotkaniach powtarza, że jeśli ktoś nie docenia UE, to „albo jest z PiS-u, albo z Konfederacji, albo jest idiotą". – Jeżeli wam nie pasuje Unia Europejska, zobaczcie, co się stało w Polsce dzięki Unii Europejskiej i dzięki pracy Polaków – mówił. Podczas niedawnej konwencji Lewicy apelował, aby przypomnieć sobie, jak źle było wcześniej. – Nie było Schengen, nie byliśmy w Unii Europejskiej. Ja mam dwójkę dzieci. Pamiętam, jak jechałem, tak nawiasem małym światem, dzisiaj byłem w Tychach, wsadzili mnie do małego Fiata. Wspomnienia wróciły. Jechałem i, proszę państwa, pamiętam w Czechach, na granicy czesko-austriackiej, siedziałem w tym maluchu 11 godzin z dwojgiem małych dzieci. 11 godzin, nie było Unii Europejskiej. Dobra, to może Wam się nie spodobać. Jestem politykiem bezpośrednim. Sra... w polu, bo nie było po prostu kibli. Miałem kanapki, termos mi się zepsuł – przekonywał. Słowa Czarzastego skomentował ironicznie były premier Leszek Miller: „Panie Czarzasty, gdzie nie było kibli: Na Ordynackiej? U pana w domu? Na uniwersytecie? W liceum? W wydawnictwie Muza?".

KONFRONTACYJNA RETORYKA

Obecny marszałek Sejmu w latach 80. działał w Zrzeszeniu Studentów Polskich, zajmując kierownicze stanowiska w jego strukturach. W 1983 r. wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Pozostał jej członkiem aż do rozwiązania w 1990 r. Po upadku komunizmu Czarzasty zajął się działalnością wydawniczą i biznesową. Następnie trafił do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, gdzie w latach 2000–2004 pełnił funkcję sekretarza. Był również jedną z postaci przewijających się w debacie publicznej wokół „afery Rywina". W kolejnych latach powrócił do aktywnej polityki partyjnej, obejmując przywództwo w SLD, a później współtworząc Nową Lewicę.

Porównanie Czarzastego z Palikotem nie jest dosłowne. Dawny polityk Platformy specjalizował się w happeningach, prowokacjach obyczajowych i medialnym widowisku. Czarzasty znacznie częściej korzysta z tradycyjnych instrumentów politycznej konfrontacji: konferencji prasowych, wywiadów telewizyjnych, partyjnych kongresów i wystąpień związanych ze sprawowaniem urzędu. Łączy ich jednak używanie emocjonalnego tonu, wymierzonego w konkretne osoby. Normą są zarzuty zdrady stanu, kłamstwa, nacjonalistycznych obsesji czy porównywanie przeciwników do terrorystów. W tym układzie Donald Tusk może próbować zachować wizerunek polityka koncentrującego się na zarządzaniu rządem. Lider Lewicy przejmuje znaczną część najbardziej konfrontacyjnej retoryki wymierzonej w Pałac Prezydencki, PiS i obie Konfederacje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Z Bartoszem Malewskim, adwokatem, prezesem Stowarzyszenia Marsz Niepodległości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Polak w Polsce gospodarzem?



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Hasło tegorocznego Marszu Niepodległości brzmi: „Polak w Polsce gospodarzem!". Czy jesteśmy jeszcze w Polsce gospodarzami czy już nie?

BARTOSZ MALEWSKI: Wydaje się nam, że to hasło jest niezwykle trafne, jeśli chodzi o czas, w którym się znajdujemy jako Polska, ale też jako Europa. Mamy ten komfort, że możemy obserwować to, co już od dekad dzieje się w państwach Europy Zachodniej. Wydarzenia ostatnich dni we Francji dają asumpt do tego, że Francuzi mogą sobie zadawać pytania, czy są jeszcze gospodarzami we własnym państwie? Podobnie jak Hiszpanie, Brytyjczycy, czy Szwedzi. W Europie mamy do czynienia z całą falą wydarzeń, które pokazują, że rodzime narody, które budowały przez wieki swoje kraje, tracą nad nimi kontrolę. Pierwsze symptomy tego zjawiska widać też w Polsce. Często są one bagatelizowane, tak jak kilka dekad wstecz były lekceważone w państwach Europy Zachodniej. Mam na myśli takie zdarzenia, jak bestialskie morderstwo 24-letniej Klaudii z Torunia przez obywatela Wenezueli czy brutalne zabójstwo księdza w Jarosławiu, którego sprawcą był Ukrainiec. Podobnych zdarzeń jest już tak wiele, że powoli przestajemy je zapamiętywać, „oswajamy się" z nimi. Wiele postaci życia publicznego, ale też zwykłych ludzi, nie dostrzega albo nie chce dostrzec tego zagrożenia, mówiąc, że przecież Polacy też popełniają przestępstwa. Tymczasem dla wszystkich patrzących trzeźwo ludzi jest oczywiste, że masowa imigracja przyczynia się w ewidentny sposób do obniżenia bezpieczeństwa publicznego w Polsce. Tego nie da się zakrzyczeć hasłami o tolerancji wobec przybyszów wywodzących się z innych kultur.

Przybysze „wywodzący się z innych kultur" coraz częściej organizują gangi, które stają się poważnym wyzwaniem dla polskich organów ścigania.

Kiedy rozmawia się prywatnie z doświadczonymi policjantami, przyznają, że wraca klimat lat 90. ubiegłego wieku. Polska uporała się wtedy z przestępczością zorganizowaną. Teraz za sprawą gangów ze Wschodu, głównie z Ukrainy i Gruzji, ten problem wraca.

Pytanie, czy Polacy są gospodarzami w swoim kraju, nie ogranicza się do zagrożenia wzrostem przestępczości ze strony obcokrajowców. Sfer zawłaszczania naszego państwa jest przecież zdecydowanie więcej.

Oczywiście, że tak. Wystarczy przyjrzeć się funkcjonowaniu naszego systemu emerytalnego. Polacy mają prawo pytać, dlaczego Ukraińcy pracując w Polsce nawet kilka dni, de facto uzyskują prawo do emerytury, na którą Polak pracuje całe życie.

Kilka dni temu, pijąc kawę w kawiarni, zasłyszałem rozmowę przy sąsiednim stoliku. Czterdziestokilkuletni mężczyzna żalił się siedzącej obok kobiecie, że jego syn nie dostał się na wymarzony kierunek studiów, bo uczelnia przyjęła tam

eprasa.pl 03a9f32532

Ukraińców, choć ci mieli znacznie gorsze od niego wyniki egzaminów. To nie jest normalne.

Podobny problem jest z akademikami dla polskich studentów. Większość uczelni przyjmuje zasadę, że pierwszeństwo miejsca w nich ma ten, kto ma dalej od domu rodzinnego. Preferuje to oczywiście imigrantów. Mamy więc do czynienia, w pełnej zgodności z polskim prawem, z całym szeregiem ułatwień dla obcokrajowców w różnych dziedzinach, działających na niekorzyść nas, Polaków. To, o czym rozmawiamy, podkreśla adekwatność hasła tegorocznego Marszu Niepodległości. Przypomnę, że w zeszłym roku hasło marszu brzmiało: „Jeden naród – silna Polska". Polska będzie silna, kiedy silny będzie też naród. A naród jest silny, gdy jest stabilny i stanowi rzeczywistą wspólnotę. Najłatwiej buduje się ją wtedy, kiedy dzielimy wspólną tożsamość, wspólne wartości, najlepiej wspólną religię czy też wspólny kod kulturowy, który dzielmy bez dodatkowego tłumaczenia.

Przywołane przez pana kryteria silnej wspólnoty, które konstytuują silny naród, a więc i silne państwo, są programowo zwalczane przez ośrodki globalistyczne. Ich deklarowanym wprost celem, co ujawniło się niedawno w Hiszpanii, jest wymiana „starych narodów" w Europie na łatwe do sterowania zbiorowości multi-kulti, które będą dla lewicy bazą do kolejnych eksperymentów społecznych. W Polsce jesteśmy na progu tego procesu?

W dłuższej perspektywie to realne zagrożenie. We wspomnianej przez pana Hiszpanii lewicowy rząd nadaje masowo obywatelstwo imigrantom, bo doskonale wie, że stanowią oni potencjalny elektorat lewicy, zwiększający znacząco jej szanse na sprawowanie władzy. Problem, o którym rozmawiamy, prowokuje do pytań: Jak traktujemy państwo jako instytucję? Czym ono dla nas jest? W naszej ocenie państwo jest instrumentem działania konkretnego narodu, a nie niezidentyfikowanej zbiorowości ludzi, niezależnie od tego, kto tworzy tę zbiorowość. Po drugiej stronie politycznej barykady często pada hasło: „Nikt nie jest nielegalny!" . Za tym sloganem stoi wola przyjęcia do Polski wszystkich, którzy chcieliby się do nas dostać i tu zamieszkać. Tyle że niekontrolowane przyjmowanie obywateli innych państw, których tożsamość i obywatelstwo są często bardzo trudne do zidentyfikowania, w oczywisty sposób szkodzi budowaniu wspólnoty narodowej. Nie możemy dopuścić do sytuacji, która ma miejsce w wielu krajach Zachodu, gdzie w jednym państwie funkcjonują dwa równoległe społeczeństwa. Obserwując ostatnie wydarzenia we Francji, gołym okiem widać, że żadne pogramy asymilacji tam nie działają. W niszczycielskich zamieszkach, których widownią były francuskie miasta, masowo uczestniczyli imigranci w drugim czy trzecim pokoleniu. Francuscy obywatele, tam wychowani.

Polityk Lewicy Krzysztof Śmiszek w niedawnym wywiadzie radiowym porównał niszczycielską falę przemocy, która przetoczyła się przez Francję do Marszu Niepodległości. To celowo użyta klisza, żeby skleić dziką przemoc z marszem, który od kilkunastu lat ma miejsce 11 listopada w Warszawie?

Przyznam, że zaśmiałem się, kiedy usłyszałem ten fragment wypowiedzi pana Śmiszka. We Francji podpalano historyczne budynki, niszczono i plądrowano sklepy. Nic takiego nigdy nie wydarzyło się podczas Marszów Niepodległości. Każdego roku przykładamy dużą wagę do tego, żeby marsz przeszedł w sposób spokojny i bezpieczny. Po to od lat szkolimy setki wolontariuszy działających w ramach Straży Marszu Niepodległości i wydajemy na to pieniądze, profesjonalizując się w tym zakresie. Wracając do wydarzeń we Francji, to jest to efekt działań politycznych kolegów Krzysztofa Śmiszka. Właśnie to chciałby on zafundować nam w Polsce, mówiąc: „Nikt nie jest nielegalny!".

Nie obawia się pan prowokacji podczas tegorocznego marszu? Nie ma dnia, żeby premier Tusk, jego ministrowie i wtórujące im media nie straszyły rosyjskimi prowokacjami.

Mam nadzieję, że do nich nie dojdzie, tak jak nie dochodziło w kilku ostatnich latach. Bardzo na to liczę. Myślę, że Straż Marszu Niepodległości będzie się skutecznie przyczyniać do rozładowania każdej potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Jednocześnie, obserwując sytuację polityczną w Polsce i pamiętając, że jest to ostatni Marsz Niepodległości przed przyszłorocznymi wyborami, odnoszę wrażenie, że Donald Tusk dąży do zorganizowania nam jakichś igrzysk. To najprostszy sposób na mobilizację najtwardszego elektoratu i dowiezienie najważniejszej obietnicy, którą Tusk dał swoim wyborcom w 2023 r., czyli „dojechanie" Prawa i Sprawiedliwości. Nie jestem z PiS, często krytykuję tę formację i polemizuję z jej politykami. Jednak z perspektywy tej grupy wyborców Tuska wszystko, co narodowe, co prawicowe, łączy się z PiS. To przekonanie pozwala tym ludziom upraszczać ich świat. Walka z Marszem Niepodległości też wpisuje się w te oczekiwania. Mogę się mylić, ale jest możliwe, że pokusa wyprowadzenia polskich policjantów przeciw Polakom świętującym niepodległość znów się u tej władzy odezwie.

To dość paradoksalne, bo mam wrażenie, że w ostatnich kilku latach Marsz Niepodległości z wydarzenia podwyższonego ryzyka, z wyrazistym politycznym pazurem, zamienił się w masowy patriotyczny piknik. Trudno przykleić rodzinom z dziećmi z biało-czerwonymi kotylionami łatkę faszystów czy putinistów.

Pamiętajmy: odbywa się on w Narodowe Święto Niepodległości. To podstawowa kwestia. Chodzi w nim przede wszystkim o upamiętnienie tych, którzy na rzecz wolnej Polski pracowali, a kiedy było trzeba, złożyli ofiarę życia. 11 listopada oddajemy hołd tym wszystkim ludziom. Dzięki pracy poprzednich pokoleń mamy możliwość żyć w niepodległej wciąż Polsce i cieszyć się wolnością jako naród. Ale jednocześnie nie jesteśmy antykwarystami i uważamy, że w Święto Niepodległości warto, a nawet konieczne jest poruszanie kwestii, które wpływają na naszą niepodległość, naszą suwerenność i sytuację naszego państwa, dlatego co roku mówimy o różnego rodzaju problemach i wyzwaniach, przed którymi staje Polska. One często przesądzają o tym, czy jesteśmy suwerennym, niepodległym państwem. Dlatego tegoroczne hasło Marszu Niepodległości odnosi się nie tylko do zagrożeń związanych z masową imigracją, lecz także do tego, jak Polska funkcjonuje w ramach Unii Europejskiej. Kto realnie podejmuje decyzje? Czy przypadkiem nad nami, gospodarzami państwa polskiego, nie ma jakiegoś zarządcy, dyktującego nam, jak mamy urządzić nasz dom? Według konstytucji suwerenem w Polsce jest naród. W realu wielu polityków w Polsce ma innych suwerenów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Hinduscy imigranci przybywający do Polski nierzadko znajdują zatrudnienie w segmencie gastronomicznym

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

Chocholi taniec z migrantami



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk doznał nagle antyimigranckiego wzmożenia, przechwalając się, że za jego rządów spadła liczba pozytywnie rozpatrywanych wniosków o azyl polityczny i udzielanych cudzoziemcom zezwoleń na pracę

Obrazy płonących miast francuskich, włoskich i belgijskich pobudziły w Polsce falę antyimigranckich emocji, które natychmiast podchwycili politycy. Fakt, że je podchwytują i zamieniają w polityczne paliwo dla siebie, to polityczna normalność. Fakt, że robią to tak głupio, kompromitując w oczach wyborców całą klasę polityczną, a więc pośrednio i demokrację i państwo jako takie, to niestety także swego rodzaju normalność – nasza, polska codzienność kraju, który przez 35 lat nie zdołał stworzyć cywilizowanej ani racjonalnej debaty publicznej, zamiast niej fundując swoim obywatelom nieustanną bijatykę, której uczestnicy, obskakując się nawzajem, stale zamieniają się miejscami, a jedyną logiką rządzącą ich ruchami jest szukanie pozycji do skutecznego wyprowadzenia nokautującego ciosu.

Donald Tusk doznał nagle antyimigranckiego wzmożenia, przechwalając się, że za jego rządów spadła liczba pozytywnie rozpatrywanych wniosków o azyl polityczny i udzielanych cudzoziemcom zezwoleń na pracę. Przy okazji pochwalił się skuteczną obroną przed migrantami wschodniej granicy i rozbudowaniem jej umocnień. Politycy PiS i sprzyjające im media zareagowali na to falą oburzenia na hipokryzję premiera i kpinami: prawą stronę Internetu wypełniły stare wypowiedzi Tuska, że mur na granicy to „największa ze zbrodni PiS", a traktowanie migrantów jak wrogów, gdy tymczasem są to „biedni ludzie szukający swego miejsca na ziemi", to podłość, zestawiane z nowszymi, w których odczłowiecza migrantów, nazywając ich „żywymi torpedami Łukaszenki i Putina", i kłamie, że powstrzymał przymusowe relokowanie do Polski migrantów niechcianych w UE, gdy w istocie egzekwowanie tego podpisanego przez Tuska zobowiązania zostało przez Brukselę jedynie odłożone na czas po wyborach.

W odpowiedzi media prorządowe i media społecznościowe związane z władzą polityków i celebrytów wypełniły imponujące liczby, ile za rządów PiS wystawiono wiz i pozwoleń na pracę, w tym ile obywatelom krajów kulturowo nam jak najbardziej obcych, i komentarze dotyczące hipokryzji partii, która tak straszyła nielegalnymi migrantami, by po dojściu do władzy po prostu zamienić ich oficjalnie w migrantów legalnych.

HINDUSKI PRIORYTET

Ponieważ i jedno, i drugie jest akurat prawdą, z lubością powtarza argumenty obu stron tego sporu Internet konfederacki, opatrując je zapewnieniem, że dopiero oni, dotąd od władzy odpychani, kiedy już ją obejmą, nie wpuszczą do kraju żadnego, ale to żadnego przybysza ani legalnie, ani tym bardziej nielegalnie. Ale że, jak wiemy, Konfederacje mamy dwie, natychmiast wdarł się w te zapewnienia ton rywalizacji, która z nich nie wpuści „nachodźców" bardziej. Bardzo kalorycznym paliwem w tej licytacji okazała się ujawniona przez „PRZEkanał" Bartłomieja Graczyka taśma, mająca dowodzić, że Grzegorz Braun, czy raczej ludzie z nim związani, czerpią zyski ze sprowadzania do Polski pracowników z Indii.

eprasa.pl 03a9f32532

Komentując tę taśmę w jednej z naszych rozmów „Polska Do Rzeczy" z Pawłem Lisickim, wyraziłem opinię, że akurat rozsądniej jest na naszym miejscu szukać pracowników w Indiach niż w krajach muzułmańskich czy afrykańskich – generalnie bowiem statystyki krajów zachodnich pokazują, że społeczności hinduskie sprawiają krajom, które ich goszczą, znacznie mniej kłopotów. Ta uwaga, zdroworozsądkowa – jak uważam – ulokowała mnie nagle w samym centrum wściekłej internetowej propagandy, o profilu, rzekłbym, „kamrackim". Pomijam wulgarność i prymitywne szarpanie emocjami tego wylewu wpisów z anonimowych i niewątpliwie skoordynowanych, powielających stale te same frazy kont, znam to doskonale z poprzednich internetowych „inb", gdy wystąpiłem w obronie linczowanego za niebyły gwałt zakonnika czy wyszydziłem polityczne wykorzystywanie przez Tuska samobójczej śmierci syna jednej z jego posłanek. Akcja pokazała mi jednak, że wielu interesujących się polityką Polaków jest kompletnie bezbronnych wobec demagogii „każda imigracja to zło", i oczywistego kłamstwa, że ktokolwiek rządząc Polską, będzie w stanie zakazać wstępu do kraju i osiedlania się tutaj wszelkim przybyszom – a co dopiero, jak wielu niezdolnych jest do wyobrażenia sobie, jakie by taka próba mogła przynieść skutki.

JAŁOWY JAZGOT

W ten sposób słowna haratanina, rozpięta między histerycznymi skrajnościami, z jednej strony głupim i naiwnym „refugees welcome" a z drugiej „kolorowi s..ją do rzeki", blokuje w Polsce jakąkolwiek refleksję i dyskusję o tym, jakiej polityki migracyjnej potrzebujemy, jaka jest możliwa i jakich narzędzi wymaga. A jest to być może ostatni moment, żeby wymyślić i podjąć jakieś działania. Trwanie w jałowym jazgocie, nieliczącym się z żadnymi realiami, może dać tylko jeden skutek – że każda kolejna władza robić będzie to samo, co przez osiem lat PiS i przez ostatnie trzy lata KO: pozorować, że nas chroni przed migrującym złem, obwiniać poprzedników i aktualnych przeciwników, a po cichu przymykać oczy na import pracowników, bo przecież – jak to pisał klasyk science fiction – „drogi muszą być w ruchu", cokolwiek by się działo.

Czy Polska może sobie pozwolić na całkowite zamknięcie granic? Pomińmy już umowy międzynarodowe, które trudno byłoby wypowiedzieć (np. obywatele Kolumbii, coraz liczniej ostatnio w Polsce wykorzystywani do najbrudniejszych i najgorzej płatnych prac, i coraz bardziej zauważalni w statystykach przestępczości, mogą wjeżdżać do Polski bez żadnych wiz i zezwoleń na mocy umowy, jaką Kolumbia zawarła z Unią Europejską). Bez zagranicznych pracowników czekałoby nas szybkie załamanie gospodarcze. Zapewne sprawiłoby ono, że w końcu znaleźliby się rodowici Polacy, gotowi w desperacji za grosze zbierać truskawki i rozwozić w miastach jedzenie, ale utrata z takim trudem osiągniętego w ostatnich dziesięcioleciach standardu życia przyniosłaby niewyobrażalne koszty społeczne.

MULTUM KWESTII

Pytanie – ilu naprawdę takich pracowników potrzebujemy, a ilu przysyłanych jest tu przez kompletnie niezainteresowane społecznymi skutkami swych działań korporacje i mafie, śrubujące „uberyzowaniem pracy" swe zyski? Pytanie – jak kontrolować sprowadzanie do kraju pracowników, jak zapobiegać obecnemu bezhołowiu, w którym każdy, kto raz do Polski wjedzie, znika państwu z oczu – nie wiemy, czy naprawdę pracuje, gdzie jest, a jeśli nawet zostanie przyłapany na wykroczeniu, nie ma procedur, co z nim zrobić dalej? Pytanie – jakich potrzebujemy mechanizmów prawnych, by możliwość pozostania w kraju po wygaśnięciu kontraktu była nagrodą za asymilację, pracę na rzecz Polski, chęć twórczego włączenia się w nasze życie społeczne i gospodarcze, a nie łatwą opcją dla cwaniaków szukających łatwego dobrobytu kosztem miejscowych, którymi tak naprawdę gardzą? Pytanie – jak selekcjonować chętnych do osiedlania się w Polsce, z jakich krajów wpuszczać więcej, a z jakich mniej przybyszów, jak egzekwować od nich polskie prawo i pozbywać się tych, którzy sprawią problemy?

Ktokolwiek te pytania zada, po którejkolwiek stronie debaty publicznej, może być pewien, że zalany zostanie wściekłą demagogią, odwołującą się do prymitywnych stereotypów i mającą jeden tylko cel – wykazania podatnym na wrzask, że to „oni" sprzyjają dybiącemu na Polskę złu, a „my" was bronimy. Dla jednych krzykaczy herezją będzie, że ktoś taki w ogóle dopuszcza myśl o tolerowaniu migracji w jakiejkolwiek formie, dla innych, że chce ją jakkolwiek ograniczać. Ta perspektywa skutecznie zniechęca do poważnego traktowania problemu.

Kraje zachodniej Europy mają dziś tak wielki problem z migrantami, bo popełniły- określone błędy – w największym skrócie, pozwoliły na masową, niekontrolowaną migrację, nie otwierając jednocześnie dla przybyszów dróg awansu. To diametralnie różniło XX-wieczną Wielką Brytanię czy Francję od XIX-wiecznej Ameryki, która nie przyjmowała każdego – trzeba było przejść surową weryfikację na Wyspie Ellis – a przyjętym oferowała nie zasiłki, tylko „amerykański sen" o awansie własną ciężką pracą z samych nizin do grona milionerów. Z tej przyczyny w USA drugie i trzecie pokolenie przybyszów budowało największe sukcesy swej nowej ojczyzny, podczas gdy w dzisiejszej zachodniej Europie drugie i trzecie pokolenie imigrantów cofnęło się w asymilacji i nienawidzi krajów, w których ich przodkowie nie zdołali wyrwać się z obficie do pewnego momentu dotowanych, ale przykrytych „szklanym sufitem" przedmieść. Nie przypadkiem szczególnie cierpią w tej chwili właśnie Francja i Wielka Brytania, państwa, które cechuje gargantuiczna biurokracja i sieć nieprzeniknionych, środowiskowych układów w kluczowych dziedzinach życia publicznego.

Fala destrukcji zalewająca dziś zachodnią Europę ma wiele przyczyn – tamtejsze kraje pracowały na nią przez wiele dziesięcioleci, nie tylko podejmując złe decyzje, wymuszane przez sojusz fanatycznych wyznawców obłąkańczej ideologii i cynicznie maksymalizujących zyski korporacji, lecz także przede wszystkim w imię bieżącej polityki zamykając oczy na rzeczywistość i zagłuszając wszelkie odruchy zdrowego rozsądku. Jeśli wykażemy się podobną niefrasobliwością – a z naszą polską skłonnością do „jakoś to będzie" jesteśmy tym szczególnie zagrożeni – i jeśli palący, kluczowy problem imigracji pozostanie tylko pałką do okładania się w bieżącej politycznej bijatyce, to powszechnie wypominana dziś Donaldowi Tuskowi zapowiedź, brzmiące dziś złowrogo zapewnienie: „Wkrótce będzie Paryż w Warszawie", może się istotnie spełnić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Tom Cruise jako główny bohater w filmie „Digger” FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Czas żenady



Piotr Gociek

Kto myślał, że apogeum głupoty motywowanej ideologicznie mamy już w kinach za sobą, grubo się mylił. Oto najnowsze przykłady

Weekend 9–11 października był pod tym względem w polskich kinach symboliczny. Jednocześnie weszły na ekrany aż trzy filmy, które łączą duże nazwiska, wielką pretensjonalność i polityczny przechył. Wszystkie są objawami ciężkiej choroby toczącej Hollywood. Oto ich tytuły: „Digger”, „The Social Reckoning: W sieci konsekwencji” oraz „Primetime”.

„Digger” to najnowszy film w reżyserii Alejandro Gonzáleza Iñárritu, autora nagrodzonych Oscarami filmów „Birdman” (2014) i „Zjawa” (2015). Wcześniej nominowany był do Oscara za „Babel” (2006). Po debiutanckim „Amores perros” (2000) obwołano go jednym z najbardziej obiecujących reżyserów, w latach 2014–2015 był u szczytu sławy. W kolejnej dekadzie milczenie przerwał tylko raz, kręcąc dla Netflixa film „BARDO, fałszywa kronika garści prawd” (2022). „Digger” miał być powrotem w wielkim stylu i z wielkimi gwiazdami na pokładzie. Gwiazdy dopisały, reszta już się nie zgadza. W roli głównej pojawił się Tom Cruise, któremu na ekranie partnerowali John Goodman czy Sandra Hüller, oklaskiwana w ostatnich latach (słusznie) za świetne role w filmach „Strefa interesów”, „Anatomia upadku” czy „Ojczyzna”.

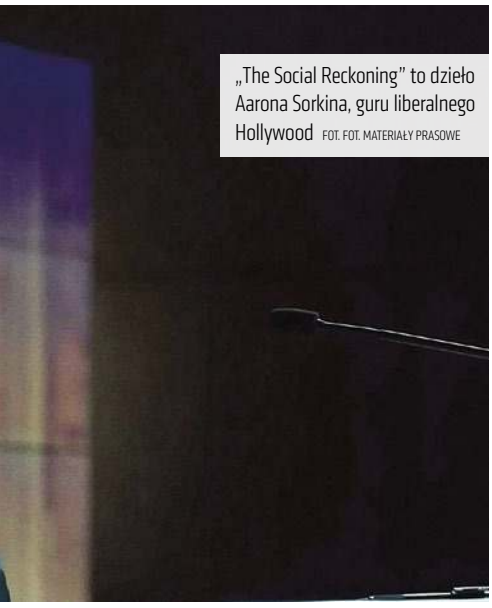
KATASTROFA NIE TYLKO FINANSOWA

„Digger” przejdzie do historii jako jedna z największych katastrof finansowych w dziejach kina. Budżet nakręconego z rozmachem filmu szacuje się na 170–180 mln dol., tymczasem pierwszy miesiąc dystrybucji w USA i na większości rynków światowych zamknął wpływami czterokrotnie niższymi. Do kwoty wydanej na produkcję należy dodać jeszcze 100 mln dol. wydanych na promocję filmu. Według wyliczeń „Guardiana” łączne straty wynieść mogą 245 mln dol.

W karierze Toma Cruise’a także zapisze się fatalnie. W pierwszym tygodniu wyświetlania w USA „Digger” zarobił zaledwie 8 mln dol., jak na film z gwiazdą formatu Cruise’a była to kwota żenująca. W drugim tygodniu wyświetlania wpływy spadły w amerykańskich kinach o ponad 60 proc. Publiczność odrzuciła ten film. Nie tylko w Ameryce. Dlaczego? Sądząc po reakcjach twórców, bo jest głupia i nie potrafi docenić arcydzieła.

Prawda jest jednak inna. Film, który zapowiadano jako czarną komedię na miarę dzieła Kubricka „Dr Strangelove”, miał być satyryczną, ale wielce ważną wypowiedzią na temat najważniejszych trapiących obecnie ludzkość trosk. Jakie to troski wedle Iñárritu? Oczywiście globalne ocieplenie i oczywiście obrzydliwi bogacze. Wszelkie zło tego świata łączy w sobie główny bohater opowieści, Digger Rockwell, osobnik, którego firma doprowadziła do globalnej katastrofy ekologicznej, przyjaciel prezydenta USA, równie zresztą obrzydliwego. Myślę, że nie pomylę się wiele, jeśli postawię tezę,

eprasa.pl 03a9f32532



„The Social Reckoning" to dzieło Aarona Sorkina, guru liberalnego Hollywood FOT. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Robert Pattinson w roli dziennikarza Chrisa Hansena w thrillerze „Primetime" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

że wśród inspiracji do pisania scenariusza musiało być słynne zawołanie Donalda Trumpa: „Drill, baby, drill!", wzywające do wznowienia na szeroką skalę eksploatacji surowców kopalnych.

Iñárritu ma talent i kilka dobrych filmów w życiu nakręcił, tutaj też stara się nadać swej komedii formę nieoczywistą. „Digger" okazuje się opowieścią meta, rozgrywa się niby współcześnie, ale tak naprawdę jest przedstawieniem odgrywanym już po upadku cywilizacji. Niewiele się zmieniło, ci, którzy doprowadzili do katastrofy, nadal dzierżą władzę i zarabiają na swoich ofiarach. Jestem w stanie wyobrazić sobie wersję filmu, która byłaby oryginalna i zabawna, ale mimo wszystkich wysiłków reżysera i scenarzystów ten samolot nigdy nie wzbija się do lotu. To, co pozostaje w pamięci, to drętwa lekcja ekologizmu i Tom Cruise w charakteryzacji równie zaskakującej co w komedii „Jaja w tropikach".

POLITYCZNE TYRADY

Ropa naftowa, bogacze (zwłaszcza ci z branży energetycznej) oraz prezydent Trump doprowadzą cywilizację do zagłady. To zatem lekcja pierwsza. Czas na drugą, jak to się stało, że ktoś tych potworów słucha, że nie są obalani, że Trumpa ponownie wybrano na prezydenta? Że ludzie nie chcą czytać komentarzy z „New York Timesa" i się nimi nieustannie zachwycać, tak jak tezami, że Kamala Harris jest najmądrzejszą, najpiękniejszą i najbardziej utalentowaną polityk od czasów Lincolna, a Trump to drugi Hitler? Tu z pomocą przychodzi nam inny film: „The Social Reckoning: W sieci konsekwencji".

Jest to dzieło Aarona Sorkina, guru liberalnego Hollywood, czczonego za serial „Prezydencki poker" i scenariusze do filmów takich jak „Ludzie honoru" czy „The Social Network". Tytuł tego ostatniego nieustannie wykorzystywany jest w kampanii promocyjnej „The Social Reckoning", ale jest to grube nadużycie. Film Sorkina nie jest bowiem, jak się nam chce wmówić, kontynuacją słynnej opowieści o narodzinach Facebooka (nagrodzonej zresztą trzema Oscarami). Nie maczał w nim palców David Fincher, który reżyserował oryginalny film, nie mamy nikogo z oryginalnej obsady. Starszego o parę dekad Marka Zuckerberga gra już nie nerdowaty Jesse Eisenberg, lecz Jeremy Strong. W jego interpretacji założyciel Facebooka to groźny maniak.

Sorkin koncentruje się na słynnym wycieku dokumentów Facebooka (za którym stała Frances Haugen, jedna z pracowniczek Civic Integrity Team w Facebooku) oraz na dziennikarskim śledztwie prowadzonym przez reportera „The Wall Street Journal". Tego ostatniego, czyli Jeffa Horwitza, gra Jeremy Allen White, utalentowany aktor, który jest na najlepszej drodze do tego, by doborem ról storpedować własną karierę. Wielką popularność i zasłużone pochwały zyskał dzięki serialowi „The Bear", ale potem odnotował więcej porażek niż zwycięstw, przede wszystkim katastrofę finansową filmu o Bruce'ie Springsteenie („Ocal mnie od nicości"), w którym grał główną rolę. Na film „The Social Reckoning" też Amerykanie nie chcieli za bardzo iść do kin. W weekend otwarcia zadebiutował na piątym miejscu, do tej pory zarobił łącznie (w USA i na świecie) ok. 15 mln dol. Ale kosztował 40 mln, nie licząc wydatków na promocję.

Ta obojętność na polityczne tyrady Sorkina mnie nie dziwi, bo miesza ze sobą dwa problemy i odwraca kota ogonem. Tak, ujawnione dokumenty pokazywały, że Facebook ma w nosie dobro użytkowników, że cynicznie zarabia na nakręcaniu polaryzacji, na podsuwaniu konsumentom treści, które podsycają w nich polityczny radykalizm, a u niektórych polityczną paranoję. Ale wniosek stawia następujący: to Facebook i Zuckerberg osobiście odpowiedzialni są za wzrost popularności alt-prawicy, ruchu MAGA, a w szczególności za zamieszki na Kapitolu z 6 stycznia 2021 r. Resztę widz ma dopowiedzieć sobie sam: gdyby Facebookiem zarządzali mądrzy ludzie, kierujący się obywatelską troską, to świat byłby lepszym miejscem.

Tyle tylko, że Antifa też zwołuje się na zadymy przez media społecznościowe, a sam Facebook ciężko pracował na to, by zamykać usta zwolennikom prawicy i cenzurować swoje media. Tego Sorkin

eprasa.pl 03a9f32532

nie zauważa, bo do tezy nie pasuje. Tymczasem mamy do czynienia z dwoma różnymi problemami: zarabianie na radykalizacji to biznes. Jak mawiał Michael Jordan: „Republikanie też kupują sneakersy" (nie batony, tylko sportowe buty). Nieważne, o co kłócimy się na swoich profilach czy w komentarzach, wszystko to generuje ruch, większy ruch to większa liczba odsłon reklam, czyli większe zyski. Proste.

Natomiast stronniczość i cenzura to już sprawa zupełnie osobna i dużo bardziej groźna. Zuckerberg, tak jak wielu innych magnatów Doliny Krzemowej, bardzo chciał podobać się na salonach i swoimi cenzorskimi mechanizmami mocno pomagał opcji lewicowo-liberalnej. Przeszło mu, gdy do Białego Domu ponownie wprowadził się Donald Trump. „The Social Reckoning" piętnuje Zuckerberga za to, że pozwolił się zwoływać rebeliantom idącym na Kapitol, czyli co? Powinien im komunikowania się ze sobą zakazać? Cenzura w imię słusznej, wedle Sorkina, sprawy pozostaje cenzurą. O zwalczaniu wartości konserwatywnych na Facebooku już się amerykański scenarzysta i reżyser nie zająknie.

A jeszcze à propos Trumpa, zabawna sprawa, recenzent lewicowego „Guardiana" ma do Sorkina pretensje, że w filmie pomija się złowrogą (wedle niego) rolę Trumpa w wydarzeniach 6 stycznia 2021 r. Wyścig na radykalizm po stronie postępu trwa i staromodny liberał Sorkin staje się już dziadersem. Co zresztą jest prawdą, gdy porównać jego poczciwe jojczenie z codzienną praktyką ekstremistów z DSA (Demokratyczni Socjaliści Ameryki) przejmujących kontrolę nad Partią Demokratyczną.

GDZIE JEST GRANICA?

Film „Primetime" w reżyserii Lance'a Oppenheima pozornie nie pasuje do opisanych wyżej tytułów: to opowieść o szybkim wzlocie i upadku telewizyjnego celebryty Chrisa Hansena (w tej roli Robert Pattinson). Hansen zasłynął swego czasu jako twórca widowiska łączącego reality show z dziennikarstwem śledczym. W programie stacji NBC „To Catch a Predator" („Schwytać drapieżcę") wynajęci przez telewizję aktorzy udawali w Internecie nieletnich, odgrywając w istocie rolę przynęty na pedofilów szukających kolejnych ofiar. Gdy pedofil ostatecznie umawiał się na spotkanie ze swą ofiarą, trafiał do domu, w którym zainstalowane były kamery, a w osobnym miejscu policja czekała już, by delikwenta aresztować. Hansen zaś montował to wszystko w pełen emocji show, a NBC biła dzięki niemu rekordy oglądalności. Rzecz kończy się skandalem, gdy jeden z pedofilów popełnia przed kamerami samobójstwo. Pytanie o to, gdzie jest granica między tym, co media mogą, a czego nie powinny, o granicę między etycznym dziennikarstwem w dobrej sprawie a zwykłym podglądactwem i tarzaniem się w obrzydliwościach jest oczywiście zasadne. Inna sprawa, że pomysł Lance'a Oppenheima nie był szczególnie oryginalny.

Czy kogoś może w tej sytuacji dziwić, że kina coraz częściej wolą wyświetlać przeboje sprzed lat?

Wspomnijmy dwa klasyczne filmy sprzed pół wieku, które ciekawiej pytały o etykę mediów. Jeden to „Sieć" („Network", 1976) Sidneya Lumeta, w którym mieliśmy reality show z udziałem prawdziwej grupy terrorystycznej. Drugi to poruszająca „Śmierć na żywo" („La Mort en direct") Bertranda Taverniera o transmitowaniu w telewizji ostatnich chwil życia umierającej gwiazdy filmowej. A tak naprawdę świat miał przecież już wcześniej przedsmak takich „atrakcji" w realu, kiedy kamery amerykańskiej stacji telewizyjnej transmitowały w czasie rzeczywistym to, co działo się podczas ataku palestyńskich terrorystów na kwatery izraelskich sportowców podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w roku 1972.

Film Oppenheima w odróżnieniu od „Diggera" i „The Social Reckoning" przyniósł zauważalne wpływy. Nakręcony za niespełna 15 mln dol. zarobił już ok. 50 mln. Bez wątpienia działa tu i magia nazwiska Pattinsona oraz mocno sensacyjny, skandalizujący temat. Ale jest „Primetime" filmem, który nie opisuje rzeczywistości, tylko ją wykrzywia. Nie pokazuje, lecz nagina pod tezę.

Przez amerykańskie media przetoczył się wielki spór o to, na ile działalność Chrisa Hansena została pokazana rzetelnie. On sam głośno protestuje przeciwko temu, w jaki sposób prezentuje się go na ekranie. Nie była to opowieść przez niego autoryzowana, niewykluczone, że skończy się to wszystko sądowymi pozwami. Hansen ma rację. Niezależnie od tego, czy uważamy, że sam pomysł pokazywania w telewizji tego typu produkcji jest etyczny czy nie, twórcy „Primetime" dokonali znaczącego przesunięcia akcentów. Hansen pokazany jest jako osobnik chciwy i mściwy, bezlitosny i pozbawiony empatii, który dla pieniędzy i sławy zrobi wszystko. Jest mu więc obojętne, czy przy okazji kogoś nie skrzywdzi albo czy na ekranie nie padnie prawdziwy trup.

No dobrze, ale gdy kogoś się na ekranie umniejsza, to przecież kosztem sympatii do kogoś innego. I tu mamy problem, bo w opowieści Oppenheima mamy trzy rodzaje ofiar: dziennikarską rzetelność, ludzi, którzy pracowali dla Hansena (historię widzimy oczami jednego z aktorów udających dzieci) oraz… No właśnie, zgadliście. Na tle demonicznego Hansena (on sam nazywa manierę aktorską Pattinsona „wampiryczną") demaskowani pedofile prezentują się niemal sympatycznie. Wiecie, godni współczucia ludzie, którzy padli ofiarą bezwzględnego drapieżcy. Bo w „Primetime" drapieżcami nie są miłośnicy seksu z nieletnimi, tylko wstrętny Hansen.

DIABŁY WCIELONE

Mamy więc trzy opowieści, które składają się na obraz świata wedle hollywoodzkich libków. Diabły wcielone to kapitaliści, bogacze, magnaci Big Tech i łowcy przestępców. Świat trzeba uratować przed globalnym ociepleniem i konserwatystami poprzez cenzurę mediów społecznościowych oraz zamknięcie rafinerii i pól naftowych. Tradycyjna moralność, tradycyjne zasady, wedle których przestępca godny jest potępienia, a ten, kto go zdemaskuje, działa w interesie publicznym, cóż, to wszystko nie jest już ważne. Czy kogoś może w tej sytuacji dziwić, że kina coraz częściej wolą wyświetlać przeboje sprzed lat, zamiast pokazywać nowości z Los Angeles? Ja się nie dziwię i stawiam tezę, będzie gorzej, to się już nie sklei.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532

Hucpa ma swoje granice



Krzysztof Masłoń

Dziesięć lat temu edukacją domową objętych było w Polsce 6,9 tys. uczniów, w zeszłym roku 63 tys. Gwałtowny przyrost dzieci i młodzieży omijającej placówki oświatowe szerokim łukiem nastąpił w ostatnich latach, a jeśli kierująca edukacją narodową Barbara Nowacka nie spakuje się wreszcie i nie wyniesie z gmachu przy Alei Szucha w Warszawie, to wskaźnik ten szybko osiągnie niebotyczne rozmiary. Rolę nauczycieli przejmą rodzice i dziadkowie, w zamożniejszych domach zagnieżdżą się guwernerzy, a korepetytorzy przebierać będą w ofertach niczym w ulęgałkach.

Ale oto na ostatniej sesji Sejmu Dzieci i Młodzieży minister Nowacka zaapelowała do uczniów, by szanowali swoich nauczycieli, bo to oni „zapewniają wam bezpieczeństwo i są waszymi przewodnikami". To nowy akcent, jeśli chodzi o ministerialną ocenę sytuacji w szkołach; do tej pory słyszeliśmy raczej o nienadążających za wymogami nowoczesności pedagogach, rodzicach stawiających opór zmianom, bez wprowadzenia których szkolnictwo dusi się w oparach religianctwa i nauczania ze średniowiecza rodem, wreszcie o uczniach nie dość wyraźnie akcentujących swoje naturalne potrzeby, związane głównie z koniecznością poszerzenia wiedzy objętej programem edukacji zdrowotnej.

Gospodarzem, przepraszam – gospodarką spotkania w gmachu Sejmu była oczywiście złotousta szefowa MEN, ale posiedzenie otworzył sam marszałek Włodzimierz Czarzasty, co nadało całej sesji odpowiednio wysoką rangę i co zgromadzeni przyjęli z uznaniem, choć żałowali, że marszałek nie skorzystał z okazji, by opowiedzieć im ze szczegółami, jak to w strasznych latach komuny srał na polu. Poza tym było jednak super i uczestnicy ze zrozumieniem przyjęli zapewnienie pani Nowackiej, że „życie parlamentarne to wielka odpowiedzialność i wielki obowiązek". Coś im tam wprawdzie chodziło po głowach, że jeśli chodzi o wielki, zbiorowy obowiązek, to jest nim ojczyzna. Ale kto wie? Może życie parlamentarne jest jeszcze większym?

A w najbliższych dniach uczniowie poznają plany ewakuacyjne i będą ćwiczyć reagowanie na zagrożenia. Po niedawnych wypadkach z nożownikami wydawać się to może racjonalnym działaniem, tyle że przejście na nauczanie domowe sprawi, że reagować na zagrożenia nie będzie trzeba, a jeśli już, to na zupełnie inne.

Gdy pani minister debatowała z dziatwą na Wiejskiej, jej zastępczyni, Katarzyna Lubnauer, brylowała w Sopocie na Europejskim Forum Nowych Idei, gdzie opowiadała o przyszłości edukacji i dobrostanie psychicznym dzieci i młodzieży. Ciekawe, jaki jest ów dobrostan u tych uczniów, którzy w szkole uczą się tego, jak się z niej ewakuować, i tych, którzy ze szkołą kontakt, i to ograniczony, mają tylko wtedy, gdy przychodzi im zdawać egzaminy sprawdzające ich nabytą domowym sposobem wiedzę. Specjaliści od szkolnej pedagogiki i psychologii zwracają uwagę na pewien mankament nauczania domowego, a mianowicie brak kontaktu z rówieśnikami, a zwłaszcza tymi z innych warstw i grup społecznych. No cóż, nie brakuje rodziców, a i uczniów też, wystrzegających się właśnie takich znajomości jak ognia. Zachowania prospołeczne są cenne, ale bywają wśród nich i groźne, i jako takie niepożądane.

W zeszłym roku w szkołach niepublicznych uczyło się 5,85 proc. uczniów szkół podstawowych i prawie dwa razy tyle, bo 10,55 proc., uczniów szkół ponadpodstawowych. To nie jest tak, że taka szkoła niejako a priori gwarantuje wysoki poziom, ale przynajmniej stwarza szansę na to, że pomysły od czapy podsuwane przez edukatorki z Alei Szucha w tempie wprost proporcjonalnym do pogłębiającej się zapaści w polskiej szkole będą tam poddawane krytycznej analizie, a nie tylko wprowadzane w życie, bez sprawdzenia, bez zweryfikowania, bez sensu.

Naturalnie można machnąć ręką na szkolne czy pozaszkolne nauczanie, licząc na to, że i tak wszystko załatwi za nas sztuczna inteligencja. Skoro co trzeci dwulatek i niemal co drugi trzylatek nie rozstaje się ze smartfonem czy tabletem, to prawdopodobne się staje, że ogłupionej do szczętu dziatwie wystarczy taka „pomoc naukowa", by stać się wszechwiedzącą i aspirować,



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

choćby wzorem Barbary Mróz-Gorgoń, do profesury na Uniwersytecie Kasetsart w Bangkoku.

Hucpa ma, na szczęście, swoje granice. I tak wymieniona tu „doktor habilitowana nauk społecznych w dyscyplinie nauki o zarządzaniu i jakości" wyłożyła się jak długa na wytworzonym przez sztuczną inteligencję, a pełnym bzdur do kwadratu raporcie bezczelnie nazwanym „Polaków portret własny". Ta nazwa powinna być chroniona przez pamięć niesłychanie ważnej wystawy, którą w 1979 r. zorganizował w Muzeum Narodowym w Krakowie Marek Rostworowski. Wpisała się ona w ciąg wydarzeń, które doprowadziły do przebudzenia Polaków i Sierpnia '80.

Aż boję się pomyśleć, jak ukształtuje się wizerunek tych, którzy czytać będą jedną książkę rocznie, klasykę, włącznie z „Panem Tadeuszem", poznają w ustępach (mniej lub bardziej dosłownie), wielkie powieści z seriali Netflixa, a umiejętność pisania przydatna im będzie wyłącznie do uprawianego bez opamiętania hejtu.

To nie są żarty. Nowacka, pakuj się! Już! ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



Piotr Semka z Medzilaborców



Pop-artowski ikonostas w Muzeum w Medzilaborcach

FOT. PIOTR SEMKA

Papież pop-artu i religia

Nazwisko człowieka, który z puszki zupy Campbell uczynił dzieło sztuki, wciąż stanowi atrakcyjny wabik

Chociaż od naszej granicy to tylko 11 km, stosunkowo niewielu polskich turystów odwiedzających Bieszczady zagląda do słowackiej miejscowości Medzilaborce. Przez długie powojenne lata była to dość senna stolica powiatu (po słowacku powiat to „okres"). Znajduje się na terenie Sarisza, czyli w najuboższej części dzisiejszej Słowacji. Sporo tu Romów, ale dominuje ludność rusińska. Tyle że podzielona religijnie.

PRZYMUSOWE SCALENIE

Na tych terenach w wielu wsiach często są dwie, a nawet trzy świątynie – greckokatolicka, prawosławna, a niekiedy katolicka. I tak jest właśnie w Medzilaborcach. Grekokatolicy mają Kościół Świętego Bazylego Wielkiego, katolicy kościółek „Bohorodiczki Panny Marii", a prawosławni dumni są z dominującej w sylwecie miasta Cerkwi Świętego Ducha.

Ta okazała świątynia stanowi jednocześnie pamiątkę po gwałcie na sumieniach z lat stalinizmu. Na wzór sowiecki w 1950 r. komunistyczne władze w Pradze zarządziły przymusowe wcielenie grekokatolików do cerkwi prawosławnej. Aby zachęcić do tego scalania, z pomocą państwa, wybudowano w 1949 r. – w miejsce starej prawosławnej cerkiewki spalonej w czasie drugiej wojny światowej – nową, ogromną cerkiew w stylu staroruskiego renesansu. Gdy tylko zelżał terror, w czasie czechosłowackiej odwilży 1968 r. grekokatolikom pozwolono oficjalnie powrócić do dawnego kościoła. Ale nie wszyscy wrócili do dawnej wiary. Cerkiew prawosławna zachowała sporą część wiernych z dawnego Kościoła greckokatolickiego. Dziś chram Świętego Ducha dumnie błyszczy złotymi kopułami na wzgórzu naprzeciw ogromnego Muzeum Andy'ego Warhola (1928–1987).

To właśnie z tych okolic, a dokładnie ze wsi Mikova, 14 km na północny zachód od Medzilaborców, pochodzili rodzice twórcy pop-artu.

„JESTEM CZŁOWIEK ZNIKĄD"

Tak przedstawiał się Andy Warhol, gdy natrętni dziennikarze indagowali go o etniczne korzenie. Zapewne nie miał siły tłumaczyć nowojorskim ignorantom, jak skomplikowane narodowo tożsamości występowały w kraju jego przodków. Rusini w USA używają określenia „Ruthenians", ale i tak liczni Amerykanie wciąż mylą ich z Rosjanami.

Muzeum Sztuki Nowoczesnej Andy'ego Warhola otwarto ponownie we wrześniu br. po paroletniej przebudowie. Założono je w 1991 r. z inicjatywy czeskich i słowackich miłośników Warhola, głównie emigrantów, którzy trafili do USA, przy osobistym wsparciu ówczesnego prezydenta Czechosłowacji, Václava Havla. Władze centralne hojnie sypnęły groszem na tę inicjatywę. Zakładano, że muzeum znanego na całym świecie artysty ożywi turystykę regionu i osłabi skargi Słowaków na skąpstwo Pragi wobec mniej rozwiniętej wschodniej części wspólnego państwa. Rok później Republika Czechosłowacka rozpadła się na dwa odrębne państwa i dziś muzeum w Medzilaborcach jest na garnuszku rządu w Bratysławie. Ale też Muzeum Andy'ego Warhola to demonstracja życzliwości państwa słowackiego dla Rusinów. A to w kraju za Tatrami dość ważna grupa mniejszości narodowej, nieporównywalnie sprawniejsza niż polska społeczność Łemków. Tu zresztą pojawia się kwestia terminologii. U nas dominuje nazwa Łemkowie, a na Słowacji sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Część ludności rusińskiej uważa się za Ukraińców, a druga, większa grupa (ok. 25 tys.), za osobny naród rusiński, odrębny od ukraińskiego.

Tak czy inaczej, Andy Warhol to najsłynniejszy Rusin na świecie. I muzeum przyciąga rzeczywiście sporą liczbę turystów z krajów zachodnich. Nazwisko człowieka, który z puszki zupy Campbell uczynił dzieło sztuki, wciąż stanowi atrak-

eprasa.pl 03a9f32532

cyjny wabik. Ponieważ Warhol wprowadził praktykę seryjnego produkowania swoich grafik, muzeum zdołało zdobyć wystarczająco dużo jego dzieł, aby uniknąć wrażenia bycia ubogim krewnym najważniejszego muzeum warholowskiego – w jego rodzinnym Pittsburghu. Na dodatek życzliwe galerie z Nowego Jorku chętnie pożyczają muzealnikom z Medzilaborców rozmaite dzieła głównego bohatera muzeum.

RUSIŃSKIE TRADYCJE

Krążąc po salach wytapetowanych rozmaitymi serigrafiami, nie potrafię jednak wykrzesać z siebie jakiegoś wyjątkowego entuzjazmu. Pop-art – jeszcze pół wieku temu tak podziwiany w Polsce, jak wszystko co przychodziło do nas z Zachodu – sporo stracił ze swego powabu. Odkrycie, że pudełko z proszkiem do prania Brillo, plakat z Liz Taylor czy zwykły banknot dolarowy można zamienić w dzieło sztuki, mogło być odkrywcze w latach 60. Ale efekt nowości tego nurtu w sztuce szybko spowszedniał i dziś nieco nuży. Polskich fanów pop-artu zachwycą tu nie tylko oryginalne dzieła Warhola, lecz także tych wybitnych artystów, którzy znali nowojorskiego indywidualistę osobiście lub inspirowali się jego sztuką. Dlatego znajdziemy tu prace Keitha Haringa, Roya Lichtensteina, Roberta Indiany, Jeana-Michela Basquiata, a także kolejnych, którzy już używali ekscentrycznych pseudonimów typu „Bambi" czy „Poppy". W końcu inspiracji warholowskich doszukują się krytycy także w dziełach dzisiejszej gwiazdy popkultury, Banksy'ego.

Dla mnie o wiele ciekawsza była ekspozycja dotycząca dziejów rodziny Warhola i wpływu rusińskiej tradycji – tej religijnej, jak i folklorystycznej – na estetykę, której hołdował buntownik z nowojorskiej pracowni Factory.

KWIATKI Z PUSZEK

Gdy matka Warhola, Julianna Zavacka, przyszła na świat 20 listopada 1891 r., jej rodzinna wieś nosiła madziarską nazwę Mikó i należała do węgierskiej części państwa cesarza Franciszka Józefa. Co ciekawe, na wystawie można dowiedzieć się, że dziadek Julii, którego nazwisko zachowało się w formie Mrocsko, był rzymskokatolickim Polakiem z Galicji. Jak można podejrzewać, gdyby jego nazwiska



Julia Warchola ze swoimi synami. Andy po prawej REPRODUKCJA: PIOTR SEMKA

nie zapisywali madziarscy kanceliści, w polskiej wersji byłby zapewne Maciejem Mroczko.

Dla odmiany babka Julii ze strony matki była katoliczką o korzeniach austriacko-niemieckich i przed ślubem z panem Mrocsko nosiła czysto germańskie nazwisko Josephine Blau.

Wszystko to pokazuje, jak skomplikowane były relacje etniczne na tych ziemiach. Nie zmienia to jednak faktu, że gdy mała Julia przyszła na świat jej rodzina była już w pełni zasymilowana z lokalną kulturą rusińską. W wieku 17 lat poznała swojego przyszłego męża. Nazywał się Andriej Warchola. Jak wspominała, ujął ją, kupując jej smakowite cukierki.

„I dla tych cukierków wyszłam za niego" – wyznała po latach matka artysty.

Co jeszcze ciekawsze, w 1912 r. Andriej Warchola wyjechał do Polski, gdzie pracował jako robotnik. Gdyby tu został na stałe, być może Andy Warhol byłby dziś Andrzejem Warchołem.

Ale tuż przed pierwszą wojną światową Andriej senior, wyczuwając być może zbliżający się śmiercionośny konflikt na



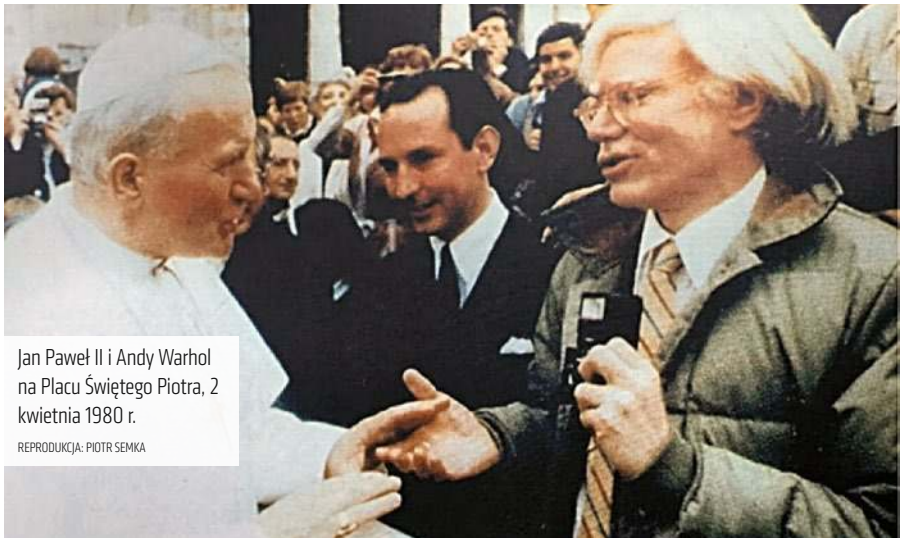
Mały Andriej z matką Julią w kościele greckokatolickim w Pittsburghu (zdjęcie wygenerowane przez AI) REPRODUKCJA: PIOTR SEMKA

miarę kontynentu, dla uniknięcia poboru wojskowego wyjechał do Ameryki. Julia została w swojej wsi, czekając na męża. Ale ten po zakończeniu pierwszej wojny światowej listownie polecił żonie, aby dołączyła do niego w Pittsburghu w USA, gdzie pracował jako górnik. Dzięki pożyczce od wiejskiego proboszcza dzielna Julia przebyła Atlantyk i dołączyła do małżonka. Tu w Pittsburghu rodzą się jej trzej synowie: Paul, John i w 1928 r. przychodzi na świat Andy. Cała rodzina uczęszcza do greckokatolickiej Cerkwi Świętego Jana Chryzostoma. Mały Andriej, który odziedziczył imię po ojcu, w czasie nabożeństw, jak zafascynowany wpatruje się w ikonostas pełen różnobarwnych portretów najrozmaitszych świętych.

W 1942 r. odchodzi na zawsze ojciec. Praca w kopalni na tyle wyniszczyła jego zdrowie, że umiera na gruźlicze zapalenie otrzewnej. Julia musi utrzymać się na powierzchni, ciężko pracując, aby utrzymać trójkę dzieci. Ale oprócz posady przy sprzątaniu domów bardzo pomaga jej nabyty jeszcze w Mikovej talent plastyczny. Oczywiście na miarę rusińskiej wsi w odległych Karpatach. Julia doskonale haftuje, robi dla dzieci wspaniałe zabawki z byle czego, co zachwyca młodego Andy'ego, który dla matki zawsze będzie Andriejem. Dzielna kobieta z powodzeniem wspomaga domowy budżet, sprzedając sztuczne bukiety z puszek po konserwach (po zupie Campbella) i bibułki. Maluje też wspaniałe pisanki z drewna, które sprzedaje w okolicach Wielkanocy. Najmłodsze dziecko, Andy jest jej ciągłym zmartwieniem. W dzieciństwie przechodzi przez schorzenie na tle nerwowym – pląsawicę, tzw. chorobę świętego Wita.

Julia Warchola przez całe życie słabo znała język angielski. Lubiła śpiewać w domu ludowe pieśni rusińskie i bardzo dbała, aby synowie szanowali i kultywowali tę tradycję. W latach 50. nagrała nawet specjalnie na taśmie magnetofonowej dla swych synów ludowe piosenki oraz religijne hymny i modlitwy. Sama też rysowała i potem, po latach, Andy często wykorzystywał wymyślony przez nią krój pismo w swoich książkach. Wpływ matki zadecydował o wyborze przez syna kariery ilustratora, a później już samodzielnego artysty grafika. Gdy

eprasa.pl 03a9f32532



Jan Paweł II i Andy Warhol na Placu Świętego Piotra, 2 kwietnia 1980 r.

REPRODUKCJA: PIOTR SEMKA

w 1949 r. ukończył studia w Carnegie Institute of Technology w Pittsburghu i przeprowadził się do Nowego Jorku, aby rozpocząć karierę jako ilustrator komercyjny, zmienił nazwisko na Andy Warhol. Kariera wymagała wygumkowania wschodnioeuropejskich śladów.

SAMOTNIK W TŁUMIE

Nie ma co ukrywać, że Warhol nie utonął w Nowym Jorku po uszy w świecie nowojorskiej bohemy. I to w jej transgresywnym nurcie z lat 60. i 70. Wraz z jego zepsuciem, minoderią i błahością. Szybko zdobywa sławę, a razem z nią specyficzny status i legendę, którą sam bardzo starannie budował. W tym środowisku nie było żadnym problemem utrzymywanie przez niego homoseksualnych związków. Jednak w trakcie śledzenia ekspozycji w Medzilaborcach można odnieść wrażenie, że była to obronna tarcza, za którą chronił swoje przywiązanie do rodzinnych korzeni. Nie próbował nimi zachwycić swoich amerykańskich awangardowych przyjaciół. Jak zapewne słusznie uznał, niczego by ani nie zrozumieli, ani nie docenili.

Dlatego autorzy ekspozycji o życiu Warhola uwypuklają to, co nie było zbyt wyraźnie widoczne za pozą ekscentrycznego przyjaciela nowojorskich skandalistów. A ważnym elementem jego tożsamości była greckokatolicka religia. Dopóki rodzicielka miała wpływ na syna, dopóty dbała, by regularnie chodził na nabożeństwa. Potem coraz więcej rzeczy z artystycznego świata, w którym zdobywał rozgłos, ukrywał przed prostolinijną matką. Jednak nie zerwał z wiarą, kultywował ją po kryjomu, bez ostentacji. Jak wielu gejów szarpał się między swymi skłonnościami a poczuciem samotności i szukaniem w Bogu nadziei. Regularnie praktykował w nowojorskich kościołach katolickich. Znane jest świadectwo ojca Sama Matarazzy, przeora Klasztoru Świętego Wincentego Ferreriusza na Manhattanie, który już po śmierci artysty zaświadczył, że był świadkiem jego częstych wizyt w kościele, niekiedy dwa lub trzy razy w tygodniu. Według relacji niektórych znajomych czuł się skrępowany wykonywaniem znaku krzyża „inaczej", grekokatolicy czynią ten gest tak jak prawosławni, czyli w odwrotną stronę niż rzymscy katolicy.

Trudno nie odnieść wrażenia, że im bardziej posuwał się z wiekiem, z tym większą swobodą już mówił o swojej religijności. Był już uznaną sławą i mógł nie obawiać się kpin z jakichś „dzikich wschodnich korzeni" czy „religijnych zabobonów". I wtedy zaczęto zauważać, że jego kolaże z twarzami gwiazd amerykańskiej pop-kultury przypominają greckokatolickie ikonostasy. Zapamiętane w dzieciństwie z nabożeństw w Pittsburghu.

Kiedy w styczniu 1976 r. dziennikarka Marylyn Lois Polak w wywiadzie zapytała artystę, czy bycie katolikiem pomaga mu tworzyć lepszą sztukę, bez wahania odpowiedział: „tak". Gdy zdumiona dociekała, w jaki sposób religia może wpływać na jego sztukę, Warhol odpowiedział: „Nigdy nie musiałem chodzić do psychiatry. Zawsze mogłem pójść do księdza".

Do końca życia wspierał finansowo swojego bratanka, który wstąpił do seminarium duchownego. Już po śmierci znaleziono jego prace o charakterze religijnym, w których zauważono wpływy bizantyjskie. Warhol doczekał się nawet wystawy w Watykanie, w 2019 r., na temat religijnych aspektów swej twórczości. W wypadku kogoś, kogo nazywano „papieżem pop-artu", była to znacząca puenta w ponad trzy dekady po śmierci.

W muzeum w Medzilaborcach staje przed dużym kolorowym zdjęciem spotkania Warhola z Janem Pawłem II 2 kwietnia 1980 r. na Placu św. Piotra. Warhol i jego menedżer Fred Hughes przybyli do Rzymu z nadzieją na prywatną audiencję. Ostatecznie jednak zdobyli jedynie wejściówki na cotygodniową audiencję generalną, w której uczestniczyło ok. 5 tys. osób. Jako ważni goście zasiedli w pierwszym rzędzie. Warhol cierpliwie czekał trzy godziny na uścisk dłoni ze słowiańskim papieżem. Papież wyraźnie wiedział z kim ma do czynienia. Kto wie, może do przyjazdu do Rzymu zachęciła artystę papieska demonstracja z Bożego Narodzenia 1978 r., gdy pontifex wypowiedział 25 grudnia tradycyjne życzenia urbi et orbi, oprócz protokolarnej łaciny i włoskiego także m.in. po polsku, czesku, słowacku oraz ukraińsku.

Siedem lat później twórca pop-artu już nie żył. Na jego grobie – Cmentarz Świętego Jana Chrzciciela w Bethel Park w Pensylwanii – jest wyraźny bizantyjski krzyż. Spoczywa koło swoich rodziców Julii i Andrieja. Wbrew oczekiwaniom miłośników pop-artu, którzy przyjeżdżają obejrzeć jego nagrobek, nie ma w nim nic ekstrawaganckiego. To raczej fani artysty przypominają o jego wcześniejszych zamiłowaniach estetycznych i zostawiają przy mogile puszki zupy Campbella.

Na placu przed muzeum staję przed surrealistycznym pomnikiem Warhola. Najsłynniejszy Rusin świata chowa się pod parasolem z czaszą złożoną z samych drutów. To dobra metafora – człowiek, który za artystowskimi pozami i korzystaniem z awangardowego blichtru skrywał i chronił swoją wschodnioeuropejską tożsamość oraz wrażliwość w świecie jankeskich ignorantów. Dobrze, że Muzeum w Medzilaborcach odsłania swym gościom najgłębsze tajemnice tożsamości Andrieja Warcholi.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Medzilaborcach otwarto po rekonstrukcji 4 września 2026 r. Więcej na stronie: www.muzeumaw.sk.

eprasa.pl 03a9f32532

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 03a9f32532



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

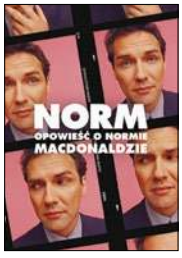
Jedyny Norm

Norm Macdonald był komikiem wyjątkowym, chyba najbliższym kontynuatorem tradycji Marka Twaina w amerykańskiej kulturze. Do mistrzostwa doprowadził sztukę opowieści: najdrobniejszy żart, obyczajowa obserwacja czy dialog zamieniały się w jego interpretacji w historie, które bawiły tym bardziej, im dłużej były opowiadane. Był też bajecznym łgarzem, przy którym blednie nasz Himilsbach. Szczegóły swej biografii zmyślał na poczekaniu, w zależności od tego, kto pytał i co akurat wydawało mu się zabawniejsze. Gdy ruszył w swą ostatnią trasę ze śmietanką innych królów stand-up comedy, poinformował ich, że jest z nich wszystkich najlepszy. I wszyscy się z tym zgodzili.

Sławę zdobył w „Saturday Night Live", prowadząc „Weekend Update", przegląd fałszywych wiadomości (to Norm wymyślił sformułowanie „fake news"), w których z zimną krwią i bez litości wyszydzał wszystkich. Wyrzucony z pracy przez szefa telewizji NBC, odniósł po latach zwycięstwo – gdy wspomnianego pana żegnały obszerne wspomnienia w prasie branżowej, nikt nie zajmował się dorobkiem życia Dona Ohlmeyera. Wszyscy za to przypominali: „Zmarł człowiek, który wyrzucił z pracy Norma Macdonalda".

Dziewięć lat walczył z rakiem, nikomu o tym nie mówiąc. Nie chciał taryfy ulgowej ze względu na chorobę. Przyjmował więc ze stoickim spokojem przytyki do swego wyglądu (przytył po sterydach podawanych przy chemioterapii, ale opowiadał, że jest po prostu żarłokiem). Pod koniec życia poniewierany był przez agresywną dziennikarską tłuszczę spod znaku woke, bo ośmielił się bronić swoich przyjaciół, którzy padli ofiarami cancel culture (Roseanne Barr i Louis C.K.).

Film dokumentalny Judda Apatowa o Normie to opowieść pełna empatii, podziwu i wciąż bawiących do łez żartów, zasłużony hołd dla niezwykłego artysty. To kolejny projekt, w którym ceniony reżyser upamiętnia wielkie postacie amerykańskiej komedii. Poprzednio nakręcił dokumenty, których bohaterami byli George Carlin, Garry Shandling i Mel Brooks. Nie narzuca interpretacji, oddaje głos bohaterom i ich przyjaciołom, pyta, podpatruje, uwiecznia. Każdy, kto ceni talent Norma Macdonalda, powinien obejrzeć ten film. Ci, którzy go nie znają – tym bardziej. ©℗



★★★★★★

REŻ. JUDD APATOW
„NORM: OPOWIEŚĆ O NORMIE MACDONALDZIE" („NORM: THE TALE OF NORM MACDONALD")
USA 2026

GRA TYGODNIA: „EFEKT SŁÓW"

Dziś, gdy hejt otacza najmłodszych z prawie każdej strony, warto sięgnąć po grę, która uświadamia, że każde słowo, które wypowiadamy, ma realny wpływ na innych. Gra składająca się z 81 kart analizuje sytuacje związane z wyśmiewaniem, obraźliwymi komentarzami, a także przemocą słowną. Opiera się na analizach scenariuszy oraz dyskusji. Uczy empatii i może być wykorzystywana zarówno w domu, jak i w szkole. Skłania także do refleksji nad siłą języka. Gracze wcielają się w role ofiary i obserwatora oraz uczą się rozróżnić, gdzie jest granica między żartem a raniącym zachowaniem. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Anna Zalewska

- ***Gatunek:** karciana, edukacyjna*
- ***Producent, wydawca:** Kangur*

eprasa.pl 03a9f32532

Zew oceanu

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. BRIAN DUFFIELD
„UPADEK WIELORYBA" („WHALEFALL")
USA 2026

wyst. Austin Abrams, Josh Brolin, Elisabeth Shue

Wielka ryba więziła Jonasza w brzuchu przez trzy dni i trzy noce, zanim ten ukorzył się przed Bogiem. Wtedy potwór, posłuszny woli Stwórcy, wypluł proroka na stały ląd. Historia Jaya jest nieco inna, choć gra go aktor dumny z żydowskich korzeni. Młodzieniec, przypadkowo połknięty przez kaszalota, nie modli się i nie liczy na pomoc sił nadprzyrodzonych. Rozmawia natomiast z duchem ojca dominatora. Mitt, pasjonat nurkowania, chciał wychować syna na swój obraz i podobieństwo, lecz zabrakło mu pedagogicznego talentu. Rozstali się w gniewie. Jay przyrzekł trzymać się z daleka od oceanu, a gdy obietnicę złamał, popadł w wiadome kłopoty. Rzecz jasna rodzicielskie nauki okażą się przydatne, choć najpierw chłopak musi otrząsnąć się z szoku (ludzie już zapomnieli, jakie to uczucie być jedzonym).

Pomijając anturaż, mamy do czynienia ze standardową, disneyowską opowieścią o dojrzewaniu i wychodzeniu z żałoby. Ekranizując książkę, czerpiącą z XIX-wiecznej legendy o marynarzu, który przetrwał w trzewiach wieloryba kilkanaście godzin, wytwórnia podjęła spore ryzyko. „Wielki błękit" i multum proekologicznych produkcji oswoiły publikę z kultem oceanu tudzież bezwstydną humanizacją morskich stworzeń, ale pomysł, by prawie cała akcja rozgrywała się w przewodzie pokarmowym, jawił się karkołomny. Nawet widzowie „rozumiejący naturę" mogliby poczuć mdłości, gdyby filmowcy poszli w totalny naturalizm.

Dopóki po skończonym seansie nie rozbłysną światła, dopóty magia kina działa. Potem jednak do głowy przychodzą smutne refleksje. Po pierwsze, „Upadek wieloryba" potwierdza, że Josh Brolin aktorsko stanął w miejscu i ku ogólnemu zadowoleniu chyba już do końca życia będzie obsadzany w rolach podstarzałych i szorstkich w obejściu twardzieli. Po drugie, kino znalazło nowych nazistów. To turyści, którzy swoją nachalną obecnością doprowadzają morskie stworzenia do szału. Jeśli matka natura straci w końcu cierpliwość i wypowie wojnę naszej cywilizacji, oni będą temu winni. Zabawne, że w gruncie rzeczy cała ta niesamowita historia jest tylko pretekstem, by młody bohater mógł powiedzieć: „Jestem gotowy" (w domyśle: sprostać wyzwaniom dorosłości). ©℗

Wiesław Chełminiak

WYWIAD Z POTWOREM

Zawistnicy prorokują, że złota epoka influencerów skończy się tak szybko, jak się zaczęła. Jeden z nich nakręcił nawet film poświęcony fikcyjnej gwieździe sieci. Magalie, która wszystko i wszystkich ma w pogardzie, od dziecka jest niewrażliwa na ból. Monetyzuje ów dar, publikując sadomasochistyczne filmiki sygnowane ksywką Megazderzak. Gdy ma kaprys, katuje też muzykę Chopina. Celem szarży 52-letniego reżysera są nie tylko rozwydrzone rówieśniczki sieci tudzież troglodyci z telefonami komórkowymi. Francuz sądzi, że media zwane społecznościowymi mają w DNA szerzenie patologii. Kto widział „Deerskin" lub „Morderczą oponę", ten wie, że Dupieux umie w groteskę. Tym razem zapuścił się do krainy suspensu. ©℗



MOJEKINO.PL

★★★★☆☆

REŻ. QUENTIN DUPIEUX
„WYPADEK FORTEPIANOWY"
FRANCJA 2025

wyst. Adèle Exarchopoulos, Jérôme Commandeur, Sandrine Kiberlain



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Wszystkie twarze królowej

Anna Jagiellonka, znana przede wszystkim jako córka Zygmunta Starego i Bony Sforzy, obok Jadwigi Andegaweńskiej była jedną z dwóch kobiet w historii Polski koronowanych na króla. Przez długi czas była jednak postrzegana wyłącznie jako żona Stefana Batorego, którego poślubiła, aby zachować warunki elekcji.

Krakowska wystawa usuwa ją jednak z cienia krewnych, pokazując królową jako niezależną, zdeterminowaną władczynię. Obala również mit nieszczęśliwego małżeństwa, prezentując korespondencję z mężem, z której wyłania się obraz związku opartego na współpracy. Możemy również zobaczyć wydobyty z grobu klejnot z profilem Batorego, który Anna Jagiellonka nosiła aż do śmierci. Ekspozycję uzupełniają portrety władczyni – wszystkie znane wizerunki historyczne – a także wyroby złotnicze i tkaniny z jej fundacji, dary dla Kaplicy Zygmuntowskiej. ©℗



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu, Kraków
KIEDY? do 14 lutego 2027 r.

eprasa.pl 03a9f32532



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zaduszne anioły

„W Zaduszki żywym i zmarłym, i wszystkiemu, co kochali, blisko do siebie” – powiada Piotr Szewc w tytułowym opowiadaniu pochodzącym z jego najnowszej książki. A są nią „Zaduszki” właśnie. W oficjalnych komunikatach słyszymy często: „Dzień Zaduszny”. Brzmi to tak, „jakby poświęconą pamięci o zmarłych frazę ktoś odczytał z kartki z kalendarza, do której emocje raczej nie mają dostępu. Ale my mówiliśmy »Zaduszki«. Dusze czy duszki? Za-duszki? Zdrobnienie – duszki – ocieplało nazwę i skracało dystans między nami, którzy raz w roku to słowo wypowiadaliśmy, a tymi, których ono dotyczyło; raczej trudno sobie wyobrazić, byśmy mówili »zadusze«. Każdy wiedział, że duszki to też dusze, a czyż duszom nie należała się czułość wyrażona zdrobnieniem? Ekonomia języka łączyła się z tęsknotą za kimś, kto odszedł, a był bliski, jak dziadek, matka, sąsiad czy mało znany, ale żywy w świadomości krewny. Zaduszki były domowe, familiarne, trochę jak Wigilia […]”.

Przywołuje Piotr Szewc świat swojego dzieciństwa i wczesnej młodości, zamknięty między Horyszowem a Czołkami, Tomaszowem Lubelskim i Zamościem. W samych nazwach miejscowości mijanych po drodze, którą przemierzał pekaesem Jelczem, kryła się poezja: Zadnoga, Księżostany, Wólka Panieńska… Nic dziwnego, że na zamojskich kominach – o czym czytamy w opowiadaniu „Dwadzieścia jeden” – pojawiali się „rzadsi od najrzadszych ptaków – aniołowie. Widywali ich – mówiono o tym i szeptano – nocną porą mieszkańcy. To było wtedy – słyszałem, jak powiedziała pani Wanda Stoczkowska, mama Wojtka – gdy widziałam anioła. – Dar, przywilej, może dana nielicznym łaska. Ujrzeć anioła znaczyło umocnić się w wierze i zmienić swoje życie. Dlaczego tu się zatrzymywały? Nikt nie wiedział. I nie wiadomo było, czy odpoczywały, medytowały, czy po prostu lubiły w bezpiecznym miejscu, wiodąc niebiańsko-ziemski żywot, przysiąść bez wyraźnego powodu – cóż wiemy o życiu i zwyczajach aniołów? Nieduże, jak dzieci, i do dzieci podobne, ze złożonymi na plecach skrzydłami. Pojawiały się bez zapowiedzi i tak samo znikały”.

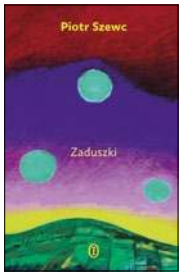


FOT. PAWEŁ MORAWIEC/BIBLIOTEKA NARODOWA

Tytułowa bohaterka opowiadania „Stefa” myśli o sobie, że jest „jak kuropatwa – drobna, skromna, szara… Chodzę wzdłuż i wszerz pól, tu coś posadzę, tam wyrwę, pielę, podlewam, wiążę snopy i kopię ziemniaki, czasem usiądę, kiedym utrudzona, na miedzy”. „Chodzę, a jakbym się całe życie czołgała” – konstatuje, ale nie narzeka, a skąd: „Mam narzekać, skoro bogatsza jestem od mamusi?”. I tyle się wokół zmieniło za jej życia, bo czy pomyślałaby kiedykolwiek, że droga będzie równa i ceglana, a w mieszkaniach zaświecą się żarówki? Tylko dlaczego, choć żyje się lepiej, tęskni za tym, co było? Najbardziej lubi się modlić. I jeszcze słuchać ptaków. Taka melodia skowronków to nitka wyciągnięta z jej serca – one się modlą przecież. „Możliwy byłby świat bez skowronków – zastanawia się. – Gdyby miał taki być, to już beze mnie, nie chcę w nim żyć”.

W Zaduszki myślimy nie tylko o tych, do których, by z nimi pobyć, chodzimy na cmentarz i palimy im znicze. „O swoje miejsce, czyli stopę postawioną w bliższej lub dalszej przyszłości, upominały się sytuacje i sprawy ulotne, a nawet błahe, coś zobaczonego przez moment w mijaniu i podążaniu ku sprawom ważniejszym, jakieś zdanie niedokończone, uśmiech nieszczery, opadająca powieka czy dziwaczny ubiór”. A najbardziej wrażliwym z nas towarzyszy lęk, jak pani Basi z opowiadania „Zaduszki”, która martwiła się, że „wszystko przepadnie, zniknie, nie będzie ani tych drzew, ani ptaków, ani tego ogrodzenia z siatki – wyciągnęła rękę w lewą stronę – ani pięknych koni pana Bratkowskiego, ani dzwonka roweru pana Banasia. Jestem tego pewna i dlatego się boję”. I jeszcze jedno, „zastanawiam się – wyznaje pani Basia – kto tym koniom, jabłonkom i kocim łbom zapali kiedyś świeczkę. Bo chyba im się to należy, prawda?”.

Po zeszłorocznym „Było” Piotr Szewc napisał kolejną zachwycającą książkę. Wydaną w najlepszym momencie – na Zaduszki. To w tym dniu zawsze – czytamy – „byliśmy razem bardziej niż kiedykolwiek indziej”. Czy tak jest i dzisiaj? ©℗



★★★★★★
PIOTR SZEWC „ZADUSZKI” WYDAWNICTWO LITERACKIE, KRAKÓW 2026

eprasa.pl 03a9f32532



PIOTR GOCIEK

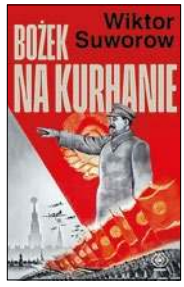
POCZYTANKI

Imperium kłamstw

To temat życia Wiktora Suworowa: odkłamywanie historii drugiej wojny światowej. Czy ktoś jeszcze pamięta, jak głośno było o jego książce „Lodołamacz", w której stawiał tezę, że uderzenie Hitlera na Związek Sowiecki było atakiem prewencyjnym? Wedle Suworowa, byłego oficera GRU, który w 1978 r. wybrał wolność i uciekł z rezydentury w Szwajcarii do Wielkiej Brytanii, Armia Czerwona była gotowa do ataku na III Rzeszę. Oddziały przysunięte pod granicę, samoloty szturmowe i oddziały spadochroniarzy przygotowane do akcji, piechota dostawała zaś podręczne słowniczki rosyjsko-niemieckie, by wiedzieć, jak kazać Niemcom się poddać.

„Bożek na kurhanie" to kolejny odcinek tej sagi, kolejny cierń w oku tych, którzy uważają Suworowa za hochsztaplera i fantastę. Moim zdaniem na źródłach potrafi pracować lepiej od zawodowych historyków. Tym razem wiele miejsca poświęca własnym doświadczeniom z młodości, opowiada bowiem o tym, jak wpadł na trop wielkiego kłamstwa, jak mocno gryzło go, że oficjalna historia Związku Sowieckiego nijak się ma do faktów. Nienawidzą go za to i imperialni historycy rosyjscy, i lewicowi historycy z Zachodu, którzy wciąż odmawiają przyjęcia do wiadomości prawdy: Stalin był takim samym bandziorem jak Hitler i miał ten sam cel: dziś Europa, a jutro cały świat.

Dla Polaków książki Suworowa mają szczególną wartość, bo nigdy nie krył sympatii dla nas i dla naszej historii. W „Bożku na kurhanie" pokazuje, jak bardzo narracja wokół haniebnego ataku na Polskę 17 września 1939 r. podobna była do innych operacji propagandowo-militarnych. Finlandia rzekomo szykowała atak na Leningrad, więc trzeba było kontratakować. Rumunia też miała paść już w 1940 r., bo rzekomo jej żołnierze dokonywali nieustannych prowokacji. No a Polska – wiadomo, sprowokowała Hitlera i wywołała światową wojnę, więc Moskwa musiała jakoś zareagować. Tezy te dziś powtarza Putin oraz jego użyteczni idioci na Zachodzie, jak Tucker Carlson. Rosja sowiecka była wielkim kłamstwem, Stalin był wielkim kłamcą, historia Związku Sowieckiego jest pełna kłamstw. Świat byłby bezpieczniejszy, gdyby amerykańscy i europejscy politycy czytali książki Suworowa i traktowali je poważnie. Gdzie szukać nadziei? Marzenie o panowaniu nad światem wciąż żywe jest w Rosji. Tyle że twórcy tego marzenia wymierają w coraz większym tempie – pisze Suworow. Oby miał rację. ©℗



★★★★★★

WIKTOR SUWOROW „BOŻEK NA KURHANIE" REBIS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



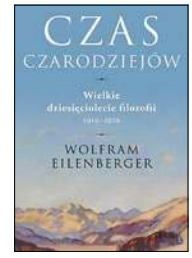
Włoski znawca antyku i popularyzator historii domyka swą nieformalną trylogię, w której znaleźć możemy też „Jeden dzień w starożytnym Rzymie" i „Imperium. Podróż po Cesarstwie Rzymskim śladem jednej monety". Warto.

ALBERTO ANGELA „MIŁOŚĆ I SEKS W STAROŻYTNYM RZYMIE" CZYTELNIK



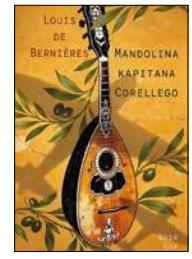
Najnowsza powieść autora „Tęczy grawitacji" w wyśmienitym przekładzie Piotra Siemiona. Czarny kryminał, powieść łotrzykowska i literacki fajerwerk, nad którym unosi się duch „Ulissesa". Czy forma przeważa nad treścią? Tak.

THOMAS PYNCHON „LEWY BILET" ARTRAGE



Zdaniem autora lata 1919–1929 to „wielkie dziesięciolecie filozofii". Z omawianej czwórki Heidegger, Wittgenstein, Benjamin, Cassirer najmniej wiemy o tym ostatnim. Dobór nazwisk dyskusyjny, ale opowieść ciekawa.

WOLFRAM EILENBERGER „CZAS CZARODZIEJÓW" ZYSK I S-KA



Najgłośniejsza powieść brytyjskiego pisarza, zabawna i ciepła historia miłosna, która rozsławiła Kefalonię i stała się podstawą adaptacji filmowej, której autor serdecznie nie cierpi. Film był niezły, powieść jest znakomita.

recenzuje Piotr Gociek

LOUIS DE BERNIÈRES „MANDOLINA KAPITANA CORELLEGO" NOIR SUR BLANC

KOMIKS TYGODNIA:
OPUŚCIĆ PIEKŁO

Niezwykła opowieść inspirowana książką „W cieniu Auschwitz: wspomnienia z konspiracji przyobozowej" Edwarda Hałonia, działacza polskiego podziemia, który pomógł przygotować ucieczkę swego brata Kazimierza z niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. To nie tylko lekcja historii w obrazkach, dzieło Bereniki Kołomyckiej broni się jako oryginalna powieść graficzna.



Piotr Gociek

BERENIKA KOŁOMYCKA „CZY TUTAJ ŚPIEWAJĄ PTAKI" TIMOF I CISI WSPÓLNICY

eprasa.pl 03a9f32532



Mariusz Muszyński

Ślubowanie wobec prezydenta jest prawnie ważniejsze niż wybór sędziego TK przez Sejm. Kłamstwem jest też twierdzenie, że ten wybór to konstytucyjna kompetencja Sejmu



Ślubowanie kreuje sędziego TK

Tak, wiem, rzucam się na coś, co propaganda medialna wtłacza nam do głowy jako oczywiste. Uderzam w kreowaną dziś na potrzeby rządzących logikę systemu.

A tak, uderzam, bo to fałszywa logika. Wmawia się nam, że w konstytucji znajduje się przepis tworzący kompetencje dla Sejmu do wyboru sędziów TK. I przytacza się w tym kontekście art. 194 tego aktu.

To jednak bzdura. Mit, który ma pomóc w twierdzeniu, że ślubowanie wobec prezydenta jest nic nieznaczącym epizodem. Najważniejszy jest wybór przeprowadzony przez Sejm. I ta procedura zamyka dyskusję, bo przecież wybór oparty jest na konstytucji. A prezydentowi od tego wara. Skoro o jego uczestnictwie w wyborze sędziów TK konstytucja nic nie mówi, to prezydent ma po prostu obowiązek odebrać rzekomo ceremonialne ślubowanie.

Sprawa nabrała już olbrzymiego znaczenia. Ma pomóc w umocowaniu w TK grupy osób bez legalnego ślubowania. Dlatego piszę, bo uważam, że nadszedł czas, by te bzdury odczarować. Rząd, Sejm i ich akolici kłamią co do istoty procesu kreacji TK. Nie jest prawdą, że sejmowe kompetencje do wyboru sędziów są zdefiniowane w konstytucji. Nie jest też prawdą, że działanie Sejmu wystarcza, by wyłonić sędziego. Tak naprawdę sędzia rodzi się dopiero po ślubowaniu wobec prezydenta.

PRZEPIS USTROJOWY

Przypomnę, jak Sejm wskazuje podstawy prawne upoważniające go do wyboru sędziów TK. Posłużę się tu ostatnią z uchwał o wyborze (M.P. 2026, 900). Czytamy tam: „Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, na podstawie art. 194 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, art. 2 ust. 2 zdanie pierwsze ustawy z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego (Dz.U. z 2018 r., poz. 1422 oraz z 2026 r., poz. 26) i art. 31 ust. 1 Regulaminu Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej, wybiera […]".

W uchwale tej, zresztą jak we wszystkich dotychczasowych dotyczących wyboru sędziego TK, wskazane są trzy podstawy prawne: konstytucja, ustawa i regulamin. I gdyby nie obecna awantura, wszyscy byśmy nad tym przechodzili do porządku dziennego. A spór kusi do analizy.

I z tej analizy wychodzi jednoznacznie, że twierdzenie, iż art. 194 ust. 1 konstytucji jest podstawą kompetencyjną dla Sejmu do wyboru sędziów TK, to nieprawda. Czytamy w nim: „Trybunał Konstytucyjny składa się z 15 sędziów, wybieranych indywidualnie przez Sejm na 9 lat spośród osób wyróżniających się wiedzą prawniczą […]". I co? Widać jak byk. To nie jest przepis kompetencyjny. To nie jest przepis, który stanowi podstawę prawną dla działania Sejmu. Treść literalna jasno pokazuje, że to przepis ustrojowy, który definiuje kształt TK – jego skład, tak ilościowy (liczba sędziów), jak jakościowy (wymóg wyróżniającej wiedzy), oraz dziewięcioletnią kadencję. Owszem, przepis nawiązuje do organu, który wybiera sędziów poprzez zwrot „wybieranych indywidualnie przez Sejm", ale takie sformułowanie nie tworzy Sejmowi kompetencji. To zwykły opis sposobu wyboru i odniesienie do wybierającego organu. Tylko odniesienie. Gdyby był to przepis kompetencyjny, tworzący podstawę prawną dla działania Sejmu, brzmiałby np.: „Sejm wybiera 15 sędziów TK".

Gdzie jest w takim razie bezpośrednia kompetencja Sejmu do wyboru sędziów TK? Wbrew tym wszystkim rządowym czy pseudoeksperckim oświadczeniom i opiniom przedstawianym publicznie nigdzie w konstytucji jej nie ma.

KOMPETENCJA USTAWOWA

Podstawą kompetencyjną dla Sejmu nie jest też na pewno jego regulamin. On określa przecież tylko techniczne i wewnętrzne kwestie działania tego organu. Nie może natomiast tworzyć mu kompetencji zewnętrznych. To ostatnie musi być umocowane w prawie powszechnie obowiązującym. Stąd wskazany w uchwale przepis regulaminowy też nie jest normą kompetencyjną dla Sejmu.

eprasa.pl 03a9f32532



Ślubowanie Sławomira Patyry przed prezydentem Karolem Nawrockim, 28 lipca 2026 r. FOT. PRZEMYSŁAW KELER/KPRP

W ten sposób dochodzimy do wniosku, że jedyną i bezpośrednią podstawą prawną upoważniającą Sejm do wyboru sędziów TK (a więc tworzącą sejmową kompetencję) jest art. 2 ust. 2 zdanie pierwsze ustawy z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów TK. Czytamy tam: „Sędziego Trybunału wybiera Sejm". Brzmi, jak powinno.

Ja nie oceniam, czy takie zrzucenie kompetencji Sejmu w tej sprawie na poziom poniżej konstytucji to błąd (których w konstytucji wiele) czy świadome działanie ustrojodawcy. Ale wiem, że konsekwencje takiej konstrukcji są znaczące. Takie pozycjonowanie przedefiniowuje kształt procesu kreacji sędziego TK. Zmienia relacje między aktem wyboru i aktem ślubowania. Nadaje sens prawny obu instytucjom. Sens inny, niż twierdzą dziś rząd i Sejm.

Dlaczego? Proste. Oba te przepisy są na tym samym poziomie prawa. Nie ma więc między nimi różnicy hierarchicznej. Więcej – one znajdują się w tym samym akcie prawa: w ustawie z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów TK. Jeden po drugim. Tworzą pakiet kreacyjny, dwa nierozerwalne elementy. Tylko łączna ich realizacja skutkuje wyłonieniem sędziego TK.

Dlatego deprecjonowanie ślubowania w stosunku do aktu wyboru ze względu na rzekome konstytucyjne przypisanie tego ostatniego do kompetencji Sejmu, a „tylko ustawowe" umocowanie ślubowania, jest bezpodstawne. Więcej – jest nieprawdziwe. Eksperci tak twierdzący, także z Komisji Weneckiej, nie rozumieją Konstytucji RP.

A taka ocena ma jeszcze jedną konsekwencję. Nie pozwala oderwać aktu wyboru od ślubowania. Nie pozwala ślubowania spłycać. Skoro są dwie instytucje, to każda realizuje swoje zadania i musi mieć swoje prawne skutki.

Więcej – właśnie ich skutki pokazują, że z perspektywy ustroju państwa i porządku prawnego ślubowanie jest ważniejsze od wyboru (por. pkt 97 opinii Komisji Weneckiej). Wybór jest tylko wskazaniem kandydata spełniającego wymagania konstytucyjnie i ustawowe. Ślubowanie to z kolei akt wcale nie ceremonialny, jak chciałaby Komisja Wenecka (por. pkt 61 opinii), czy nieistotny (niektórzy polscy prawnicy). To ślubowanie, a nie wybór pozycjonuje wybraną osobę w systemie ustrojowym jako członka kolegialnego organu państwa. Te skromne ustawowe słowa „stosunek służbowy sędziego TK nawiązuje się po złożeniu ślubowania" wskazują, że to ślubowanie wyposaża osobę wybraną przez Sejm w sędziowski bannus, element władztwa państwowego, jakim jest możliwość wykonywania w ramach TK kompetencji tego organu wspólnie z innymi sędziami. To wtedy, a nie przez sam wybór, rodzi się sędzia TK.

LEGISLACYJNA RAMKA

Ślubowanie definiuje też osobisty status sędziego w perspektywie zawodowej: podległość konstytucji w zakresie orzekania i immunitet sędziowski. Tak, immunitet sędziego TK zaczyna się od ślubowania, a nie wyboru. Od tego momentu można też sędziego pociągać do odpowiedzialności dyscyplinarnej.

Także prezydent nie jest włączony w ślubowanie przypadkowo. On jest gwarantem związku między państwem a osobą wybraną, jaki nawiązuje się poprzez wypowiedzenie roty składanej przysięgi. Osoba wybrana i państwo tworzą w ten sposób relację prawną o określonej treść i z konsekwencjami wynikającymi z zasiadania w tym organie państwa. Prezydent wysłuchujący ślubowania jest niezbędny, aby zobowiązanie było skuteczne. Jest jego depozytariuszem. Ślubowania nie da się przeprowadzić bez obecności prezydenta.

Zresztą między ślubującym a prezydentem jest jeszcze jeden związek. Osoba wybrana ślubuje stanie na straży konstytucji, a więc przyjmuje na siebie zobowiązanie konkretnej treści. Z kolei prezydent, zgodnie z konstytucją, czuwa nad jej przestrzeganiem (art. 126). Stąd wejście do składu TK następuje przez zdeponowanie zobowiązania u prezydenta. Osobiste, a nie korespondencyjne.

Wreszcie prezydent pilnuje, by do TK nie weszła osoba, co do której, już po jej wyborze, ujawniły się różne wątpliwości. Skoro po ślubowaniu uzyska ona niewzruszalną pozycję zawodową i ustrojową, w tym immunitet, to prezydent może zapobiec wzmocnieniu pozycji prawnej osoby niewłaściwej, niegodnej i innym komplikacjom.

A skoro ślubowanie nie jest ceremonialne, tylko ma wymiar prawny, to warto podkreślić jeszcze jedną jego konsekwencję. To prezydent może egzekwować złamanie zobowiązania zaciąganego poprzez składane ślubowanie, bo to on ma prawo do składania wniosku o pociągnięcie sędziego TK do odpowiedzialności dyscyplinarnej (zob. art. 26 ustawy o statusie sędziów TK).

Jaka jest puenta z mojego wywodu? Sejm jest dużo mniej ważny w procesie kreacji TK, niż próbuje się to opinii publicznej przedstawić. Sejm dokonuje tylko czynności technicznej. Porównuje wskazanego kandydata do prawnego wzorca. Przykłada do legislacyjnej ramki. I wskazuje go w drodze wyboru. A ślubowanie jest fundamentalne. To jego skutkiem jest nawiązanie stosunku służbowego, czyli narodziny sędziego. Dlatego sytuacja jest jasna. To prezydent, a nie Sejm, ma tu najwięcej do powiedzenia. Bez ślubowania wobec prezydenta, czyli bez obecności prezydenta podczas aktu ślubowania, nie ma sędziego TK. A opisany sens prawny tej instytucji musi też generować prezydentowi uprawnienia weryfikacyjne chroniące państwo. Ślubowanie pełniące tak ważną rolę prawną to nie może być zwykły automatyzm. Taka ocena byłaby pozbawiona prawnej logiki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



Protesty społeczne przed siedzibą Trybunału Konstytucyjnego w Warszawie

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Twierdza nie do zdobycia?



Michał Adam Szymański

Donald Tusk próbuje przejąć Trybunał Konstytucyjny. Z pewnością nie chodzi tu o odpolitycznienie tego kluczowego dla państwa organu

Tusk pragnie odzyskać Trybunał Konstytucyjny, nie „naprawić", gdyż o naprawie tej instytucji mówią politycy Konfederacji czy Polski 2050 oraz prawicowe (Klub Jagielloński) i lewicowe (Fundacja Batorego) think tanki, gdy proponują przeprowadzenie resetu konstytucyjnego. Premier mówi o „swoich sędziach" oraz próbuje skierować do pracy orzeczniczej przy warszawskiej Alei Szucha swojego zaufanego eksministra Macieja Berka, mimo że nie jest on niezaangażowanym w polityczny spór „zwykłym" prawnikiem, lecz ściśle współpracującym z liderem Koalicji Obywatelskiej politykiem, a co więcej, nie spełnia ustawowych kryteriów merytorycznych, jakie powinien spełniać sędzia polskiego sądu konstytucyjnego.

14 października zorganizowana została już druga, nieprzewidziana przepisami prawa impreza przy ulicy Wiejskiej, tak by „wobec prezydenta" (którego nie było) doszło do złożenia sędziowskiego ślubowania. Intencje Donalda Tuska są oczywiste – nie chodzi tu z pewnością o „odpolitycznienie" Trybunału.

Warto jednak zauważyć, że spór o obecność „nowych" sędziów w TK to dopiero początek wojny, a Trybunał porównać można do twierdzy składającej się z grodu i dwóch warstw murów. Premier w tym momencie usiłuje sforsować dopiero pierwszą z nich.

PLAN TUSKA I PIERWSZY MUR

Komentatorzy polityczni uważają, że plan Donalda Tuska jest prosty, choć, zgodnie z przepisami, ceremonia zaprzysiężenia powinna odbyć się wobec prezydenta, a nie marszałka Czarzastego, to celem premiera miałoby być wprowadzenie, choćby „siłowe", wszystkich wybranych w tym roku przez Sejm RP sędziów. Sędziów „nowych" w Trybunale byłoby wówczas ośmiu, a sędziów „starych", w tym prezesa Trybunału Bogdana Święczkowskiego, siedmiu. Tym samym „nowi" sędziowie uzyskaliby większość niezbędną do tego, by na drodze postępowania dyscyplinarnego zdjąć Bogdana Święczkowskiego ze stanowiska, a to otwarłoby drogę Berkowi do objęcia fotela prezesa Trybunału. Jeśli dziennikarze polityczni się nie mylą, znaczy to tyle, że mamy do czynienia z istnym gangiem Olsena – doradzający Tuskowi prawnicy nie przeczytali nawet ustaw regulujących funkcjonowanie TK.

Trzymając się metafory, Tusk próbuje w tym momencie sforsować pierwszy mur – pomimo tego, że zaprzysiężenie sędziów powinno odbyć się wobec prezydenta, a nie przed Sejmem, premier pragnie wprowadzić tam kojarzonych z nim sędziów. Taki ruch byłby jaskrawym podeptaniem konstytucji… Jednak rozważmy, co stanie się, jeśli owym szturmującym bramy gmachu przy Alei Szucha uda się odnieść sukces.

POSTĘPOWANIE DYSCYPLINARNE, CZYLI DRUGI MUR

Wbrew głosom politycznych komentatorów (których, prawdopodobnie, Tusk słucha częściej niż konstytucjonalistów, bo ci wytłumaczyliby mu, że Trybunał jest twierdzą zasadniczo nie do zdobycia) to nie Zgromadzenie Ogólne Sędziów Trybunału Konstytucyjnego może przegłosować zdjęcie Święczkowskiego z funkcji czy wręcz usunięcie go z Trybunału.

eprasa.pl 03a9f32532

Zgodnie z ustawą z dnia 30 listopada 2016 r. o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego złożenie sędziego z urzędu jest jedną z kar dyscyplinarnych, która może zostać orzeczona w wyniku postępowania dyscyplinarnego. Artykuł 24 ust. 1 ustawy wskazuje, że „sędzia Trybunału odpowiada dyscyplinarnie przed Trybunałem za naruszenie przepisów prawa, uchybienie godności urzędu sędziego Trybunału, naruszenie Kodeksu Etycznego Sędziego Trybunału Konstytucyjnego lub inne nieetyczne zachowanie mogące podważać zaufanie do jego bezstronności lub niezawisłości". Natomiast zgodnie z art. 26 zawiadomienie o popełnieniu przez sędziego takiego przewinienia może złożyć Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na wniosek Prokuratora Generalnego, po zasięgnięciu opinii Pierwszego Prezesa Sądu Najwyższego bądź… sędziego Trybunału. Ten wniosek nie będzie głosowany na Zgromadzeniu Ogólnym i nie potrzeba tu wcale większości ośmiu sędziów nad siedmioma. Sędzia Trybunału może złożyć takie zawiadomienie u prezesa Święczkowskiego, a wówczas uruchomiona zostanie cała procedura, w tym wybór w drodze losowania rzecznika dyscyplinarnego, który rozpocznie przewidziane przez ustawę czynności. Jeśli rzecznik dyscyplinarny nie znajdzie podstaw do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego, wówczas odmawia jego wszczęcia, co służy odwołaniu do sądu dyscyplinarnego pierwszej instancji.

Postępowanie dyscyplinarne jest dwuinstancyjne – w pierwszym składzie orzeka trzech sędziów, w drugim pięciu. Każdorazowo sędziowie są losowani spośród sędziów TK, przy czym sędziowie, którzy orzekali w pierwszej instancji, nie mogą orzekać w drugiej instancji. Podobnie jak w postępowaniu karnym wyrok zapada większością głosów.

Co to więc oznacza? Po pierwsze – odliczając prezesa Święczkowskiego, w Trybunale pozostaje jeszcze sześciu „starych" sędziów, a zatem prawdopodobieństwo, że to jeden z nich zostanie rzecznikiem dyscyplinarnym, nie jest małe. Po drugie, nawet jeśli doszłoby do wszczęcia postępowania dyscyplinarnego, to wystarczy, iż do orzekania w drugiej instancji wylosowanych zostanie trzech „starych" sędziów, którzy wspólnie mogą stanowić większość nad „sędziami Tuska".

WALKI O GRÓD

Nawet jeśliby przyjąć, że i tę walkę „nowi" sędziowie wygrają, gdyż Fortuna będzie im sprzyjać, kto wie, może postępowanie dyscyplinarne prowadzić będzie jeden ze świeżo wybranych sędziów, a w sądzie drugiej instancji również i oni uzyskają większość zdolną do złożenia Święczkowskiego z urzędu sędziego, to Donalda Tuska i „jego sędziów" czeka jeszcze jedna, niezwykle ciekawa batalia. Będą musieli stoczyć finalną walkę o gród, tj. o funkcję prezesa Trybunału.

W trakcie owego trybunalskiego sede vacante pracami Trybunału kieruje sędzia posiadający najdłuższy, liczony łącznie, staż jako sędzia w Trybunale, jako aplikant, asesor, sędzia w sądzie powszechnym oraz w administracji państwowej szczebla centralnego. Tu kolejka wygląda następująco – pierwsza jest Anna Korwin-Piotrowska („nowa" sędzia), Wojciech Sych („stary" sędzia) oraz „nowy" Krystian Markiewicz. „Przewaga" Korwin-Piotrowskiej nad Sychem wynika z tego, że wybrał on aplikację prokuratorską, a nie sądowniczą, przy czym oboje są doświadczonymi sędziami sądów powszechnych. Skądinąd można zastanawiać się nad tym, czy taki sposób ukształtowania przepisów jest prawidłowy, skoro obie aplikacje odbywają się w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury. Można też zastanawiać się, czemu ustawodawca nie przewidział uwzględniania stażu w Sądzie Najwyższym (gdzie Sych wiele lat orzekał).

Zgodnie zarówno z Konstytucją, jak i ustawą z dnia 30 listopada 2016 r. o organizacji i trybie postępowania przed Trybunałem Konstytucyjnym (spostrzegawczego czytelnika informuję – tak, obie ustawy regulujące funkcjonowanie TK uchwalono tego samego dnia) prezesa TK powołuje prezydent spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromadzenie Ogólne. Zgromadzenie to będzie musiała zwołać najpewniej Korwin-Piotrowska, jeśli tego rychło nie uczyni (i zacznie wykorzystywać swoje uprawnienia do sterowania Trybunałem zamiast do przeprowadzenia wyborów – tak jakby kamerling, zamiast zwołać konklawe, zaczął uzurpować sobie władzę papieską), to należy spodziewać się kolejnego postępowania dyscyplinarnego w TK.

Wróćmy jednak do meritum – szczegóły procedury powoływania prezentuje nam art. 11 wspomnianej ustawy – zgodnie z nim Zgromadzenie Ogólne przedstawia prezydentowi kandydatów na stanowisko prezesa w terminie miesiąca od dnia, w którym powstał wakat. Każdy sędzia może zgłosić swoją osobę do procedury wyłaniania kandydatów na stanowisko prezesa. Następnie przeprowadza się głosowanie, kandydatem zostaje sędzia, który otrzymał minimum pięć głosów. Jeśli tylko jeden sędzia uzyskał pięć głosów, wówczas drugim kandydatem zostaje sędzia z największym poparciem.

Przypomnijmy: układ sił – dziewięciu „nowych" sędziów lub nawet 10 (ośmiu „aktualnych", dziewiąty, który zastąpi po 30 stycznia 2027 r. „starego" sędziego Wyrembaka, a także sędzia, który zostałby wybrany na miejsce Święczkowskiego) przeciwko pięciu sędziom „starym" lub sześciu. Co to oznacza?

Otóż myli się prawica, jeśli myśli, że wystarczy, że prezydent Nawrocki nie powoła na prezesa żadnego ze wskazanych przez Zgromadzenie Ogólne sędziów, faktem jest, że jest to wynikająca z konstytucji kompetencja prezydencka, jednak, z racji na brzmienie przepisów, swoistym „interrexem" czy też „kamerlingiem" w Trybunale zostanie „nowa" sędzia Korwin-Piotrowska. Nie jest jednak też tak, że w finale Karol Nawrocki będzie musiał wybierać między powołaniem na prezesa eksministra Berka, znanego z zaangażowania w uliczny ruch sędziowski, prof. Markiewiczem bądź wykazywaniem biernej postawy (która oznaczać będzie rządy innej sędziowskiej aktywistki Korwin-Piotrowskiej). Jeśli mimo pewnych niechęci (o których od dawna plotkują dziennikarze polityczni) zachodzących między „starymi" sędziami zachowają oni zimną krew i solidarność to są w stanie w pięciu przeforsować swojego kandydata.

Stanisław Piotrowicz, Bartłomiej Sochański (dziś wiceprezes TK), Jakub Stelina, Wojciech Sych, Rafał Wojciechowski – jedno z tych nazwisk może niedługo trafić na biurko prezydenta Nawrockiego, a operacja Tuska pt. „oblężenie Trybunału" może doprowadzić do tego, że to właśnie jeden z nich, a nie Maciej Berek zacznie kierować sądem konstytucyjnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532

CIA – operacyjne ramię prezydenta



John L. Ratcliffe, dyrektor centrali wywiadu USA, wie, jaką władzę daje dostęp do informacji FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES



Michał Krupa

Wojna na Ukrainie ma fronty, które widać na mapach. Są Donbas, Krym, Morze Czarne, rosyjskie miasta atakowane dronami. Są rakiety, artyleria i żołnierze. Jest jednak jeszcze jeden front, znacznie mniej widoczny. To wojna wywiadów

Na froncie wywiadów od lat ścierają się nie tylko Rosja i Ukraina. Ścierają się również różne oceny rosyjskich intencji, różne interpretacje wydarzeń i różne wizje tego, dokąd powinna zmierzać amerykańska polityka w Europie. W samym środku tego sporu znalazł się John Ratcliffe.

Dyrektor CIA jest jednocześnie zaufanym człowiekiem Donalda Trumpa i szefem instytucji, która przez lata budowała wyjątkowo bliską współpracę z Ukrainą. Ma kierować aparatem wywiadowczym zaangażowanym w konfrontację z Rosją, a zarazem wspierać prezydenta, który – chociaż chaotycznie – publicznie zarzeka, że chce tę wojnę zakończyć. Paradoksalnie to sytuacja, w której jednak tak doświadczona historycznie organizacja jak CIA potrafi doskonale się odnaleźć. Dlatego zasadne jawi się pytanie, czy CIA realizuje politykę prezydenta czy to prezydent musi liczyć się z instytucją, która przez lata wypracowała własny sposób patrzenia na Rosję, własne relacje z Ukrainą i własną logikę działania.

UKRAINA ŹRÓDŁEM WIEDZY USA O ROSJI

Dla CIA wojna na Ukrainie nie zaczęła się w lutym 2022 r. Amerykański wywiad od lat rozwijał współpracę z Kijowem.

eprasa.pl 03a9f32532

Budowano kanały wymiany informacji, szkolono partnerów, rozwijano zdolności rozpoznawcze i analizowano rosyjskie możliwości. Ukraina stała się dla Waszyngtonu jednym z najważniejszych źródeł wiedzy o Rosji.

Z czasem współpraca poszła znacznie dalej. Ukraina rozwijała własne zdolności wywiadowcze i operacyjne, a amerykańskie wsparcie pomagało jej lepiej rozumieć przeciwnika. Dla CIA Kijów stał się niewątpliwą inwestycją strategiczną. Jej efektem nie był tylko lepszy obraz rosyjskiej armii. Powstała również sieć relacji, procedur, kanałów komunikacji i zależności, których nie da się wyłączyć jednym rozkazem. I właśnie w tej sieci musi dziś pracować Ratcliffe.

Obecny dyrektor CIA nie jest człowiekiem z zewnątrz. Były kongresmen z Teksasu w pierwszej administracji Trumpa był dyrektorem wywiadu narodowego (DNI). Zna Waszyngton, zna aparat bezpieczeństwa i wie, jaką władzę daje dostęp do informacji, których nie posiadają ani media, ani większość polityków. Zdaje się również, że ma świadomość, iż największym problemem wywiadu nie musi być brak informacji, lecz sposób, w jaki informacje są interpretowane.

Dlatego tak ważny stał się jego przegląd ocen dotyczących rzekomej rosyjskiej ingerencji w amerykańskie wybory w 2016 r. W 2025 r. Ratcliffe zlecił analizę metodologii, która doprowadziła do powstania raportu Intelligence Community Assessment. Pytanie było kluczowe: Czy wnioski wywiadu rzeczywiście odpowiadały materiałowi dowodowemu i czy proces analityczny nie został obciążony z góry ustalonymi narracjami? W tym miejscu pojawia się osoba Julii Gurganus – jednej z najważniejszych postaci w sporach dotyczących analiz dotyczących Rosji amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej.

Gurganus przez lata zajmowała się Rosją i Eurazją. W latach 2014–2017 pełniła funkcję National Intelligence Officer for Russia and Eurasia, czyli jednego z najważniejszych ekspertów amerykańskiego aparatu wywiadowczego od spraw rosyjskich. Wcześniej i później pracowała również w CIA. Jej nazwisko powraca w dyskusji o procesie, który doprowadził do powstania ocen dotyczących rosyjskiej ingerencji w wybory w 2016 r.

Krytycy amerykańskiego wywiadu przypisują Gurganus znacznie większą odpowiedzialność za kształt tamtej analizy, niż wynikałoby to z publicznie dostępnych materiałów. W najbardziej radykalnych interpretacjach przedstawiana jest jako jedna z osób, które miały współtworzyć politycznie obciążoną narrację o Rosji, m.in. o tym, że Donald Trump miał być czymś w rodzaju amerykańskiej „onucy". Istnieje również druga strona tej historii.

W materiałach dotyczących 2016 r. pojawiają się informacje wskazujące, że Gurganus w tamtym okresie nie prezentowała bezwarunkowo tezy o rosyjskim poparciu dla konkretnego kandydata. Podczas jednego z briefingów dotyczących rosyjskiej ingerencji miała wskazywać, że dowody dotyczące preferowania przez Kreml konkretnego kandydata były niejednoznaczne. To istotne, bo komplikuje prosty obraz Gurganus jako osoby, która od początku forsowała jedną, politycznie wygodną interpretację. Ale jej rola nabiera jeszcze większego znaczenia dopiero kilka lat później.

Dla CIA Kijów stał się inwestycją strategiczną. Powstała sieć relacji, procedur i wzajemnych zależności, których nie da się wyłączyć

Według niektórych doniesień Gurganus znalazła się w gronie osób przygotowujących Donalda Trumpa do spotkania z Władimirem Putinem podczas szczytu na Alasce w sierpniu 2025 r. Najbardziej ciekawym aspektem tej historii jest jednak to, co stało się kilka dni po tym, jak Władimir Putin odleciał do Rosji. Otóż 19 sierpnia 2025 r. ówczesna dyrektor Wywiadu Narodowego Tulsi Gabbard odebrała poświadczenia bezpieczeństwa 37 obecnym i byłym funkcjonariuszom wywiadu, działając na polecenie prezydenta Trumpa. Julia Gurganus znajdowała się na tej liście.

Memorandum DNI, datowane na 18 sierpnia i opublikowane następnego dnia, nakazywało natychmiastowe zakończenie ich dostępu do systemów, obiektów i informacji niejawnych oraz rozwiązanie wszelkich umów i stosunków zatrudnienia z rządem. Gabbard zarzuciła tej grupie upolitycznienie lub manipulowanie danymi wywiadowczymi, wyciek materiałów niejawnych albo naruszenie standardów pracy analitycznej. Działanie wiązano zwłaszcza ze zleconą przez prezydenta Baracka Obamę oceną społeczności wywiadowczej w sprawie rosyjskiej ingerencji w wybory 2016 r.

Sam fakt, że przed spotkaniem na Alasce amerykański aparat bezpieczeństwa przygotowywał Trumpa do rozmów, jest bezsporny. „The Washington Post" opisywał, że w dniach poprzedzających szczyt jeden z najbardziej doświadczonych ekspertów CIA od Rosji pracował intensywnie nad przygotowaniem Trumpa i jego zespołu do rozmów. Gazeta nie podała jednak nazwiska tej osoby. To zastrzeżenie jest ważne. Ale jeśli przyjąć informację o udziale Gurganus w briefingu, zawartą w niektórych doniesieniach, to jej znaczenie dla całej historii jest zasadnicze. Przestaje być wtedy tylko symbolem dawnego sporu o Russiagate czy o jakość analizy z 2016 r. a staje się częścią mostu łączącego starą politykę CIA o Rosji z „nową" polityką Trumpa wobec Rosji.

SŁABA PAMIĘĆ CIA

W tym kontekście wielu obserwatorów zadaje sobie pytanie czy amerykański wywiad potrafi zmieniać swoje oceny bez utraty instytucjonalnej pamięci.

Owa antyrosyjska instytucjonalna pamięć CIA nie zaczęła się od Ukrainy ani od oceny z 2016 r. Widać ją chociażby w zeznaniach, które Harold P. Ford złożył jesienią 1991 r. przed Senacką Komisją do spraw Wywiadu, gdy sprzeciwiał się nominacji Roberta Gatesa, ówczesnego wiceszefa CIA, na dyrektora Agencji. Ford, wieloletni analityk Agencji, mówił o „siódmym piętrze" CIA, gdzie rezyduje dyrektor, że za kadencji Williama Caseya kierownictwo „miało wielką wizję: Rosjanie nadchodzą, wszędzie na świecie". Dyrektor Casey „miał na tym punkcie obsesję i często przychodził do Kongresu z wielkimi mapami, czerwonymi plamami rozsianymi po Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej". Casey odrzucał oceny uznane za zbyt miękkie. „The Washington Post" z 12 listopada 2010 r. w nekrologu Forda

eprasa.pl 03a9f32532

przytaczał, że Gates, według Forda, świadomie przeinaczał analizy, zwłaszcza wyolbrzymiając zagrożenie ze strony Związku Sowieckiego.

Jeżeli przez lata przyjmuje się określoną interpretację zachowania przeciwnika, to kolejne informacje zaczynają być oceniane przez jej pryzmat. Informacje potwierdzające wcześniejsze założenia zyskują na znaczeniu. Te, które do nich nie pasują, mogą zostać uznane za wyjątek, dezinformację albo próbę wprowadzenia w błąd. Wtedy wywiad zaczyna cierpieć nie na brak danych, lecz na brak konkurencyjnych hipotez oraz stopni prawdopodobieństwa.

W przypadku Gurganus pojawia się dodatkowy paradoks: osoba kojarzona przez część krytyków z najbardziej kontrowersyjnymi etapami amerykańskiej analizy Rosji pozostaje jednocześnie ekspertem, którego wiedza może być cenna dla prezydenta negocjującego z Putinem.

W tym kontekście współpraca CIA z Ukrainą nabiera szczególnego znaczenia, ponieważ wojna szybko zaciera granicę między informacją a autonomicznym działaniem. Wiedza o położeniu rosyjskich wojsk może służyć obronie, ale może też pomóc w przeprowadzeniu ataku. Im głębsza współpraca wywiadowcza, tym trudniej powiedzieć, gdzie kończy się wsparcie, a zaczyna współuczestnictwo. W udokumentowanej obficie historii CIA kiedy zmienia się prezydent Stanów Zjednoczonych, polityka wywiadu rzadko kiedy, jeśli w ogóle, zaczyna się od zera.

KTO STERUJE DRONAMI?

Najbardziej spektakularnym dowodem na to jest intensyfikacja wojny dronów. Ukraińskie systemy bezzałogowe już dawno pozwoliły przenieść działania wojenne daleko poza linię frontu. Rosyjskie bazy, magazyny, zakłady przemysłowe i inne obiekty znalazły się w zasięgu ataków. Ale dron sam nie prowadzi wojny, potrzebuje informacji.

Ktoś musi wiedzieć, gdzie znajduje się cel. Ktoś musi ocenić jego znaczenie. Ktoś musi przewidzieć reakcję przeciwnika. Ktoś musi wiedzieć, kiedy cel pojawi się w określonym miejscu. Dlatego też tak wiele emocji, szczególnie po stronie rosyjskiej, wywołują doniesienia o możliwej roli amerykańskich służb w najbardziej kontrowersyjnych operacjach. Dotyczy to głównie informacji o grudniowym ataku dronowym w pobliżu rezydencji Władimira Putina w Wałdaju. Pojawiały się sugestie, że CIA mogła posiadać wiedzę albo odgrywać rolę w procesie związanym z rozpoznaniem celu. Nie ma jednak publicznych dowodów pozwalających stwierdzić jednoznacznie, że agencja dostarczyła Ukrainie dane celownicze do tego konkretnego ataku.

Wywiad musi być podporządkowany władzy cywilnej, aby nie stać się samodzielnym centrum politycznym

Według relacji The Wall Street Journal „analitycy CIA, uznali, że Ukraina nie brała na cel Władimira Putina ani jego rezydencji w Wałdaju, w obwodzie nowogrodzkim. Wniosek ten przeczy twierdzeniom Moskwy, jakoby Kijów w weekend 28–29 grudnia 2025 r. wysłał 91 dronów w zamachu na prezydenta Rosji. Według cytowanego urzędnika ukraińskie siły celowały w obiekt wojskowy w tym samym rejonie, uderzony już wcześniej, lecz oddalony od rezydencji. Do ataku na sam dom nie doszło. Oskarżenie pojawiło się tuż po pomyślnych rozmowach Trumpa z Zełenskim, prowadzonych przy amerykańskim pośrednictwie. Kijów odrzucił zarzut jako próbę zerwania negocjacji. Moskwa pokazała szczątki dronów i mapy torów lotu, lecz amerykański wywiad nie znalazł śladu zamiaru ugodzenia w Putina. Ustalenia pokrywają się z ukraińskim zaprzeczeniem i odsłaniają napięcia wokół prób zakończenia wojny".

Jednak dementi budzi zasadne zastrzeżenia: Skąd CIA wiedziała, że Ukraińcy celowali w obiekt wojskowy w pobliżu rezydencji Putina, skoro wszystkie drony zostały zestrzelone? Czy Ukraińcy powiedzieli o tym swoim protektorom z Agencji czy stoi za tym coś poważniejszego? Wszak wygląda na to, że CIA milcząco przyznała, że – jak twierdzili Rosjanie – zestrzelono 91 dronów. Gdyby żaden nie wystartował, a Moskwa już to obaliła, pokazując tor lotu każdego z nich, Agencja powinna była po prostu powiedzieć: „Żadnych dronów nie było". Czy mogło dojść do czegoś poważniejszego? Czy CIA znała zamierzony cel, bo to jej ludzie przekazali Ukrainie dane do namierzania, a następnie oficjele próbowali „kryć" najpierw Kijów, a następnie swoje potencjalne współuczestnictwo? Pytanie ciągle czekające na odpowiedź, ale w Moskwie nadal budzące emocje.

APEL DO TRUMPA

W obecnej sytuacji wygląda na to, że Ratcliffe nie może po prostu wyłączyć dotychczasowej współpracy z Ukrainą, o ile w ogóle chce. Nie może również jednym rozkazem zmienić sposobu myślenia setek analityków. Pozostaje szefem instytucji, która przez lata działała w określonym środowisku strategicznym. Ale z tego też nie wynika, że każda decyzja Moskwy jest irracjonalna ani że każda propozycja negocjacji musi być pułapką. Wywiad musi umieć dostrzec również to, co nie pasuje do jego dotychczasowej narracji.

W sierpniu 2026 r. członkowie organizacji Veteran Intelligence Professionals for Sanity, skupiającej byłych oficerów i analityków różnych amerykańskich służb wywiadowczych, zarówno cywilnych, jak i wojskowych, ostrzegali Trumpa właśnie przed przyjmowaniem za pewnik ocen, według których Rosja przegrywa wojnę, a Ukraina znajduje się na drodze do odzyskania utraconych terytoriów. Tak piszą, zwracając się do Trumpa: „Dwaj dziennikarze »New York Timesa« od spraw wywiadu piszą w czwartek, że najnowsza wersja tezy o już przegranej Rosji to »ocena obecnego dyrektora CIA«. Z lekkim zdziwieniem dodają, że Putin może ją zlekceważyć i walczyć dalej. Tylko po co?

»Times« i jego źródła w służbach nie pojmują, czemu miałby próbować nadal, skoro – według urzędników i komentatorów – przegrywa od trzech i pół roku. A może to oni się mylą? Tej możliwości nie biorą pod uwagę. Obracają się w miejscu i winę zrzucają na doradców Putina, którzy – jak piszą – nie dali mu »uczciwego obrazu przebiegu wojny i jej ceny«. Jeśli to żart, to nam nie jest do śmiechu. Na Ukrainie codziennie giną setki ludzi.

eprasa.pl 03a9f32532

Rosja metodycznie idzie do przodu w Donbasie, na froncie długim na półtora tysiąca kilometrów. Ataki dronów na rafinerie i zaplecze odpiera coraz skuteczniej, a Odessę niemal odcięła uderzeniami z powietrza. Brak ludzi i środków przechwytujących sprawia, że Kijów utraconych ziem już nie odzyska – co Pan sam przyznał po Alasce.

Panie Prezydencie, mając uczciwy wywiad, sam by Pan osądził, czyi doradcy przez te pięć lat mieli rację. A widząc, co dzieje się na ziemi i w powietrzu, mógłby Pan przerwać tę katastrofę".

CZYM MA BYĆ AGENCJA?

I właśnie dlatego tak ważne jest pytanie, czy Ratcliffe reformuje CIA po to, aby była lepszym narzędziem dla prezydenta, czy też próbuje jedynie nadać nową twarz od początku szkodliwej narracji, zbudowanej bardziej na wewnętrznej, wieloletniej kulturze konsensusu wokół Rosji, zamiast na niepasujących do tego obrazu twardych danych wywiadowczych? Ten spór jest niemal tak stary jak sama CIA.

Prezydent Harry Truman, człowiek, który podpisał ustawę tworzącą Agencję, już w 1963 r. ostrzegał przed kierunkiem, w którym zaczęła ona zmierzać. 22 grudnia, dwa miesiące po zabójstwie prezydenta Johna F. Kennedy'go, w tekście opublikowanym w „Washington Post", pisał: „Od pewnego czasu niepokoi mnie sposób, w jaki CIA została odsunięta od pierwotnego zadania, które jej powierzono. Stała się operacyjnym, a czasami także kształtującym politykę ramieniem rządu. Doprowadziło to do problemów i mogło pogłębić nasze trudności w kilku wybuchowych obszarach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, kiedy powoływałem CIA, że zostanie ona wciągnięta w pokojowe operacje prowadzone w stylu płaszcza i szpady".

Ocena Trumana dotyka bowiem fundamentalnego problemu każdej służby specjalnej. Wywiad musi być wystarczająco silny, aby zdobywać informacje, których państwo potrzebuje. Ale jednocześnie musi być wystarczająco podporządkowany władzy cywilnej, aby nie stać się samodzielnym centrum politycznym.

Ratcliffe musi kierować instytucją, która ma własną historię i własną pamięć. Musi korzystać z jej wiedzy, ale jednocześnie kontrolować jej błędy. Musi słuchać ludzi, którzy przez lata zajmowali się Rosją, ale nie może i nie powinien zakładać, że ich wcześniejsze oceny są nieomylne. Formalnie musi utrzymać zdolność do prowadzenia wojny wywiadowczej, a jednocześnie przygotować aparat do sytuacji, w której wojna może zostać zakończona. George Beebe, były szef analizy rosyjskiej w CIA, w 2018 r. stwierdził: „Stany Zjednoczone przechodzą okres poważnych kłopotów wewnętrznych, kryzysu zaufania zrodzonego głównie od środka. Wiele z tych lęków rzutujemy na Rosję. W rzeczywistości większość szkód wyrządzamy sobie sami." To opis swoistego odruchu, który w jakiejś mierze znalazł również miejsce w obecnych kadrach CIA. Pozostaje pytanie, czy w wyobraźni zbiorowej CIA i w podejściu jej obecnego dyrektora to odruch będzie dyktował jej analizy czy rzeczywistość, nawet ta nieprzyjemna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 03a9f32532

Polska w Unii Eurokościelnej



Spotkanie papieża Leona XIV z nowymi biskupami w ramach synodu watykańskiego, 11 września 2025 r.

FOT. BACKGRID/BACKGRID USA/FORUM



Paweł Chmielewski

W Kościele w Polsce panuje niemal całkowite milczenie na temat synodalnej transformacji katolicyzmu w Europie. Dlaczego? Być może jesteśmy zbyt przyzwyczajeni do postępów liberalnej rewolucji w naszym kraju

W roku 2019 Kościół katolicki w Niemczech rozpoczął „drogę synodalną", której otwarcie deklarowanym celem była głęboka przebudowa struktur kościelnych oraz zmiana doktryny. Biskupi zza Odry zaproponowali papieżowi, by skorzystał z niemieckich doświadczeń i polecił je wdrożyć całemu światu. Zgodnie z ich pomysłem wdrażanie miało się odbywać na trzech szczeblach – krajowym, kontynentalnym i światowym.

Dwa lata później rozpoczął się globalny Synod o synodalności, rozpisany na takie właśnie trzy etapy. Niemiecko-bergogliańska inicjatywa częściowo zakończyła się w 2024 r. zgromadzeniem w Rzymie, ale synodalna transformacja Kościoła trwa nadal. Obecnie realizowana jest budowa trwałych struktur europejskich, które mają pozwolić na ściślejszą koordynację synodalności Kościoła na naszym kontynencie.

„ZGODA W RÓŻNORODNOŚCI"

Pierwsze wielkie synodalne spotkanie w Europie odbyło się w lutym 2023 r. w Pradze, jeszcze jako część globalnego procesu Franciszka. Zgromadzeni tam biskupi i świeccy przyjęli dokument finalny, w którym kluczowe miejsce zajęło motto „jedność w różnorodności" – ewidentnie wzorowanie na dewizie Unii Europejskiej, która w oficjalnej łacińskiej wersji brzmi „in varietate concordia", czyli dosłownie „zgoda w różnorodności". Sięgnięcie po polityczny wzorzec nie wydaje się przypadkiem. W chadeckich kręgach zachodnioeuropejskich utrzymuje się silne przekonanie o kompatybilności Unii Europejskiej i Kościoła katolickiego. Znalazło to swój wyraz w głośnej publikacji z 16 września 2026 r. Na łamach francuskiego „La Croix" ukazał się artykuł dotyczący pielgrzymki papieża Leona XIV do Francji. Autorami tekstu było czworo katolików z Niemiec, Włoch i Francji. Niemców reprezentował kard. Reinhard Marx, arcybiskup Monachium i Fryzyngi, inicjator „drogi synodalnej" i bliski współpracownik papieży Franciszka i Leona XIV. Włochów – były premier tego kraju, Mario Monti, zarazem wieloletni komisarz Unii Europejskiej i prominentny członek Grupy Bilderberg. Ze strony Francji tekst sygnowali Sylvie Goulard, która kieruje Instytutem Niemiecko-Francuskim, a także Jean-Baptiste de Franssu, wpływowy finansista związany m.in. z Bankiem Watykańskim. W tekście stwierdzono, że Unia Europejska „wcieliła w życie przesłanie Ewangelii", co czyni przez jednoczenie państw kontynentu, wspieranie rządów prawa, demokrację, zasadę pomocniczości oraz solidarność transgraniczną. Ten swoisty manifest dobrze oddaje ducha europejskich środowisk głównego kościelnego nurtu.

Motto przyjęte w Pradze zostało sprzęgnięte z europejską synodalnością już na stałe. Kolejne spotkania organizowano w następnych latach już nie w Czechach, ale w Austrii. Nieformalną stolicą reformy Kościoła na naszym kontynencie stał się Linz. Na tamtejszym prywatnym Uniwersytecie Katolickim powstał specjalny Wydział do spraw synodalnych. Kieruje nim teolog pochodząca z Rumunii prof. Klara Csiszar. Uczona nawiązała ścisłą współpracę z węgierskim kardynałem László Németem, który posługuje dziś jako arcybiskup Belgradu; purpurat wysoko ocenia „drogę synodalną" w Niemczech. Német jest wiceprzewodniczącym organizacji zrzeszającej biskupów europejskich, tzw. CCEE (Rada Konferencji Episkopatów Europy). W Linzu po 2023 r. odbywały

eprasa.pl 03a9f32532

się spotkania teologów torujące drogę do zmian w Kościele Europy. Ważną rolę odgrywał na nich wpływowy niemiecki teolog, prof. Thomas Söding. To wykładowca na Uniwersytecie w Bochum, członek współrządzącego Kościołem w Niemczech Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików oraz istotna figura niemieckiej „drogi synodalnej". W 2024 r. Söding stwierdził, że Europa potrzebuje utworzenia kontynentalnego Zgromadzenia Kościelnego. „Kościół katolicki w Europie potrzebuje więcej synodalności. Potrzebuje regularnych spotkań z szerokim uczestnictwem. Potrzebuje aktywnego udziału biskupów, ale nie samych tylko spotkań biskupów: Kościół katolicki potrzebuje Europejskiego Zgromadzenia Kościelnego" – pisał na łamach magazynu „Communio".

Prototyp takiego zgromadzenia zebrał się we wrześniu 2026 r. Miejscem spotkania stał się zamek Puchberg w miejscowości Wels w Austrii, położonej nieopodal Linzu. W obradach wzięło udział ponad 180 uczestników z 31 państw Europy. Obok Csiszar i Södinga na miejscu byli też inni znani teologowie kojarzeni z agendą reformistyczną, tacy jak ks. Tomáš Halík z Pragi albo ks. Paul Zulehner z Wiednia. Przyjechali też dwaj kardynałowie – sam László Német oraz Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, wieloletni współpracownik Franciszka i zwolennik zmian w doktrynie Kościoła w odniesieniu do LGBT. Pojawili się też biskupi z wielu krajów, w tym metropolita Wilna, abp Gintaras Grušas, który odgrywa dziś prominentną rolę szefa CCEE.

Główna inicjatorka, Csiszar, już zapowiedziała chęć powtórzenia tego spotkania w przyszłym roku, tym razem w Belgii. Mogłoby to zapewne pomóc w podkreśleniu „unijnego" modelu całego przedsięwzięcia, o ile takie podkreślenie jest jeszcze w ogóle potrzebne – bo merytorycznie spotkanie na zamku Puchberg było bardzo zbliżone do tego, co zawarto w motcie „jedność w różnorodności" z Pragi.

KRYTYKA JUŻ NIEDOPUSZCZALNA

Od czołowych uczestników austriackich obrad synodalnych słyszeliśmy przede wszystkim jeden komunikat: Kościół katolicki w Europie musi iść naprzód, ale w tempie zależnym od regionów (czyżby unijne hasło „Europy różnych prędkości"?); najważniejsze, by szanować wzajemną różnorodność i zachowywać jedność, akceptując odmienne zapatrywania na różne kwestie. Czytelnika może zdziwić taka tolerancja, dla Unii Europejskiej przecież niezbyt charakterystyczna. Trzeba jednak pamiętać o wczesnym stadium całego projektu. Nie ma tu żadnego strukturalnego przymusu, wszystko odbywa się na zasadzie dobrowolności, stąd formalnie niemożliwe jest narzucanie progresywnej agendy. Poprzez hasła tolerancji reformiści realizują zresztą pewien bardzo konkretny cel. Jeszcze kilka lat temu liberalna niemiecka „droga synodalna" była przedmiotem ostrej krytyki ze strony niektórych biskupów europejskich. Publicznie ganili ją niektórzy biskupi z Ukrainy, Polski oraz krajów skandynawskich. W modelu „jedności w różnorodności" krytyka progresywnych poglądów doktrynalnych i moralnych nie jest już dopuszczalna. Mamy się „szanować", a to oznacza milczącą akceptację tworzenia lokalnych „odmian" katolicyzmu.

DZIEJOWA KONIECZNOŚĆ?

Dlaczego te europejskie wysiłki na rzecz zbudowania swoistej „unii" kościelnej nie natrafiają w Polsce niemal na żadne zainteresowanie? Być może polski główny nurt katolicki jest już tak przyzwyczajony do modelu integracji europejskiej, że nie widzi w tym szczególnego zagrożenia, traktując zacieśnianie współpracy raczej w kategoriach dziejowej konieczności. Tak polscy biskupi postrzegali wejście Polski do Unii Europejskiej, w czym umacniał ich sam Jan Paweł II.

Ewentualna liberalizacja wiary w naszym kraju nie musi być też czymś dla głównego nurtu niemiłym. Katolicyzm w Polsce cały czas się zmienia i poziom akceptacji dla agendy progresywnej wyraźnie narasta. Niedawno opisywałem na łamach „Do Rzeczy", co dzieje się na II Synodzie Duszpasterskim Archidiecezji Krakowskiej, gdzie w „syntezie synodalnej" pojawiła się narracja rodem z ideologii LGBTQ+. W kilku polskich diecezjach już otwarcie promuje się niemieckie rozwiązanie dotyczące udzielania Komunii Świętej osobom rozwiedzionym i żyjącym w powtórnych związkach. Biskupi chętnie wprowadzają też bardzo nowatorską teologię w dialogu międzyreligijnym, zwłaszcza odnośnie judaizmu. Wreszcie szeroko rozpowszechniona jest w Polsce religijność charyzmatyczna, która cechuje się daleko posuniętą dezynwolturą wobec tradycyjnych form pobożności. Polski katolicyzm AD 2026 nie jest już tożsamy z tym, którego nauczano w naszym kraju nie tylko przed Soborem Watykańskim II, lecz także nawet w latach 80. czy 90. Wraz z przejmowaniem przez polskie społeczeństwo wzorców życia stworzonych w liberalnym środowisku zachodnim zmienia się też Kościół katolicki. Nie da się wykluczyć, że to istotny czynnik odpowiedzialny za nieledwie oficjalne „désintéressement" budową europejskiej synodalności. Po co walczyć z czymś, co zmierza w kierunku i tak zaakceptowanym jako docelowy?

Nie we wszystkich krajach kontynentu projekt synodalnej reformy musi zyskać powszechną sympatię. Interesujący jest np. krajobraz religijny Francji. Jak wynika z opublikowanych niedawno badań, ponad połowa francuskich księży w wieku 25–35 lat przynajmniej czasami sprawuje tradycyjną Mszę Świętą; można zakładać, że wiąże się to z niechęcią wobec liberalnego modelu synodalności. W Polsce zainteresowanie liturgią tradycyjną jest zdecydowanie mniejsze. Oczywiście przywiązanie do konserwatywnego modelu katolicyzmu wykracza daleko poza środowiska „trydenckie", ale poza tymi grupami trudno o całościową odpowiedź na projekt progresywnej przebudowy Kościoła. Co więcej, wśród zaangażowanej religijnie młodzieży szaloną popularność zyskuje duchowość charyzmatyczna, na ogół obojętna albo nawet przychylna wobec reform synodalnych. W konsekwencji nie widać siły, która mogłaby przeciwstawić się włączaniu Polski w europejski system kościelny. Zatrzymać ten proces musiałaby uprzednia polityczna dezintegracja Unii Europejskiej; wówczas po prostu zabrakłoby struktury, która stanowi jedyne zaplecze dla „unionizacji" katolicyzmu.

Katolicyzm w Polsce cały czas się zmienia i poziom akceptacji dla agendy progresywnej wyraźnie narasta

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 03a9f32532



Z Krzysztofem Drozdowskim, historykiem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Zwycięzców się nie sądzi

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: We wrześniu 1939 r. Polskę zaatakowały nie tylko Niemcy i Rosja?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Tak, i warto to mocno podkreślić, bo w powszechnej pamięci historycznej ten fakt bywa spychany na margines. Oczywiście głównym agresorem 1 września 1939 r. była III Rzesza, a 17 września do napaści dołączył Związek Sowiecki. Ale między tymi dwoma wydarzeniami jest jeszcze trzeci napastnik – Słowacja ks. Jozefa Tisy, świeżo utworzone państwo satelickie Berlina.

Słowacja nie była tylko biernym zapleczem niemieckiej agresji. Wzięła udział w działaniach zbrojnych przeciw Polsce. Do wojny skierowano Armię „Bernolák", liczącą ok. 50 tys. żołnierzy, zorganizowaną w trzy dywizje: „Jánošík", „Škultéty" i „Rázus", a także zgrupowanie manewrowe „Kalinčak". Co istotne, armia słowacka ruszyła do działań zaledwie kwadrans po uderzeniu Wehrmachtu. Było to zatem uczestnictwo natychmiastowe, zaplanowane i politycznie czytelne.

Słowacy zajęli m.in. Jaworzynę i Niedzicę, a następnie posuwali się w głąb polskiego terytorium. Część oddziałów pełniła później funkcje okupacyjne, m.in. w Zakopanem. To pokazuje, że wrzesień 1939 r. nie był wyłącznie prostą opowieścią o niemieckim i sowieckim uderzeniu. Był także momentem, w którym mniejsi sojusznicy Hitlera próbowali realizować własne interesy terytorialne i polityczne.

Premier Włoch Silvio Berlusconi kłamał, mówiąc – w kontekście odpowiedzialności za włoskie obozy koncentracyjne – że „Mussolini wysyłał tam ludzi na wakacje"?

To była wypowiedź skandaliczna, bo sprowadzała represyjny system faszystowskiego państwa do groteskowego żartu. W odniesieniu do włoskich

eprasa.pl 03a9f32532



Alexander Mach gratuluje słowackim żołnierzom odznaczonym za udział w inwazji na Polskę FOT. DOMENA PUBLICZNA

obozów koncentracyjnych brzmi to jak próba oswojenia, a właściwie wybielenia faszyzmu.

De facto były one miejscami przymusowego odosobnienia, kontroli, izolacji politycznej i represji. Regulaminy obozowe jasno pokazują, że internowanych pozbawiono podstawowych swobód, korespondencja była reglamentowana i kontrolowana, a za złamanie regulaminu groziły kary.

To nie był system eksterminacyjny na wzór niemieckich obozów zagłady, ale nie można go przez to bagatelizować. Włoski faszyzm stworzył własny aparat przemocy, własne obozy, własny system dyscyplinowania przeciwników, cudzoziemców, Żydów i ludzi uznanych za niewygodnych. Słowa Berlusconiego wpisywały się w szerszy problem włoskiej pamięci historycznej: skłonność do przeciwstawiania „dobrego Włocha" „złemu Niemcowi" i do pomniejszania win reżimu Mussoliniego.

Głównym celem tajnej policji Duce była inwigilacja Watykanu?

OVRA, czyli tajna policja faszystowskich Włoch, została stworzona przede wszystkim jako narzędzie kontroli społeczeństwa, walki z przeciwnikami politycznymi i rozbijania środowisk antyfaszystowskich. Jej zadaniem było budowanie sieci informatorów we Włoszech i poza ich granicami.

Natomiast Watykan był jednym z najważniejszych obiektów zainteresowania OVRA. Mussolini doskonale rozumiał, że Kościół katolicki pozostaje we Włoszech instytucją o olbrzymim autorytecie. Reżim faszystowski mógł zawierać z nim porozumienia, ale nigdy nie był w stanie całkowicie go podporządkować. Dlatego Stolicę Piotrową należało obserwować, rozpracowywać i przenikać agenturalnie.

OVRA stosowała metody typowe dla państwa policyjnego: kompromitację, szantaż, werbunek informatorów. Siatka watykańska obejmowała wysoko postawionych duchownych oraz świeckich pracowników kurii. Szczególnie interesowano się skandalami obyczajowymi, ponieważ takie materiały mogły służyć jako narzędzie nacisku. To pokazuje, że faszyzm nie ufał nawet instytucji, z którą formalnie współistniał i której poparcie społeczne było mu potrzebne. Często porównuje się OVRA do niemieckiego gestapo i rzeczywiście można znaleźć pomiędzy obiema organizacjami wiele analogii.

Zbrodnicze działania Jednostki 731 okrył parasol ochronny ze strony USA?

Owszem. To jedna z najbardziej ponurych historii powojennego rozliczenia zbrodni japońskich. Jednostka 731 prowadziła eksperymenty biologiczne i medyczne na ludziach, których w żargonie oprawców nazywano „maruta", czyli „kłodami". Mamy do czynienia z systematyczną eksterminacją w imię badań nad bronią biologiczną, epidemiami, odmrożeniami, zakażeniami i odpornością organizmu. Nie da się uniknąć porównań z niemieckimi badaniami medycznymi w obozach koncentracyjnych, tylko o ile w Niemczech to był jedynie element zbrodniczego systemu, o tyle tu mamy do czynienia z kompleksowym działaniem. Od początku starannie zaplanowanym.

Najnowsze ustalenia liczby ofiar oscylują wokół 20 tys. W momencie sowieckiej ofensywy w Mandżurii nakazano zniszczyć ośrodek, dokumentację, zlikwidować więźniów i ewakuować personel naukowy do Japonii. To nie była chaotyczna ucieczka, lecz próba zatarcia śladów po zbrodniach.

Po wojnie Amerykanie byli zainteresowani wynikami tych badań. Wiedzę dotyczącą broni biologicznej i chemicznej uznali za cenniejszą od rozliczenia sprawców. W efekcie wielu ludzi zaangażowanych w działalność Jednostki 731 uniknęło odpowiedzialności. To jest klasyczny przykład zimnowojennej logiki: zbrodniarze mogli okazać się użyteczni, więc ich chroniono.

Kempeitai stanowiło odpowiednik gestapo?

W sensie funkcjonalnym tak, choć trzeba zachować pewną ostrożność. Kempeitai nie było kopią gestapo. Wyrosło z japońskiej tradycji wojskowej i było związane z armią cesarską. Ale jeżeli pytamy o rolę społeczną i polityczną, to podobieństwa są oczywiste: inwigilacja, represje, terror, kontrwywiad, kontrola nastrojów, tropienie opozycji i brutalne śledztwa.

Kempeitai łączyło funkcje żandarmerii wojskowej, policji politycznej i aparatu kontrwywiadowczego. Była to formacja działająca zarówno wobec wrogów zewnętrznych, jak i wobec własnego społeczeństwa oraz ludności okupowanych terytoriów.

Kamikadze mogli zmienić bieg frontowych wypadków?

Nie, mogli jedynie znacząco podnieść koszt zwycięstwa aliantów. Kamikadze pojawili się w momencie, gdy Japonia znajdowała się już w sytuacji strategicznie beznadziejnej, wobec przytłaczającej przewagi Stanów Zjednoczonych w przemyśle, lotnictwie, marynarce, logistyce i zasobach naturalnych.

eprasa.pl 03a9f32532

Największym teatrem działań z udziałem kamikadze była Okinawa. Japończycy przeprowadzili tam fale samobójczych nalotów przeciw flocie wspierającej inwazję. Według znanych nam danych Japonia miała wykonać 1809 takich ataków, choć nie każdy kończył się śmiercią pilota, bo aż 879 lotników wróciło żywych. Skutki ich misji były dotkliwe: 34 okręty alianckie zostały zatopione, 368 uszkodzonych, a straty osobowe sięgały 4900 zabitych i 4800 rannych.

W mojej ocenie kamikadze byli symbolem desperacji państwa u progu klęski. Stanowili oręż o ogromnym znaczeniu propagandowym i psychologicznym.

Jak wyglądała japońska „Norymberga" i dlaczego Indie zgłosiły votum separatum wobec wyroku, który zapadł w tym procesie?

Proces tokijski, czyli postępowanie przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym dla Dalekiego Wschodu, miał za zadanie osądzić najważniejszych japońskich przywódców politycznych i wojskowych odpowiedzialnych za agresję, zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciw ludzkości na terenie Azji. W tle znajdowała się decyzja polityczna o zachowaniu cesarza Hirohito na tronie, co już samo w sobie ograniczało zakres rozliczeń. Części najmroczniejszych epizodów, jak działalność Jednostki 731, nie rozliczono w sposób proporcjonalny do skali zbrodni.

Najbardziej znane votum separatum od werdyktu złożył indyjski sędzia Radhabinod Pal. Jego sprzeciw nie polegał na prostym usprawiedliwianiu japońskich zbrodni, jak czasem się to upraszcza. Pal kwestionował przede wszystkim selektywność procesu i zasadę, według której sądzono wyłącznie pokonanych. Zwracał uwagę, że alianci również dopuszczali się działań o ogromnej skali zniszczenia, w tym bombardowań miast japońskich, a zwłaszcza użycia bomb atomowych. W jego ocenie trybunał przypominał zatem narzędzie zwycięzców niż w pełni uniwersalny sąd prawa międzynarodowego.

To jest bardzo niewygodny, ale ważny temat. Proces tokijski był konieczny, bo japońskie zbrodnie wymagały rozliczenia. Jednocześnie Temidzie towarzyszyła polityka. Pal właśnie tę polityczność procesu obnażał. Powtórzyła się sytuacja z Europy, gdzie pod trybunał postawiono Niemców, ale już np. nie Sowietów za choćby zbrodnię katyńską czy napaść na Polskę i Finlandię. W myśl niepisanej zasady, że zwycięzców się nie sądzi.

Wróćmy na Stary Kontynent. III Rzeszy nie kalkulowało się podbijać Szwajcarii?

Niemcy przygotowywali plan jej zajęcia. Operacji „Tannenbaum" jednak nie urzeczywistniono. Uznano, że korzyści z utrzymywania Szwajcarii w roli neutralnego pośrednika były większe niż potencjalny zysk z okupacji.

Szwajcaria była hubem finansowym, handlowym, wywiadowczym i dyplomatycznym. Przez jej instytucje i przedsiębiorstwa przechodziły transakcje, które dla III Rzeszy miały ogromne znaczenie. Neutralność nie oznaczała całkowitej izolacji od stron konfliktu. Ówczesne prawo neutralności nie nakazywało pełnego zerwania kontaktów gospodarczych z państwami wojującymi, co tworzyło szarą strefę między legalnością a moralną odpowiedzialnością. Pod koniec wojny Berlin wykorzystywał banki szwajcarskie celem transferów pieniędzy do Ameryki Południowej.

Korzenie szwedzkiej prosperity tkwią w drugiej wojnie światowej?

Nie powiedziałbym, że szwedzki cud gospodarczy narodził się wyłącznie w latach 1939–1945. Szwecja miała wcześniejsze podstawy rozwoju: przemysł, zasoby naturalne, stabilne instytucje, kulturę organizacyjną i korzystne położenie. Ale wojna niewątpliwie stworzyła dla niej szczególne warunki.

Zachowała neutralność, uniknęła zniszczeń, nie została okupowana, nie straciła infrastruktury i mogła kontynuować produkcję. Jednocześnie jej zachowanie cechowała elastyczność. W książce pokazuję, że już wcześniej Szwedzi sympatyzowali z Niemcami i wspierali ich rozwój militarny, m.in. przez umożliwianie tajnych prac nad sprzętem. Po wybuchu wojny formalnie ogłosili neutralność, ale w praktyce ich polityka była pełna podwójnych standardów.

Norweskich żołnierzy przekraczających granicę rozbrajano i internowano, natomiast Niemców traktowano inaczej. Szacuje się, że w latach 1940–1943 przez terytorium Szwecji przeszło ok. 2 mln żołnierzy Wehrmachtu.



KRZYSZTOF DROZDOWSKI „TAJEMNICE SOJUSZNIKÓW HITLERA" REPLIKA

Do tego dochodzi eksport surowców, przede wszystkim rudy żelaza, surowca kluczowego dla niemieckiego przemysłu wojennego. Szwecja potrafiła przetrwać wojnę, zarabiać, zachować potencjał gospodarczy i po 1945 r. wystartować z pozycji znacznie lepszej od państw zrujnowanych okupacją.

Generał Franco w III Rzeszy nie byłby nawet podrzędnym urzędnikiem?

To oczywiście opinia Hitlera, wypowiedziana z pogardą i frustracją. Franco był dla niego partnerem trudnym, irytującym i często wręcz niewdzięcznym. Hiszpania zawdzięczała zwycięstwo w wojnie domowej m.in. pomocy Hitlera i Mussoliniego. Niemcy wysłali Legion Condor, Włosi sprzęt, ludzi i wsparcie, toteż Caudillo miał wobec Osi dług polityczny.

Ale kiedy przyszło do drugiej wojny światowej, nie zamierzał się w nią angażować. Hiszpania była gospodarczo wyniszczona po własnym konflikcie zbrojnym. Spotkanie Franco z Hitlerem w Hendaye 23 października 1940 r. miało doprowadzić do wciągnięcia Hiszpanii do wojny przeciw Wielkiej Brytanii, przede wszystkim w kontekście Gibraltaru. Zakończyło się jednak fiaskiem. Z czasem niechęć Hitlera do Franco narastała.

Gdyby Hiszpania weszła do wojny po stronie Osi, najpewniej podzieliłaby los pokonanych. Tymczasem Franco rządził ponad trzy dekady. Został politycznym reliktem epoki faszyzmów, lecz zimna wojna pozwoliła mu wrócić do gry w roli antykomunistycznego sojusznika Zachodu.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzysztof Drozdowski – pisarz, dziennikarz, historyk. Autor książek, m.in.: „Krwawe ślady. Gwałty, mordy i grabieże Armii Czerwonej na Polakach", „Medyczne zbrodnie nazistów", „Fundusz Obrony Narodowej" i najnowszej – „Tajemnice sojuszników Hitlera".

eprasa.pl 03a9f32532



KOMUCHOŻERCA

Niemcy czy już „naziści”?

LESZEK ŻEBROWSKI

To niesłychane, jakie łamańce może wyczyniać prokuratura w obecnej Polsce, chcąc wybielać niemieckich ludobójców. Oto przypadek szczególny, syn żołnierza AK, aresztowanego i zamordowanego przez Niemców w czasie wojny, zwrócił się o zbadanie tej sprawy i możliwe ustalenie miejsca jego pochówku. W piśmie do prokuratury, jako człowiek starej daty, nieulegający po(d)stępowi, konsekwentnie pisał o Niemcach, a nie o mitycznych nazistach. W odpowiedzi prokurator konsekwentnie stosował w miarę nowy zabieg (miało to miejsce zaledwie kilka lat temu), używając pojęcia „naziści” zamiast „Niemcy”.

Zbulwersowany tym faktem wnioskodawca zwrócił uwagę, że jest to ewidentny, niedopuszczalny zabieg propagandowy, usiłujący rozmyć winę prawdziwych sprawców. Odpowiedź była jeszcze bardziej bulwersująca: „Za nieuprawnione traktuję zarzuty, jakoby pracownicy [prokuratury] krzewili propagandę pułkownika Gehlena, zmierzającą do zrzucenia z Niemiec odpowiedzialności za zbrodnie”. To nie jest zwykłe „przekomarzanie się”, co w takiej sprawie w ogóle nie powinno mieć miejsca w takiej formie. Nastąpił bowiem wykład ideologiczny, pouczający wnioskodawcę o kierunku ideologicznych zmian: „Informuję, iż prokurator używa w swych decyzjach procesowych sformułowań prawnych, a te stanowią o zbrodniach nazistowskich”. A kiedyż to zniknęły zbrodnie niemieckie i na jakiej podstawie zostały zastąpione zbrodniami nazistowskimi? To nie koniec pouczeń! „Nadto informuję, iż »zbrodnie niemieckie« w odniesieniu do tych zbrodni jest niezgodne z faktami historycznymi, bowiem odnosi się do narodowości sprawców, tymi zaś w równym stopniu [sic! – L.Ż.] byli Austriacy oraz osoby innych narodowości, które zdecydowały się na współpracę z III Rzeszą Niemiecką”. Czyli sprawcy różnych narodowości nagle stali się równorzędni, z pominięciem faktu, że wszyscy byli w służbie i pod rozkazami Niemców!

I mamy zawoalowaną groźbę, na razie w postaci stanowczego pouczenia wnioskodawcy: „Różnicowanie sprawców ze względu na ich narodowość nie wydaje się dopuszczalne w demokratycznym państwie prawa, jakim jest Rzeczypospolita Polska [sic! powinno być: Rzeczpospolita – L.Ż.]”. To niesłychane, jak szybko następuje toporna jewropeizacja pojęć i języka prawnego w kierunku całkowitego oczyszczenia niemieckich ludobójców z odpowiedzialności za drugą wojnę światową i popełnione wówczas okrutne zbrodnie.

Nasuwa się pytanie: Jak szybko nastąpią całkowite zmiany w tym zakresie (sporo zależy od edukacji, a tam to już idzie szybko) i kiedy zostanie wprowadzona odpowiedzialność za szkalowanie Niemców? ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Powrót „Śmigłego”

SŁAWOMIR KOPER

Wprawdzie jesienią 1941 r. nikt nie miał obecnej wiedzy i nie zdawał sobie sprawy z wysokości sowieckich strat, ale ciągły odwrót Armii Czerwonej wskazywał, że Niemcy zdominują Europę na długie lata. Osamotniona Wielka Brytania mogła się tylko bronić, a Stany Zjednoczone zachowywały neutralność. Nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie nie było siły, która mogła przeciwstawić się Hitlerowi. Należało zatem coś zrobić z sytuacją narodu polskiego, który niemal w całości znalazł się pod panowaniem Niemiec. Tym bardziej że hitlerowska okupacja nie przybrała jeszcze swoich najstraszliwszych form znanych z późniejszego okresu i wydawała się znacznie mniej krwawa niż sowieckie wywózki do łagrów i katownie NKWD.

Ponadto pamiętano o współpracy z Niemcami w czasach pierwszej wojny światowej, zwracano też uwagę na wyższość cywilizacyjną zachodnich okupantów nad Sowietami. Wiele zresztą hitlerowskich zbrodni składano na karb wojny, ewentualnie prywatnej inicjatywy lokalnych władz niemieckich.

Wehrmacht na wschodzie jednak ponosił też straty (wprawdzie kilkanaście razy mniejsze niż Armia Czerwona, ale zawsze), a Niemcom zależało na porządku na tyłach. Część polskich elit nie wykluczała sojuszu przeciwko Sowietom, a polski żołnierz podczas kampanii wrześniowej udowodnił swoją wartość. Wprawdzie wtedy Polacy i Niemcy toczyli ze sobą krwawą wojnę, ale świat widział już znacznie bardziej egzotyczne zmiany sojuszy.

Nie ma jednak żadnych niepodważalnych dowodów, że marszałek Edward Śmigły-Rydz, przyjeżdżając do Warszawy po ucieczce z internowania (26 października 1941 r.), planował współpracę z Niemcami. Natomiast pewne się wydaje, że pojawiając się w stolicy, planował odbudowę Polskiej Organizacji Wojskowej na wzór tej sprzed ponad 20 lat. I zamierzał podporządkować jej polskie podziemie wraz ze Związkiem Walki Zbrojnej Grota-Roweckiego na czele.

Wkrótce po „Śmigłym” z Węgier do Warszawy przedarło się kilkudziesięciu oficerów wiernych byłemu Naczelnemu Wodzowi, nazywanych ironicznie „drugą kompanią kadrową”. Mieli stanowić dla „Śmigłego” oparcie w stolicy i wzmocnić jego pozycję. Marszałek nie zamierzał bowiem „odkupić swoich win” i walczyć jako prosty żołnierz konspiracji – jak głosi jedna z legend narodowych. „Śmigły” do żadnych win się nie poczuwał (całkiem zresztą słusznie), gdyż nie miał nic na sumieniu. Jako najwyższy stopniem polski oficer i doświadczony przywódca konspiracji zamierzał stanąć na czele masowej organizacji podziemnej. Taka była prawda, którą skrzętnie przez dziesiątki lat skrywano przed opinią publiczną. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



Olivier Bault

Francja wywróci unijny stolik?



Najważniejsze dla przyszłego kształtu Unii będą wybory francuskie. Jeśli prezydenturę zdobędzie Marine Le Pen, a następnie jej partia – samodzielnie lub z sojusznikami – uzyska większość w Zgromadzeniu Narodowym, to w Brukseli nastąpi prawdziwe trzęsienie ziemi

Rok 2027 będzie dla przyszłości Unii Europejskiej rokiem kluczowym: wybory odbędą się w trzech dużych krajach Wspólnoty – w Polsce, we Włoszech i we Francji, a w Hiszpanii obecny socjalistyczny premier zarządził przyspieszone wybory na 29 listopada tego roku. Jeśli po jesiennych wyborach parlamentarnych za rok Polską będzie rządzić koalicja PiS z Konfederacją, a być może i z Konfederacją Korony Polskiej, to będzie to najbardziej prawicowy i suwerennościowy rząd nad Wisłą od wejścia do Unii w 2004 r. We Włoszech sondaże dają duże szanse na dalsze rządy koalicji prawicy z centroprawicą pod wodzą Giorgii Meloni. Włoska premier nie weszła dotąd w otwartą konfrontację z Komisją Europejską, ale jej postawa może się zmienić, jeśli w boju o zatrzymanie nielegalnej imigracji i obronę suwerenności przed zapędami instytucji unijnych Włochy przestaną być osamotnione. W Hiszpanii ostatnie wybory regionalne oraz sondaże wskazują, że po listopadowych wyborach krajem może rządzić centroprawica wespół z wyraziście antyimigracyjnym, konserwatywnym i suwerennościowym Vox. Najważniejsze dla przyszłego kształtu Unii będą jednak wybory francuskie. Pierwsza tura jest zaplanowana na 18 kwietnia, a druga na 2 maja. Jeśli prezydenturę zdobędzie Marine Le Pen, a następnie jej partia – samodzielnie lub z sojusznikami – uzyska większość w Zgromadzeniu Narodowym (schemat, który bezpośrednio po wyborach prezydenckich w V Republice sprawdzał się dotąd zawsze), to w Brukseli nastąpi prawdziwe trzęsienie ziemi. Tamtejsze elity doskonale to wiedzą. Znakiem jest pośpiech przy przyjmowaniu kolejnych ram finansowych Unii na lata 2028–2034: eurokraci chcą zdążyć do grudnia. Niemiecki minister do spraw europejskich Gunther Krichbaum przyznał to otwarcie: negocjacje trzeba zamknąć przed końcem roku, „bo nie wiadomo, kto w 2027 r. stanie na czele Francji". Przewodniczący grupy Patriotów dla Europy z ramienia RN, Jordan Bardella, nazwał ten manewr „skandalem demokratycznym".

NIE TYLKO ZJEDNOCZENIE NARODOWE

Warto przy tym pamiętać, że postulat poskromienia zapędów Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości UE nie jest nad Sekwaną wyłączną domeną Zjednoczenia Narodowego (RN). Przed poprzednimi wyborami prezydenckimi mówili o tym wprost liderzy centroprawicowych Republikanów (LR). Michel Barnier, były główny negocjator Unii do spraw brexitu, przekonywał we wrześniu 2021 r., że Francja musi odzyskać „suwerenność prawną" i wprowadzić moratorium na imigrację, a w kwestiach migracyjnych – jak napisał – „nie podlegać już wyrokom TSUE ani ETPC". Valérie Pécresse, która została ostatecznie kandydatką LR w wyborach prezydenckich z 2022 r., proponowała „tarczę konstytucyjną" chroniącą „nadrzędne interesy Francji" przed prawem unijnym. Obecny przewodniczący LR, Bruno Retailleau, zgłosił w 2023 r. projekt zmiany konstytucji pozwalający „derogować prymat" prawa międzynarodowego i europejskiego, a jako obecny kandydat LR na prezydenta deklarował w lutym br.: „Chcę zmienić konstytucję, by oddać głos ludowi" i „przywrócić nadrzędność naszego prawa krajowego".

O tym, że idea gruntownej reformy Unii pada nad Sekwaną na podatny grunt, przekonałem się zresztą osobiście: w listopadzie ub.r. prezentowałem w Paryżu z ramienia Instytutu Ordo Iuris, wraz z przedstawicielem węgierskiego MCC, francuską wersję naszego wspólnego raportu pt. „Wielki Reset: przywracanie suwerenności państw członkowskich w Unii Europejskiej". Na spotkanie przybyło ponad 50 przedstawicieli francuskiej prawicy (od Republikanów po RN),

eprasa.pl 03a9f32532



Jordan Bardella i Marine Le Pen podczas wystąpienia w Hénin-Beaumont w północnej Francji, 13 września 2026 r.
FOT. SARAH MEYSSONNIER/REUTERS/FORUM

parlamentarzyści (choć w Zgromadzeniu Narodowym przedłużały się dokładnie w tym samym czasie dyskusje nad budżetem Francji), dziennikarze i analitycy, a dyskusje trwały długo po oficjalnym zakończeniu panelu.

NAJWIĘKSZA SZANSA W JEJ KARIERZE

To jednak Marine Le Pen ma dziś największe szanse w przyszłorocznych wyborach. Paryski sąd apelacyjny 7 lipca złagodził wyrok w sprawie asystentów europarlamentarnych tak, że kara bezwzględnej niewybieralności została uznana za odbytą – i jeszcze tego samego wieczoru Le Pen zadeklarowała start w wyborach. W uśrednionych wynikach sondaży prowadzi z wynikiem ok. 35 proc., o 18–19 punktów przed najgroźniejszymi rywalami – Jeanem-Lukiem Mélenchonem z radykalnej lewicy i centrystą Édouardem Philippe'em. Co ważniejsze, sondaże drugiej tury dają jej zwycięstwo w każdej konfiguracji: 67–69 proc. w starciu z Jean-Lukiem Mélenchonem z radykalnej lewicy, 57 proc. z kandydatem socjalistów Glucksmanem, 58 proc. z Retailleau, 55 proc. z Macronistą Gabrielem Attalem i tyle samo z drugim centrystą Philippe'em. Do prognoz na sześć miesięcy przed głosowaniem trzeba podchodzić ostrożnie – „szklany sufit" Le Pen wynosił dotąd nieznacznie ponad 40 proc. – ale politolog Arnaud Benedetti zwraca uwagę, że „front republikański", czyli francuskie wydanie tzw. kordonu sanitarnego, jest już w dużej mierze „zdemonetyzowany", argument o braku kompetencji się zużył się, a sądowa epopeja paradoksalnie wzmocniła kandydatkę. Do tego chaos i przemoc, w którym pogrąża się Francja w ostatnich tygodniach niewątpliwie działa na korzyść kandydatki Zjednoczenia Narodowego. W momencie gdy, jak coraz częściej zapowiadają sondaże, do drugiej tury może stanąć naprzeciwko niej kandydat Francji Niepokornej (LFI), czyli tej właśnie radykalnej lewicy, która surfując na fali niezadowolenia licealistów, studentów i innych grup społecznych, podsyca podpalaczy Francji, Marine Le Pen będzie mogła być pewna swojego zwycięstwa.

A w razie wygranej Le Pen rozwiąże Zgromadzenie Narodowe. Przy tym ordynacja większościowa w okręgach jednomandatowych, w dwóch turach, sprzyja dziś RN, który po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych może mieć wreszcie możliwość rządzenia – samodzielnie lub np. z prawym skrzydłem LR. Kandydatem Marine Le Pen na premiera jest jej numer dwa, a oficjalnie przewodniczący RN, Jordan Bardella. Dlatego właśnie warto uważnie czytać program RN i wypowiedzi obojga liderów. Robi to już zresztą polska prawica: po czerwcowej wizycie Bardelli w Warszawie nawet Jarosław Kaczyński wyraził nadzieję na jego zwycięstwo, mówiąc o „absolutnie fundamentalnych wspólnych punktach". To ogromna zmiana wobec ubiegłej dekady, gdy politycy PiS unikali spotkań z Frontem Narodowym Marine Le Pen, uważając tę partię za prorosyjską.

„ZMIENIĆ WSZYSTKO, NICZEGO NIE NISZCZĄC"

Całego programu na 2027 r. jeszcze nie ma – pozostają części programu dotyczące naprawy finansów państwa i obniżek podatków, które zostały ogłoszone w październiku, program prezydencki Marine Le Pen z 2022 r., programy na wybory europejskie i przyspieszone parlamentarne z 2024 r. oraz wypowiedzi liderów. W sprawie NATO tandem mówi dwoma głosami. Le Pen, pytana we wrześniu ub.r. na antenie LCI, czy Francja powinna tak jak za czasów prezydentury gen. de Gaulle'a wyjść ze zintegrowanego dowództwa, do którego Francja wróciła w 2009 r., odpowiedziała krótko: „Tak […]. Bo tracimy w nim naszą suwerenność". Jak de Gaulle, można przecież pozostać sojusznikiem Amerykanów i prowadzić z nimi wspólne operacje. Bardella dodaje jednak zastrzeżenie: „Nie chcemy wychodzić z tego dowództwa dopóty, dopóki u bram Europy trwa wojna", bo „nie przerysowuje się mapy traktatów w czasie wojny". Obydwoje potwierdzają za to zobowiązania sojusznicze z art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

Wobec Unii obowiązuje formuła, którą Bardella wyłożył w czerwcu w głośnym wywiadzie dla Politico: „Nie chcemy wychodzić z Unii Europejskiej. Chcemy zmienić wszystko, niczego nie niszcząc" – bo UE w obecnej formie jest „całkowicie przestarzała". W praktyce oznacza to przebudowę obecnej Unii w „sojusz europejskich narodów": Komisja Europejska zredukowana do roli zwykłego sekretariatu Rady, inicjatywa ustawodawcza zwrócona państwom, jednomyślność rozszerzona na politykę handlową. Na zapędy TSUE odpowiedzią ma być referendum w sprawie wpisania do konstytucji „prawa cudzoziemców" i prymatu ustawy zasadniczej nad – jak mówi Le Pen – „normami i sądami europejskimi", które „uniemożliwiają poszanowanie woli ludu w dziedzinie imigracji". Złożony przez Le Pen w 2024 r. projekt konstytucyjny idzie zresztą dalej: zmienia art. 55 konstytucji tak, by o pierwszeństwie traktatów przed zwykłymi ustawami decydowała ustawa organiczna. RN zapowiada też wprost, że rząd Bardelli nie będzie stosował unijnego paktu migracyjnego oraz zreformuje Schengen według koncepcji „podwójnej granicy": swoboda przepływu ma być dostępna tylko dla obywateli państw członkowskich, co zakłada kontrole na granicach wewnętrznych, przy wzmocnionym Frontexie, który – jak mówił Bardella przy zaporze na polsko-białoruskiej granicy – „musi stać u boku Polski, by chronić nasz kontynent".

W politykach sektorowych lista jest długa. Zielony Ład: Bardella żąda jego

eprasa.pl 03a9f32532

natychmiastowego zawieszenia jako „jednego z największych planów antywzrostowych, jakie znał nasz kontynent od 50 lat". Zakaz sprzedaży nowych aut spalinowych od 2035 r. jest też ostro krytykowany przez RN i jego liderów. Wspólny rynek energii: Francja w nim zostanie, ale wprowadzi „francuską cenę prądu" ok. 50 euro za megawatogodzinę, skoro – argumentuje Bardella – Niemcy zapewniają taką swojemu przemysłowi. Wspólne zadłużenie: RN odrzuca nowe emisje, choć wymownie milczy o podpisanej w czerwcu przez rząd Lecornu pożyczce 15,1 mld euro z programu zbrojeniowego SAFE, którą odziedziczy przyszły rząd. „Europa obrony" (unia obronna) to dla Bardelli „chimera" i „grabież" środków Francji przez Komisję, która „nigdy nie może mieć władzy wysyłania francuskich żołnierzy na śmierć". Pogrzebany w czerwcu francusko-niemiecki projekt budowy myśliwca SCAF to wedle niego „osobista porażka" Macrona; przyszłość widzi w „polityce najlepszego atlety" – czołgi pod przewodnictwem Niemiec, samolot bojowy pod wodzą Dassault i w haśle: „Kupujcie Rafale zamiast F-35". Chce podtrzymać tandem francusko-niemiecki, choć bywał często krytykowany przez samą Le Pen, która widzi w nim politykę podporządkowania się Francji interesom Niemiec: w wywiadzie dla „FAZ" Bardella uspokajał jednak Berlin i przy okazji wyraźnie dystansował się od AfD. Francuski parasol atomowy pozostanie natomiast ściśle narodowy. „Dzielić się nim to go unicestwić" – mówi Le Pen. Wejście Ukrainy do UE i NATO to dla RN czerwona linia, podobnie jak każde rozszerzenie Unii. Umowę z Mercosurem, przyjętą w styczniu większością kwalifikowaną mimo sprzeciwu Paryża, Le Pen uważa za „nadużycie władzy" ze strony Komisji Europejskiej i grozi „kompromisem luksemburskim". Chodzi o gaullistowski precedens z 1966 r., gdy po półrocznym bojkocie posiedzeń Rady przez Francję – słynnym kryzysie „pustego krzesła" – uzgodniono, że tam, gdzie w grę wchodzą „bardzo ważne interesy" któregoś z państw, Rada będzie szukać jednomyślności, zamiast przegłosowywać oporne państwo. To dżentelmeńska umowa polityczna, nigdy niewpisana do traktatów – Francja powołała się na nią ostatnio w 1992 r. – więc zapowiedź Le Pen oznacza w istocie powrót do metody de Gaulle'a: wymuszanie prawa weta siłą faktów dokonanych.

Do tego wszystkiego dochodzi obietnica, która w Brukseli budzi największą trwogę: cięcie składki netto Francji do budżetu UE o połowę. Francja jest drugim płatnikiem brutto (22–26 mld euro rocznie) i drugim płatnikiem netto Unii, nie ma przy tym rabatu i współfinansuje rabaty Niemiec czy Holandii. Bardella zapowiada, że parlament francuski po prostu uchwali niższą wpłatę, a rabat będzie negocjowany a posteriori – prawnicy ostrzegają, że jednostronna obniżka to złamanie traktatów.

W 2027 r. rozstrzygnie się, czy Unia będzie związkiem suwerennych narodów czy scentralizowanym superpaństwem

Wreszcie ingerencje ideologiczne: gdy Parlament Europejski poparł inicjatywę „My Voice, My Choice", wzywającą Komisję do finansowania turystyki aborcyjnej w całej UE, eurodeputowani RN głosowali przeciw lub – jak sam Bardella – wstrzymali się od głosu, przypominając, że zdrowie to kompetencja państw, choć w kraju Le Pen poparła wpisanie aborcji do francuskiej konstytucji i zarówno ona, jak i Bardella naciskali na swoich deputowanych do Zgromadzenia Narodowego, aby zagłosowali za zmianą. Jednak ich stanowisko jest w tej materii spójne: nie Bruksela ma o tym decydować, ponieważ kwestia regulacji aborcji nie leży w kompetencjach unijnych. Podobnie w przeszłości eurodeputowani tej partii głosowali przeciw rezolucjom Parlamentu Europejskiego potępiającym Polskę w kwestiach światopoglądowych.

Pozostaje jeszcze kwestia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka: RN oficjalnie nie postuluje wyjścia z Konwencji – receptą ma być „tarcza konstytucyjna", choć w 2020 r. Le Pen chciała „wyjść z niektórych artykułów" EKPC, co prawnie jest niewykonalne. Pytanie, co zrobią, jeśli tarcza nie wystarczy, pozostaje otwarte. Dalej idzie Éric Zemmour, lider małej prawicowej partii Rekonkwista, żądający pełnego wypowiedzenia Konwencji. Presja na trybunał w Strasburgu narasta zresztą w całej Europie: rewizji jego orzecznictwa migracyjnego zażądało już dziewięć rządów, z Giorgią Meloni i socjaldemokratką, premier Danii Mette Frederiksen na czele – Francji Macrona wśród sygnatariuszy dokumentu zabrakło.

CENZURA ZAMIAST SZANTAŻU

Przy tak wysokiej stawce jednego możemy być pewni: Bruksela nie będzie stała bezczynnie. Szantaż finansowy, przetestowany na Polsce i Węgrzech, tym razem nie zadziała – trudno zakręcić kurek z pieniędzmi płatnikowi netto, który do unijnej kasy więcej wpłaca, niż z niej dostaje. Zostaje sfera informacji. Akt o usługach cyfrowych (DSA) i cała tzw. Tarcza Demokracji – przestrzegał przed nimi m.in. Instytut Ordo Iuris w analizie zagrożeń systemowych – budują wielowarstwowy system moderacji, w którym platformy internetowe pod groźbą kar (do 6 proc. światowych obrotów) usuwają treści wskazane przez „zaufane podmioty sygnalizujące" i zarządzają niezdefiniowanym „ryzykiem systemowym" dla „dyskursu obywatelskiego". To nie teoria. Podczas kwietniowych wyborów na Węgrzech Komisja Europejska po raz pierwszy uruchomiła „system szybkiego reagowania" DSA: 44 fact-checkerów flagowało treści, wpisy obozu rządzącego tłumiono, a posty zwycięskiej opozycji zyskiwały niewyjaśnione algorytmiczne wzmocnienie na Facebooku – głównym źródle informacji dwóch trzecich Węgrów. Taka ingerencja mogła sprawić, że obecny premier cieszy się większością konstytucyjną, a nie zwykłą. We Francji media społecznościowe są głównym źródłem informacji dla mniejszości – ok. 19 proc. wyborców, bo telewizja wciąż króluje – ale w drugiej turze z udziałem kandydata centrum lub centroprawicy taka ingerencja mogłaby przeważyć szalę na niekorzyść Le Pen.

W 2027 r. rozstrzygnie się, czy Unia będzie w przyszłości luźnym związkiem demokratycznych, suwerennych narodów czy scentralizowanym, coraz mniej demokratycznym superpaństwem. Eurokraci nie zawahają się przed niczym, mają przecież zbyt wiele do stracenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pracuje w Instytucie Ordo Iuris.

eprasa.pl 03a9f32532



FOT. ADOBE STOCK

LIST Z ZAŚWIATÓW

Jakież było zdumienie Tracy Seles, emerytowanej mieszkanki Nowego Orleanu, kiedy ze swojej skrzynki pocztowej wyjęła kopertę, której nadawczynią była jej koleżanka szkolna – tyle że od sześciu lat nieżyjąca. Pocztowcy amerykańscy nie zdołali jeszcze ustalić, jak to się stało, że list wysłany z Bostonu 11 października 2015 r. – co dokumentuje pieczątka stemplowa – dotarł do adresatki z tak gigantycznym opóźnieniem. Wciąż trwa próba rozszyfrowania tej zagadki.

DWIE WALIZKI

O tym, że roztargnienie bywa przyczyną kłopotów, przekonały się dwie bliskie przyjaciółki podróżujące po Stanach Zjednoczonych. Miały wyruszyć z lotniska w Chicago tego samego dnia, różnica w startach ich samolotów wynosiła jedynie kwadrans. Beate Sambor leciała do San Francisco, a Yolanda Bochner do Waszyngtonu. Nie wiadomo, co sprawiło, że podczas pogaduszek w hali odpraw pasażerów nieopatrznie zamieniły się walizkami. Wyszło to na jaw dopiero, gdy druga z pasażerek odbierała bagaż na lotnisku w stolicy USA. Co ciekawe, walizki były nie tylko identyczne, lecz także zawierały bardzo podobne ubrania i kosmetyki.

NOCNE AKORDY

Że muzyka nie zawsze łagodzi obyczaje, dowodzi przykład z Bukaresztu. Lokatorzy tamtejszego apartamentowca złożyli protest przeciwko poczynaniom swojego sąsiada, młodocianego pianisty, kompozytora i nauczyciela Erica Olcanu. Otóż upodobał on sobie grać na fortepianie – we własnym lokum, rzecz jasna – jedynie po północy. Wprawdzie ma bardzo szeroki repertuar i nie fałszuje, lecz dźwięki instrumentu systematycznie utrudniają sen pozostałym mieszkańcom budynku. Jego zarządcy monitują w tej sprawie impresaria i jednocześnie partnerkę muzyka – mówiąc nawiasem, starszą od niego o ponad trzy dekady – ale chwilowo bez powodzenia.

LEŚNA NIESPODZIANKA

Ondrej Kovarzik, 36-letni Słowak z Popradu, wybrał się na grzybobranie w pobliskim lesie. Stosunkowo szybko udało mu się wypełnić koszyk okazałymi rydzami, borowikami oraz kaniami. Gdy już powracał z wyprawy, usłyszał dochodzącą z głębi kniei słyszaną przez niego wielokrotnie melodyjkę. Rozchyliwszy gałęzie, odnalazł leżący na mchu telefon swojej siostry. Kilka godzin wcześniej zgubiła go – również podczas zbierania grzybów – i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Była niezmiernie zaskoczona, kiedy brat zawiadomił ją o nieoczekiwanym znalezisku. ©℗

(TO-RT)



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Winni straconego czasu

Wiele spraw pokazuje, że nasi urzędnicy i politycy nie są orłami intelektu i tytanami pracy. Jedna jest jednak szczególnie uciążliwa: to kwestia zmiany czasu.

W ostatni weekend znów musieliśmy przesunąć wskazówki zegarków. Zrobiliśmy to, choć od dawna zmiana czasu generuje głównie koszty i straty: problemy w logistyce, przestoje w transporcie, wyłączenia serwisowe w bankach, dłuższe godziny pracy dyżurujących w nocy z soboty na niedzielę (za co zapłacić muszą pracodawcy), to tylko kilka przykładów.

Wszyscy cierpimy też z powodu zaburzenia rytmu dobowego. Adaptacja organizmu do kompletnie bezsensownej zmiany czasu zajmuje do dwóch tygodni. Lekarze i naukowcy ostrzegają zaś, że zmiana czasu powoduje wiele mniej lub bardziej groźnych dolegliwości dla zdrowia (w tym wzrost ryzyka zawałów serca, udarów mózgu oraz wypadków samochodowych).

Co gorsza, o tym wszystkim Europejczycy wiedzą od dawna. W konsultacjach przeprowadzonych w tej sprawie w 2018 r. przez Komisję Europejską oddano 4,6 mln głosów, a aż 84 proc. respondentów opowiedziało się za rezygnacją ze zmiany czasu. W 2019 r. projekt likwidacji tej uciążliwej praktyki poparł Parlament Europejski.

Siedem lat później opłacani z naszych podatków urzędnicy nadal nie wywiązali się ze swojego zadania. Komisja Europejska opublikowała już oficjalny harmonogram techniczny zmian czasu na lata 2027–2031 (nadal będą dwa razy w roku). W Brukseli wciąż analizują... możliwe scenariusze. Może więc warto wyrzucić nieudolnych polityków lub chociaż zawiesić wypłaty ich pensji, aż wezmą się do pracy? ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



Maciej Pieczyński

Kult UPA już dawno rozlał się na całą Ukrainę. Jego stolicą pozostaje wciąż Lwów – miasto Bandery i Szuchewycza. Skandaliczna inicjatywa tamtejszych radnych obwodowych to kropla w czerwono-czarnym morzu



Pomnik Stepana Bandery jest miejscem cyklicznych zgromadzeń o charakterze nacjonalistycznym. Na zdjęciu: tłumy pod pomnikiem z czerwono-czarnymi flagami (barwami UPA) w 117. rocznicę urodzin Bandery, Lwów, 1 stycznia 2026 r.

FOT. MYKOLA TYS/GLOBAL IMAGES UKRAINE /GETTY IMAGES

Piemont

Banderyzm od dłuższego czasu jest nieodłącznym elementem polityki historycznej Kijowa. Inwazja rosyjska nie tylko tego faktu nie zmieniła, lecz także doprowadziła do radykalizacji nastrojów nacjonalistycznych nad Dnieprem. Wołodymyr Zełenski, który sięgał po władzę, obiecując porozumienie z Moskwą, gładko wszedł w czerwono-czarne buty, przejmując retorykę swojego poprzednika Petra Poroszenki. Kult OUN i UPA rozlał się na cały kraj – również na wschód i południe. Jego Piemontem wciąż jednak pozostają Lwów i obwód lwowski. Można zaryzykować stwierdzenie, że pod względem ideologicznym to właśnie tam bije banderowskie serce Ukrainy, a nie w Kijowie.

ROK KULTU UPA

20 października, podczas nadzwyczajnego posiedzenia, Obwodowa Rada Lwowska postanowiła ogłosić rok 2027 Rokiem Romana Szuchewycza, Ukraińskiej Powstańczej Armii oraz Ołeha Olżycza. Dowódcy UPA, odpowiedzialnego za ludobójstwo Polaków na Wołyniu i w Galicji, przedstawiać czytelnikowi nie trzeba. Ołeh Olżycz był natomiast poetą, archeologiem oraz działaczem OUN (M), czyli frakcji Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów Andrija Melnyka, konkurencyjnej wobec frakcji OUN ze Stepanem Banderą na czele. Rada podjęła trzy osobne uchwały. Za upamiętnieniem UPA i jej dowódcy oddano po 52 głosy. Nikt nie był przeciw, nikt się nie wstrzymał. Trzy osoby nie wzięły udziału w głosowaniu. Czterdziestu dziewięciu radnych zgodziło się na uczczenie pamięci Olżycza. Dlaczego akurat przyszły rok? 30 czerwca przypada 120. rocznica urodzin Szuchewycza. 14 października – 85. rocznica powstania UPA. 8 lipca z kolei minie 120 lat od urodzin Olżycza.

Warto zaznaczyć, że uchwały zostały podjęte przez obwodowy samorząd terytorialny, odpowiednik polskiego sejmiku wojewódzkiego. Za decyzję nie odpowiadają więc ani mer samego miasta Andrij Sadowy, ani władze państwowe. Co więcej, rada obwodowa zdominowana jest przez polityków Solidarności Europejskiej. Czyli opozycyjnej partii, na której czele stoi jeden z największych wrogów politycznych Zełenskiego – Petro Poroszenko. Jednak akurat w sferze polityki historycznej nie ma między nimi większego sporu. Kult OUN i UPA łączy ukraińskie elity i opinię publiczną ponad partyjnymi podziałami. Inicjatorem uchwał był radny Solidarności Europejskiej Światosław Szeremeta – przewodniczący komisji kultury, polityki informacyjnej i promocji. Podczas posiedzenia zaznaczył, że ta symboliczna decyzja umożliwi organizację wielu uroczystości poświęconych upamiętnieniu „bohaterów". Przypomniał, że już 2022 r. został ogłoszony Rokiem UPA w obwodzie lwowskim, ale inwazja Rosji sprawiła, że zaplanowane przedsięwzięcia nie mogły się odbyć. Oczywiście uzasadniając swoją inicjatywę, Szeremeta słowem nie wspomniał ani o zbrodniach UPA, ani o tym, że upamiętnienie tej organizacji stanie się powodem kolejnego kryzysu w relacjach z Polską. W 2022 r. uroczystości ku czci banderowców nie doszły do skutku nie dlatego, że lwowski samorząd obwodowy chciał w ten sposób uczynić gest pod adresem przyjaciół zza zachodniej granicy, tylko dlatego, że w warunkach wojny byłyby trudne do przeprowadzenia. Szeremeta zaprezentował uchwały jako inicjatywę patriotyczną i rocznicową. Co więcej, osadził ją w kontekście aktualnej sytuacji: „To niezwykle ważne dla zachowania i odbudowy ukraińskiej pamięci narodowej, ponieważ dzisiejsi bohaterowie, którzy bronią Ukrainy przed moskiewskim najazdem, zawsze brali przykład z żołnierzy UPA" – mówił.

ANTYROSYJSKIE OSTRZE KULTU

Niestety, Szeremeta nie jest w tej opinii odosobniony. Inwazja Rosji na Ukrainę nie zrodziła bohaterów na tyle godnych

eprasa.pl 03a9f32532



banderyzmu

szacunku, aby w narodowym panteonie przyćmili Banderę i Szuchewycza. Co gorsza, wielu żołnierzy walczących na froncie wyraźnie wzoruje się na zbrodniarzach spod znaku OUN i UPA. Innymi słowy, dla bohaterów obecnej wojny prawdziwymi bohaterami są mordercy Polaków, odpowiedzialni za ludobójstwo wołyńskie. Rzecz jasna, nie dosłownie. Formalnie Kijów gloryfikuje banderowców za walkę z Sowietami. Stąd tak wielkie zapotrzebowanie na kult upowców podczas obecnego konfliktu – łatwo jest krzewić patriotyzm, prezentując współczesne zmagania jako kontynuację dawnych walk z tym samym wrogiem.

Antyrosyjskie ostrze kultu banderowców nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Po pierwsze, strona polska tak często mówi o Wołyniu, że chyba już nie ma na Ukrainie osoby, która by nie wiedziała, jakie są nasze oczekiwania. Po drugie, mając tych oczekiwań pełną świadomość, Ukraińcy – czy to na poziomie centralnym, czy to na poziomie regionalnym bądź lokalnym – reagują na nie alergicznie, broniąc swoich skompromitowanych bohaterów jak niepodległości. A tych, którzy protestują przeciwko gloryfikacji ludobójców, zapisują do „orkiestry Putina". Szef Biura Prezydenta, Kyryło Budanow, komentując awanturę orderową, kpiąco dawał do zrozumienia, że skoro Ukraina nie boi się Rosji, to tym bardziej nie przestraszy się Polski.

Awangardę armii ukraińskiej stanowią nacjonaliści, wywodzący się z ruchu azowskiego, a założyciel tego ruchu, jeden z najważniejszych i najbardziej zasłużonych dowódców nad Dnieprem, gen. Andrij Biłecki, ma wyraźne ambicje polityczne i swój żelazny elektorat. Ukraiński Instytut Pamięci Narodowej zainicjował akcję pod hasłem „Neskoreni", czyli „Niezłomni". W jej ramach żołnierze walczący z Rosją wspominają swoich przodków z UPA. W ten sposób państwo nie tylko legitymizuje czy wzmacnia, lecz także uświęca kult banderowców – uświęca krwią, przelewaną w obecnej wojnie.

POMNIK SZUCHEWYCZA

Wreszcie, wracając do samego Lwowa, to właśnie bohaterowie wojenni pochodzący z tego miasta zainicjowali budowę Pomnika Szuchewycza. Głównym inicjatorem był weteran konfliktu na Donbasie, a w czasie obecnej wojny żołnierz 80. Samodzielnej Brygady Desantowo-Szturmowej Anton Petriwski. W październiku 2024 r. triumfalnie poinformował, że władze miasta (tym razem miasta, nie obwodu) zgodziły się na upamiętnienie dowódcy UPA. Minęły dwa lata i monument wciąż nie powstał. Magistrat zapowiadał opracowanie szczegółów projektu, lecz nie przedstawił publicznie harmonogramu prac. Na pytania dziennikarzy o przyczyny opóźnienia nie odpowiedział. Pomnik Szuchewycza, którego budowy w centrum Lwowa domagali się ukraińscy żołnierze i weterani, do dziś nie powstał, choć jeszcze w październiku 2024 r. inicjatywę poparła miejska grupa robocza do spraw upamiętnień. Nie byłby to jednak pierwszy monument poświęcony dowódcy UPA we Lwowie. Jego pomnik znajduje się już na Biłohorszczy, w pobliżu domu, w którym Szuchewycz zginął w 1950 r., podczas operacji sowieckich służb bezpieczeństwa. W budynku tym od 2001 r. działało muzeum poświęcone dowódcy UPA, zniszczone 1 stycznia 2024 r., podczas rosyjskiego ataku dronowego. Władze Lwowa na czele z merem Andrijem Sadowym prowadzą obecnie jego odbudowę, finansowaną w znacznej mierze przez prywatnych sponsorów. Przedsięwzięcie obejmuje nie tylko odtworzenie historycznego budynku, lecz także rozbudowę przestrzeni muzealnej i zagospodarowanie otoczenia. Ponowne otwarcie zaplanowano na marzec 2027 r., a więc na rok, który lwowscy radni postanowili poświęcić pamięci Szuchewycza.

Co istotne, skandaliczna decyzja radnych nie jest żadnym precedensem. Już w latach 2007 i 2017 obwód lwowski ogłaszał Rok Szuchewycza. W 2019 r. postanowiono uczcić Banderę, a w 2022 r. – UPA. Podobne inicjatywy podejmowano także w innych regionach zachodniej Ukrainy. Co więcej, w grudniu ubiegłego roku Rada Najwyższa Ukrainy uwzględniła 120. rocznicę urodzin Szuchewycza w ogólnopaństwowym kalendarzu obchodów na rok 2027. Innymi słowy, lwowscy radni nie wymyślili niczego, co wykraczałoby

eprasa.pl 03a9f32532

poza obowiązujący na Ukrainie kanon polityki historycznej.

REAKCJA POLSKI

Tym razem jednak reakcja Warszawy była dość ostra. Donald Tusk nazwał decyzję niemądrą, szkodliwą dla Ukrainy i stanowiącą przykład „samobójczej taktyki". Zwrócił uwagę, że podobne działania utrudniają starania o przyjęcie Ukrainy do Unii Europejskiej. Władysław Kosiniak-Kamysz wezwał Kijów do odcięcia się od uchwał. Najdalej poszedł Radosław Sikorski, który wystąpił o objęcie Szeremety zakazem wjazdu do Polski. Ostatecznie inicjatorowi uchwał zabroniono wjazdu do całej strefy Schengen na pięć lat. To zresztą nie pierwszy taki przypadek w jego karierze. W 2017 r. Szeremeta, jako jeden z uczestników konfliktu o ekshumacje i ukraińskie upamiętnienia, również otrzymał zakaz przekraczania polskiej granicy. Co ciekawe, jest dyrektorem centrum memorialno-poszukiwawczego „Dola", które uczestniczy w polsko-ukraińskiej współpracy ekshumacyjnej. Co więcej, Szeremeta zasugerował, że polskie sankcje mogą negatywnie odbić się na pracach poszukiwawczych i ekshumacyjnych. Stwierdził, że Warszawa swoją decyzją „utrudnia ukraińsko-polskie kontakty w dziedzinie upamiętnień". Warto przypomnieć, że kierowana przez niego „Dola" uczestniczyła m.in. w poszukiwaniach polskich ofiar ukraińskich nacjonalistów w Ugłach na Wołyniu. Szeremeta posunął się nawet do sugestii, że polska reakcja może mieć związek z niedawnym odkryciem przez jego zespół szczątków ukraińskich cywilów w Laskowie na Lubelszczyźnie. „Tak właśnie polska strona reaguje na prawdę" – przekonywał, nie przedstawiając żadnych dowodów na poparcie swojego oskarżenia.

PRAGMATYZM WŁADZ UKRAIŃSKICH

Po polskim proteście od uchwał zdystansował się ukraiński MSZ. Resort nazwał decyzje lwowskich samorządowców „kontrproduktywnymi", przypominając, że zostały podjęte bez konsultacji z władzami centralnymi. Jednak ani Andrij Sybiha, ani jakikolwiek inny przedstawiciel czy to ukraińskiej dyplomacji, czy to generalnie władz w Kijowie nie zakwestionował zasadności kultu UPA. Krytyka miała charakter pragmatyczny. Chodzi jedynie o to, że podobnego rodzaju inicjatywy szkodzą stosunkom z Polską. To typowa ukraińska reakcja na kryzys we wzajemnych relacjach. Niemal za każdym razem, gdy Zełenski wchodził w jakiś kolejny konflikt z władzami w Warszawie, dostawało mu się od opozycji nie za meritum sporu, tylko za to, że na tym sporze Ukraina może stracić. Meritum pozostaje niezmiennie: Ukraińcy wyznają wciąż te same dogmaty polityki historycznej. Po pierwsze, że nikt nie może im dyktować, kogo mają czcić. Po drugie, że Wołyń to zbrodnia, w której sprawcami byli zarówno Ukraińcy, jak i Polacy. Po trzecie, że krytyka UPA równa się popieraniu agresji Rosji na Ukrainę.

Władze w Kijowie wezwały też Warszawę do powstrzymania się od gwałtownych kroków. Jeszcze dobitniej wypowiedziała się Iryna Wereszczuk, zastępczyni szefa Biura Prezydenta. Przypomniała lwowskim radnym, że Ukraina jest uzależniona od polskiej pomocy wojskowej, gospodarczej i logistycznej, niezależnie od tego, czy się to Ukraińcom podoba. „Nie możemy nie liczyć się z Polakami. Szczególnie podczas wojny" – przekonywała. Spotkała się za te słowa z falą krytyki ze strony swoich hurrapatriotycznie nastawionych rodaków. A przecież jej wypowiedź ani na jotę nie wychodzi poza paradygmat „nie kłóćmy się z Polakami nie dlatego, że mają rację, ale dlatego, że nam się to nie opłaca".

Nie wszyscy jednak podzielają ten pragmatyzm. Były szef ukraińskiego IPN, a obecnie deputowany Solidarności Europejskiej Wołodymyr Wiatrowycz, uznał, że uchwały w żaden sposób nie dotyczą stosunków z Polską. Przypomniał wcześniejsze upamiętnienia Szuchewycza, po czym stwierdził, że „przyczyna skandalu jest jedna – chęć polskich polityków, by ograć się przy temacie, który zaczął przygasać". Inaczej rzecz ujmując, problemem nie jest dla niego gloryfikacja organizacji odpowiedzialnej za ludobójstwo Polaków, tylko reakcja polskich polityków, którym przypisuje cyniczne motywacje.

Jeszcze bardziej znamienna jest wypowiedź Ołeksandra Hanuszczyna, byłego przewodniczącego Lwowskiej Rady Obwodowej. W rozmowie z gazetą „Wysokyj Zamok" zauważył, że projekty uchwał zostały zarejestrowane już 3 lipca. Przez ponad trzy miesiące nikt nie zgłaszał zastrzeżeń. Hanuszczyn przypomniał również niedawny konflikt orderowy z Polską, podczas którego Sybiha i inni ukraińscy dyplomaci demonstracyjnie zwracali polskie odznaczenia. Zarzucił zatem Kijowowi niekonsekwencję. Zapytał przy tym retorycznie, czy Ukraińcy mają teraz posypać głowy popiołem, przyznać, że niesłusznie upamiętniali Banderę i Szuchewycza, i zakwestionować dotychczasową politykę historyczną. Wytknął zarazem Irynie Wereszczuk, że sama, będąc merem Rawy Ruskiej, uczestniczyła w obchodach ku czci UPA.

LWÓW NIE PRZEPRASZA

Z reakcji ukraińskich mediów również trudno wywnioskować, że nastąpiło jakiekolwiek przewartościowanie stosunku do banderowskiej przeszłości. „Europejska Prawda", powołując się na anonimowe źródło rządowe, poinformowała nawet, że wskutek działań lwowskich radnych Polska wstrzymała przekazanie dużego pakietu pomocy wojskowej. Polskie MON stanowczo temu zaprzeczyło. Charakterystyczne jest jednak to, że autorzy publikacji skoncentrowali się na potencjalnych stratach politycznych i militarnych, a nie na historycznej wymowie skandalicznych uchwał.

Polski wiceminister spraw zagranicznych Marcin Bosacki poinformował natomiast, że współpracownicy Zełenskiego zapewnili Warszawę, iż decyzja lwowskich radnych nie wejdzie w życie. Sam komunikat o uchwałach zniknął też na pewien czas z oficjalnej strony rady. Nie zmienia to faktu, że lwowscy samorządowcy przyjęli je niemal jednogłośnie, a ich inicjator nie zamierza przepraszać. Bo przecież „każdy ma prawo czcić swoich bohaterów".

Niezależnie od dalszych losów uchwał, trudno dostrzec w całej awanturze zapowiedź zasadniczego zwrotu w ukraińskiej polityce historycznej. Kijów próbuje ograniczyć straty dyplomatyczne, podczas gdy lwowscy politycy bronią prawa do gloryfikowania UPA. Nawet gdyby pod naciskiem Warszawy wycofali się z kontrowersyjnej inicjatywy, nie oznaczałoby to przecież zakwestionowania samego kultu. Tym bardziej że w tej kwestii Lwów nie jest wyjątkiem, lecz najbardziej wyrazistym symbolem zjawiska obejmującego całą Ukrainę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

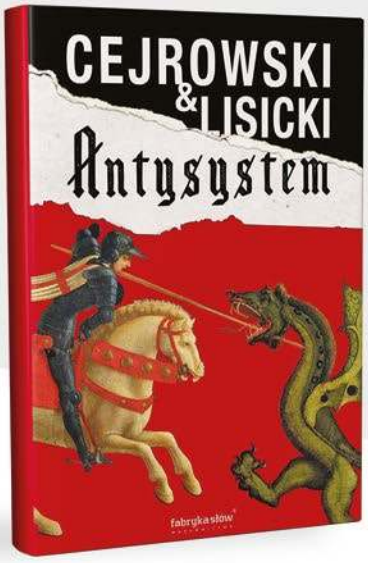
eprasa.pl 03a9f32532

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 03a9f32532



Jan Fiedorczuk



FOT. ADOBE STOCK

Dzień, w którym polubimy Rosję?

Europejskie gospodarki szukają kontaktu z rosyjskimi rynkami, a zachodni politycy coraz częściej mówią o konieczności dialogu z Kremlem. Widać już wyraźnie, że próba skancelowania Moskwy spełzła na niczym. Powinniśmy pytać polskich rządzących, co zrobią, gdy nasi zachodni sojusznicy i partnerzy zdecydują ponad naszymi głowami o normalizacji stosunków z Rosją

Jeżeli porównamy sobie wskaźniki handlowe dotyczące relacji UE–Rosja przed wojną oraz te z 2026 r., to można odnieść wrażenie, że Moskwa niemal przestała się liczyć w europejskich rachubach. W 2021 r. eksport do Rosji opiewał na ok. 90 mld euro, w 2025 – 30 mld. Import w 2021 r. sięgał 160 mld euro, a w minionym roku – 28 mld. Do tego sankcje, do tego kolejne transze pomocy Ukrainie, do tego krytyka Władimira Putina itd. To wszystko prawda, jednak nie jest to pełen obraz sytuacji.

ROSJA JAKO BIAŁA PLAMA

W dłuższej perspektywie próba zrobienia z Rosji wielkiej białej plamy na mapie europejskiej polityki jest skazana na porażkę. Nie udało się to Napoleonowi, nie było to możliwe w trakcie zimnej wojny. Rosja jest na tyle istotnym graczem w geopolitycznej układance, że nie można po prostu udawać, iż nie istnieje. Nie będą tego robić żadne liczące się podmioty na arenie międzynarodowej. Sam potencjał gospodarczy i polityczny Rosji sprawia, że konieczne jest branie jej pod uwagę. Szczególnie gdy wojna na Ukrainie wreszcie się zakończy. A przecież każda wojna kiedyś się kończy.

Niedawne porozumienie Stanów Zjednoczonych z Rosją w sprawie dostaw ponad 4,8 mln ton oleju napędowego wywołało spore poruszenie wśród komentatorów politycznych. Padały tradycyjne zarzuty dotyczące zdradzonych wartości, prorosyjskości etc. Mało kto dopuszcza jednak do siebie myśl, że nie każdy zachodni polityk traktuje Putina jako zło metafizyczne. Nawet ci, którzy dzisiaj ślą pomoc Ukrainie, jednocześnie utrzymują kontakty z Kremlem.

Warto dlatego zapytać, jaki jest docelowy postulat polskiej dyplomacji w wojnie rosyjsko-ukraińskiej oraz jaki plan ma nasz rząd na scenariusz, w którym Zachód zacznie normalizować relacje z Rosją. Bo znaki, że do takiej normalizacji w końcu dojdzie, pojawiają się od dawna.

WSPÓŁPRACA MIMO WOJNY

Zanim przejdziemy do przykładów dokumentujących zacieśnianie się relacji gospodarczych z Rosją, przyjrzyjmy się samym sankcjom. UE zdecydowała, że konieczne jest uniezależnienie się od rosyjskich surowców, w związku z czym przyjęto przepisy o stopniowym wygaszaniu importu rosyjskiego gazu rurociągowego i skroplonego (LNG). Samą próbę uniezależnienia się od Rosji można oczywiście oceniać pozytywnie, jednak zwróćmy uwagę, że pełny zakaz ma wejść 1 stycznia 2027 r. O ile efekt finalny może oznaczać faktyczne odcięcie się od rosyjskiego LNG, o tyle w perspektywie krótkoterminowej poskutkował... boomem na rosyjski surowiec. Europejskie kraje rzuciły się i zaczęły kupować na zapas surowiec, zanim wejdzie unijny zakaz. W pierwszych miesiącach 2026 r. europejskie kraje zakupiły większe ilości LNG z syberyjskiego projektu Jamał niż kiedykolwiek wcześniej, wykupując niemal całą jego produkcję. Pieniądze z tego biznesu pójdą na maszynę wojenną Władimira Putina.

Tak, za kilka miesięcy ten proceder zostanie ukrócony, ale nie chodzi tu o sam LNG, tylko o pokazanie pewnego naturalnego odruchu w zachodnich przedsiębiorcach i politykach. Wojna wojną, ale biznes się kręci. W Internecie swego czasu dość popularny był mem, który prezentował mapę świata z podpisem: „Cały świat zerwał relacje z Rosją", a pod spodem na czerwono podkreślony widniał „cały świat", czyli kraje Europy i USA,

eprasa.pl 03a9f32532

podczas gdy na zielono pokolorowano wszelkie pozostałe państwa utrzymujące kontakty z Moskwą. Dobrą egzemplifikacją tego zdjęcia są ostatnie dane dotyczące sprzedaży ropy. Rok 2026 już jest rekordowy pod tym względem, gdyż wartość sprzedaży surowca osiągnęła najwyższy poziom od początku wojny cztery lata temu. Głównym odbiorcą pozostają Indie, ale ropa trafia też choćby do Japonii. Jak przyznają same władze w Tokio, Moskwa jest beneficjentem wojny USA z Iranem, która doprowadziła do zamknięcia cieśniny Ormuz.

Polska opinia publiczna może się oburzać, że cywilizowane kraje prowadzą handel ze zbrodniarzem wojennym, co jednak nie ma szczególnego przełożenia na realne działania tych państw (zresztą podobne moralne argumenty nie przeszkadzają Polsce w prowadzeniu biznesów z Izraelem odpowiedzialnym za czystki etniczne na Palestyńczykach).

W 2025 r. Centrum Badań nad Energią i Czystym Powietrzem wydało raport, z którego wynikało, że od czasu rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji UE więcej funduszy przeznaczyła na zakup energii z Rosji niż na pomoc wojskową i humanitarną dla Ukrainy. Energię chętnie kupowały nie tylko Węgry czy Słowacja, lecz także państwa bardzo proukraińskie jak Francja czy Rumunia. Ta ostatnia miała zwiększyć w ciągu 2025 r. import rosyjskiej energii aż o 57 proc. względem poprzedniego roku (m.in. ze względu na import pośredni), a to i tak nic przy takiej Portugalii – wzrost o 167 proc. Nie piszę tego, by tworzyć konstrukcję, że „Polacy są głupi", opowiadając się za antyrosyjską polityką, a antyrosyjskie stanowisko charakterystyczne dla polskiej klasy politycznej może być zupełnie niezrozumiałe na Zachodzie. Zresztą z Rosją przez kilka lat wojny handel prowadziła nawet Ukraina (umowa tranzytowa z Gazpromem wygasła dopiero w 2025 r.).

– Najważniejsze pytanie brzmi: Kiedy Putinowi zabraknie środków na prowadzenie wojny? Już widzimy pęknięcia w rosyjskiej gospodarce. Musimy trzymać się obranego kursu – mówił Radosław Sikorski podczas niedawnej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Problem w tym, że o „pęknięciach" rosyjskiej gospodarki opowiadano z wypiekami na twarzach już w marcu 2022 r., gdy Ukraińcom udało się utrzymać Kijów; mówiono tak w 2023 r., gdy żołnierze Prigożyna szli na Moskwę; oraz w 2024 r., gdy Ukrainie udało się przełamać blokadę na Morzu Czarnym. Mimo upływu lat nic jednak nie „pęka", a europejskie kontrakty zostały w znacznym stopniu zastąpione przez Chiny, Indie czy Turcję.

ROSJA WRACA DO EUROPY

Rosyjska gospodarka nawet teraz, gdy trwa wojna, utrzymuje relacje z Zachodem, gdyż stanowi po prostu zbyt znaczący rezerwuar gospodarczy, aby miliony ludzi zamknęły oczy, udając, że przestrzeń między Polską a Chinami nie istnieje. Najbardziej oczywistym przykładem są zapewne zachodnie przedsiębiorstwa, które dalej działają na terenie Rosji. Obecnie są to nadal tysiące firm. Według danych instytutu CELI działającego przy Uniwersytecie Yale ok. 40 proc. zagranicznych przedsiębiorstw, które działały w Rosji przed 2022 r., nadal działa bez zmian. Całkowicie opuściło rosyjski rynek ok. 13 proc. firm, z kolei 17 proc. zawiesiło działalność, a 11 proc. ograniczyło skalę działalności. Trudno się nie spodziewać, że po zawarciu pokoju znaczna część tych przedsiębiorstw odwiesi działalność i powróci do dawnych interesów.

Przejdźmy jednak do tego, co dzieje się w samej Europie. Państwa UE próbują bowiem odchodzić od importu ropy czy węgla, jednak bardzo chętnie sprowadzają np. rosyjski uran – niezbędny dla energetyki jądrowej. Zależność Europy od rosyjskiego surowca i technologii w ostatnich latach zaczęła wręcz rosnąć. Żadne unijne sankcje nie dotyczą tego sektora, a powód jest bardzo prosty – Rosatom kontroluje niemal połowę światowych zdolności wzbogacania uranu, a państwa UE nie dysponują odpowiednimi zasobami i technologiami, by poradzić sobie bez pomocy Moskwy. Pokłosiem tego była głośna afera sprzed kilku tygodni, gdy rząd Dolnej Saksonii zezwolił na rozbudowę francuskiego zakładu Framatome w Lingen pod produkcję zespołów paliwowych rosyjskiego typu do reaktorów jądrowych. W 2025 r. UE odnotowała w ciągu roku wzrost sprzedaży usług wzbogacania uranu z Rosji do UE o 12 proc. Jeszcze dobitniejszym przykładem są Węgry, gdzie postępuje rozbudowa elektrowni jądrowej Paks II. Rosyjski Rosatom buduje tam bowiem dwa nowe bloki jądrowe.

Zresztą nawet sankcje na gaz są masowo omijane przez kraje UE. Rosja bowiem zaczęła po prostu sprzedawać na Zachód ten surowiec w formie przetworzonej jako nawozy azotowe. W całym 2025 r. Rosja wyeksportowała do UE 4,8 mln ton nawozów, a liderem wśród kupujących była... Polska, która sprowadziła ok. 37 proc. całego wolumenu (drugie w zestawieniu Niemcy odpowiadały za ok. 10 proc.). Sytuacja zmieniła się dopiero w lipcu 2026 r., gdy w życie weszły nowe unijne sankcje. Rosja tymczasem przekierowała eksport do krajów Azji i Ameryki Południowej. W podobny sposób Europa sprowadzała skroplony gaz LNG, rosyjskie drewno (trafiało do Chin czy Turcji, gdzie po minimalnej obróbce sprzedawane było na Zachód) czy ropę naftową (przy wykorzystaniu Indii, które przetwarzały ropę na paliwo i legalnie odsprzedawały).

Podobną taktykę omijania sankcji za pomocą pośredników swego czasu stosowały ukraińskie podmioty, które odsprzedawały do Rosji surowce tytanowe. Te same, które następnie Moskwa wykorzystywała przy produkcji samolotów i rakiet. Co więcej, warto pamiętać, że nawet dzisiaj, gdy trwa wojna, Ukraina de facto prowadzi biznes z Rosją, pozwalając jej na tranzyt surowców energetycznych do Europy. Oba przykłady dowodzą, jak potężną siłę przyciągania mają rosyjskie pieniądze.

TRUMP, AFD, MAGYAR

Sytuację komplikuje to, że same społeczeństwa zachodnie coraz częściej wynoszą do władzy polityków opowiadających się za luzowaniem sankcji czy wręcz powrotem do współpracy z Władimirem Putinem. W szeregu europejskich państw popularność zyskują partie pozostające sceptyczne wobec obecnego podejścia UE do wojny; są to: Niemcy (AfD), Francja (Zjednoczenie Narodowe), Austria (FPÖ), Węgry (Fidesz), Słowacja (Smer-SD), Holandia (Partia Wolności), Włochy (Liga Salviniego, a także opozycyjny Ruch Pięciu Gwiazd).

Przykład Węgier – jakkolwiek jest to państwo małe – jest tutaj znamienny.

eprasa.pl 03a9f32532

Wielu wiązało nadzieje, że przejęcie władzy przez Pétera Magyara zmieni politykę Budapesztu. Premier jednak wyraźnie dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru zrywać gospodarczych kontaktów z Moskwą.

W rozmowie z „Rzeczpospolitą" Magyar był pytany, czy jego kraj podporządkuje się unijnym sankcjom i w ciągu trzech lat przestanie kupować rosyjskie surowce. – Sądzę, że ta polityka Unii bardzo się zmieni po zakończeniu wojny. Miejmy nadzieję, że stanie się to bardzo szybko. Musimy być konkurencyjni, Węgry, Polska. A do tego konieczne są niższe ceny energii. W tym względzie jestem bardzo pragmatyczny. Wiem, że jestem za to krytykowany. Rozumiem tę krytykę. I choć mi się ona nie podoba, to akceptuję ją. Ale po prostu chcę nie tylko bezpieczeństwa dostaw, lecz także niższych cen – odparł nowy premier Węgier.

O Węgrzech można powiedzieć, że to mały kraj, którego wpływ na politykę międzynarodową jest drugorzędny. Nie można jednak tego samego powiedzieć o Niemczech, gdzie Alternatywa dla Niemiec od wielu miesięcy jest liderem sondaży, a ledwie kilka tygodni temu odniosła zwycięstwo w Saksonii-Anhalcie. Znamienny był tu choćby nie tak dawny wypad polityków AfD i przedstawicieli niemieckiego biznesu na Forum Ekonomiczne organizowane w Petersburgu, co niektórzy wprost potraktowali jako przymierzanie się Niemców do wznowienia kontaktów biznesowych z Moskwą. To właśnie na tym Forum wysłannik Putina, Kiryłł Dmitrijew, twierdził, że Europa straciła 3 bln euro na rezygnacji z rosyjskiej energii oraz sugerował możliwość odbudowy gazociągu Nord Stream.

Sprawa Niemiec nie ogranicza się zresztą do samej AfD. Akcenty są różnie kładzione, ale prorosyjskie treści pojawią się zarówno wśród przedstawicieli Alternatywy dla Niemiec, lewicowej Die Linke, jak i w całkowitym mainstreamie tworzonym przez CDU-CSU i SPD. Jeszcze kanclerz Olaf Scholz utrzymywał relacje z Władimirem Putinem i opowiadał się za deeskalacją sporu, co w polskiej debacie uchodzi wprost za działania „prorosyjskie". Jego następca – Friedrich Merz – mimo że pozostaje bardzo proukraiński w swej polityce, musi mierzyć się ze sporą presją społeczną. Z sondażu YouGov z początku roku wynika, że ponad połowa Niemców (w tym aż 64 proc. wyborców samej CDU) opowiada się za bezpośrednimi rozmowami Merza z Putinem w celu zakończenia wojny w Ukrainie. Jedynie 26 proc. ankietowanych było przeciwnych. Niedawno, przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, doszło do spotkania szefów MSZ Niemiec i Rosji. Była to pierwsza rozmowa szefów dyplomacji obu państw od wybuchu wojny w 2022 r. Spotkanie odbyło się na prośbę Berlina. Kilka dni po tym minister spraw zagranicznych Johann Wadephul ogłosił, że „nadszedł czas" na wznowienie dialogu z Rosją.

RESET PONAD NASZYMI GŁOWAMI

Kontakt z Władimirem Putinem utrzymywał również tak proukraiński polityk jak Emmanuel Macron, a w ostatnich tygodniach rozmowy z Kremlem wznowiła nawet sama Bruksela poprzez biuro szefa Rady Europejskiej Antonio Costy. Potwierdzałyby to sierpniowe doniesienia Bloomberga, który informował, że czołowe kraje europejskie organizują tajne spotkania z przedstawicielami Rosji w celu zakończenia wojny na Ukrainie.

Na to wszystko zaś nakłada się chaotyczna i nieprzewidywalna polityka Donalda Trumpa, który – po tym, jak zapowiadany przez niego w kampanii wyborczej plan zakończenia wojny w 48 godzin nie wypalił – miota się od wysyłania uzbrojenia Ukrainie, po oskarżanie Kijowa o rosnące ceny paliw; od wyrzucania Zełenskiego z Białego Domu i rozkładania czerwonego dywanu przed Putinem po zapewnienia o niezłomnym wsparciu dla Ukraińców.

To wszystko nie oznacza oczywiście, że rządy we Francji, w Niemczech czy w Brukseli chcą się „dogadać" z Władimirem Putinem (wprost przeciwnie, zdaje się, że przeciąganie wojny traktują jako scenariusz optymalny), jednak tylko w Polsce zdaje się panować przeświadczenie, że jeżeli ktoś kibicuje Kijowowi, to tylko z tego powodu powinien zerwać wszelkie relacje z Moskwą. Bo podstawowe pytanie nie brzmi, czy Zachód robi słusznie, dogadując się z Putinem – bo wpływ polskiej dyplomacji na ten proces jest znikomy – tylko co polskie władze zrobią, gdy ten dialog Zachodu z Moskwą zmaterializuje się w postaci nowego kompromisu.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ogniskuje swoje wysiłki na maksymalnym antagonizowaniu Zachodu z Rosją, ale ten stan nie będzie trwał wiecznie. Nie interesuje mnie pytanie: „Czy powinniśmy robić reset z Rosją" – gdyż takie dywagacje wydają się bezprzedmiotowe – tylko co planuje zrobić polska dyplomacja, gdy taki reset przeprowadzą nasi sojusznicy ponad naszymi głowami. Prędzej czy później Zachód wypracuje jakieś modus vivendi z Rosją. Innymi słowy – nastanie kiedyś dzień, gdy Europa i USA ponownie polubią Moskwę i co wówczas zrobi Polska?

Obawiam się, że dla polskiej dyplomacji powyższe pytanie jest niezrozumiałe. Zachodni liderzy ostrzegają przed aktami sabotażu oraz przewidują zaostrzenie się konfliktu z Putinem i już samo to w polskim MSZ przy alei Szucha wydaje się wystarczające zamiast polskiej strategii. Kanały dyplomatyczne z Rosją zamknęliśmy, a relacji żadnych nie mamy zamiaru utrzymywać (podobnych obiekcji nie mają ani Trump, ani Merz, ani Macron).

Zachód nie miał problemów, by robić interesy z Rosją po drugiej wojnie czeczeńskiej, po wojnie w Gruzji ani po zajęciu Krymu. Nawet dzisiaj relacje z rosyjskim kapitałem nie ustały i naiwnością jest twierdzenie, że Moskwę uda się na zawsze wyeliminować z zachodniej perspektywy.

Od polskiej dyplomacji należałoby oczekiwać nie myślenia życzeniowego, tylko opracowania strategii na odwilż między Zachodem a Moskwą, która w końcu nadejdzie. Kwestia bezpieczeństwa powinna być rozpatrywana w perspektywie lat i dekad, a nie jedynie kolejnej kampanii wyborczej. Obrona polskiej racji stanu może być znacznie trudniejsza w warunkach odwilży niż obecnie. Krzyczeć o „wgniataniu Putina w ziemię", jak robił to były marszałek Sejmu, jest łatwo, bronić polskich interesów, gdy tenże Putin będzie się dogadywał z Zachodem – znacznie trudniej.

Biorąc pod uwagę doświadczenia ostatnich kilkuset lat, trudno się dziwić polskiej niechęci do Rosji. Problem w tym, że rusofobia nie zastąpi nam polityki. A ta w końcu będzie nam potrzebna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532

Trump tankuje z pustego dystrybutora?



Andrzej Solecki

W marcu 2014 r., gdy Ukraina przeżywała zajęcie Krymu przez zielone ludziki, amerykański senator John McCain stwierdził, że Rosja to „duża stacja benzynowa udająca kraj" i że Biały Dom musi objąć sankcjami jej dostawy ropy i gazu oraz wesprzeć Ukrainę dostawami broni.

Niespełna 10 lat później szef unijnej dyplomacji, Josep Borrell, przytomnie zauważył, że właściciel stacji ma bombę atomową. Nasi optymiści z Centrum Mieroszewskiego nieco ponad rok temu, 1 października 2025 r., stwierdzili, że… na tej stacji nie ma paliwa. W zeszłym tygodniu polska opinia publiczna, oczytana w mediach głównego nurtu, pełnych opisów sukcesów ukraińskich dronów niszczących kolejne rosyjskie rafinerie, została zaszokowana tym, że rosyjska stacja benzynowa wciąż działa. Co gorsza, nasz kluczowy sojusznik, Donald Trump, zamierza tam zatankować.

Rodzi się pytanie: Dlaczego USA, zajmujące pierwsze miejsce wśród producentów ropy naftowej (prawie 14 mln baryłek dziennie), udają się na zakupy do zajmującej trzecie miejsce Rosji (10,5 mln)? Można podejrzewać, że podobnie jak w przypadku zakupu białoruskiego potażu sprawa wiąże się z kanadyjskimi aspiracjami Trumpa. Dążenie do przyłączenia Kanady do USA i jednoczesne wsparcie dla separatystów w Albercie są uznawane przez rząd w Ottawie za bezprawną ingerencję w suwerenność Kanady. Stanowisko Rosji, która jest podejrzewana o sprzyjanie separatystom, zasługuje na wdzięczność Trumpa, a import surowców z Rosji i Białorusi może pomóc w przypadku perturbacji w handlu USA–Kanada.

Wyniki głosowania w Albercie nie były wprawdzie korzystne dla separatystów (19 października mieszkańcy zdecydowanie odrzucili propozycję secesji), ale większość z nich traktowała głosowanie jako formę nacisku na rząd w Ottawie. Ruch separatystyczny zdobył jednak na początku października mocny przyczółek w Quebecu, gdzie premier elekt Paul St-Pierre Plamondon nie tylko wspiera separatyzm w swojej prowincji, lecz także deklaruje chęć uznania niepodległej Alberty.

Pięć dni przed głosowaniem, 14 października, na wiecu w Arizonie Trump znowu zapowiedział, że Kanada zostanie stanem USA. Dodał też, że Kanada bardziej potrzebuje tego związku niż USA. Prawda jest odwrotna: prawidłowe funkcjonowanie gospodarki amerykańskiej wymaga importu wielu surowców i produktów z Kanady. Większość amerykańskich rafinerii na Środkowym Zachodzie (Midwest) i wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej (Amerykańskiej) przerabia bowiem ciężką „kwaśną" ropę kanadyjską wydobywaną w Albercie z piasków bitumicznych. Nie jest możliwe szybkie przestawienie się na inny rodzaj ropy.

Alberta 94 proc. wydobycia sprzedaje do USA, resztę do Chin, Hongkongu, Singapuru i Korei Południowej. Sprzedaż do USA realizowana jest przez systemy rurociągów, które biegną przez Midwest do Zatoki Meksykańskiej. Dostawy do wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej realizowane są przez rurociąg Trans Mountain Pipeline (TMPL), który został rozbudowany kosztem 34 mld dol. kanadyjskich i uruchomiony jako Trans Mountain Expansion (TMX) 1 maja 2024 r. Dzięki temu rurociągowi Kanadyjczycy niezadowoleni z niskich cen oferowanych przez firmy z USA uzyskali możliwość sprzedaży ropy na rynki wschodnioazjatyckie. To częściowe uniezależnienie się firm kanadyjskich od odbiorców z USA wzmaga zainteresowanie administracji USA przejęciem prowincji Alberta albo nawet całej Kanady.

Dalszy rozwój wypadków trudno przewidzieć. Kanada jest kluczowym dostawcą potażu dla rolników w USA, a jego brak może zredukować ich produkcję zbóż nawet o 50 proc. Ewentualne wygaszenie handlu z Kanadą oznacza brak paliwa dla ciężarówek, energii elektrycznej, aluminium niezbędnego do budowy samolotów i znacznej części dostaw stali.

Kanada, drugi co do wielkości kraj świata zamieszkany przez zaledwie 40 mln ludzi, zapewnia szeroki dostęp do zasobów Oceanu Arktycznego. W obrębie kanadyjskiego Archipelagu Arktycznego znajduje się Przejście Północno-Zachodnie, które umożliwia przepłynięcie najkrótszą drogą z Pacyfiku na Atlantyk. Amerykanie, w przeciwieństwie do Kanadyjczyków, uznają to kluczowe dla przyszłej żeglugi z Azji do Europy przejście za wody międzynarodowe. Włączenie Kanady do USA zapewniłoby USA równorzędną pozycję na Oceanie Arktycznym, obecnie zdominowanym przez Rosję. Gra idzie o wysoką stawkę; nie można wykluczyć nawet użycia przez USA sił zbrojnych.

W sierpniu 2026 r. rząd kanadyjski przeznaczył 11,3 mld dol. kanadyjskich na sześć nowych lodołamaczy dla straży przybrzeżnej (Canadian Coast Guard), uzbrojonych w zdalnie sterowany moduł Mk 38 z 25-milimetrową armatą automatyczną. W październiku położono stępkę pod flagowy ciężki lodołamacz CCGS Imnaryuaq o projektowanej wyporności 26 036 ton i kolejny z sześciu planowanych lodołamaczy, których dostawy planowane są do końca lat 30. Statki te będą miały kluczowe znaczenie dla obrony suwerenności Kanady nad wodami Archipelagu Arktycznego.

Część Kanadyjczyków liczy na wsparcie Wielkiej Brytanii, której król jest ich głową państwa, a królewski gubernator jest dowódcą sił zbrojnych. Również Chiny i zdominowana przez Francję i Niemcy Unia prawdopodobnie wsparłyby Kanadę. Zwłaszcza że dla UE dostęp do kanadyjskich surowców mógłby okazać się zbawienny. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

Wyścigi w powietrzu



Jacek Przybylski

Z dużym opóźnieniem Elon Musk zaprezentował wreszcie prototyp Roadstera 2. Nowy pojazd Tesli potrafi wznieść się w powietrze i wykonywać widowiskowe akrobacje. W kategorii latających samochodów Tesla ma coraz liczniejszą konkurencję. Już za dekadę rynek osobistej mobilności powietrznej ma być wart kilkanaście miliardów dolarów

Zdaniem Elona Muska Tesla Roadster Rocket (na zdjęciu leci nad innymi autami) jest „lepsza niż wszystkie samochody Jamesa Bonda"

FOT. TESLA

O latających samochodach pisarze i nie tylko marzyli od wielu dziesięcioleci. Pojazdami unoszącymi się w powietrzu poruszali się członkowie utopijnego społeczeństwa przyszłości przedstawionego przez Stanisława Lema w „Powrocie z gwiazd". Magiczne auto potrafiło latać w wydanej w latach 60. ubiegłego wieku książce „Bang, bang! Wystrzałowy samochód" pióra legendarnego pracownika brytyjskiego wywiadu Iana Fleminga (tego samego, który stworzył serię powieści i opowiadań o agencie 007). Latającymi „hovercarami" i „spinnerami" nad zrujnowanym San Francisco latali także bohaterowie książki Philipa K. Dicka „Blade Runner. Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?" i jej legendarnej ekranizacji w reżyserii Ridleya Scotta. Młodsi czytelnicy pamiętać mogą z kolei zaczarowany turkusowy Ford Anglia, który należał do Artura Weasleya i posłużył m.in. Harry'emu Potterowi z powieści pióra J.K. Rowling.

W trzeciej dekadzie XXI w. latające samochody stały się wreszcie nie tylko wytworem wyobraźni, ikonicznym motywem, symbolem wolności jednostki i technologicznego postępu. Są już produktem, który można zamówić.

TESLA W POWIETRZU

Takiego pokazu jeszcze w historii motoryzacji nie było. 15 października podczas premiery najnowszego modelu Tesli Roadster w centrum testowym w Teksasie sportowy samochód elektryczny wjechał na pionową ścianę pod kątem 90 stopni, a następnie pokonał ją do góry kołami, by następnie wzbić się w powietrze i wylądować na czterech kołach. Następnie najnowszy model oderwał się od ziemi, wykonał widowiskowy obrót w powietrzu nad zaparkowanymi na scenie samochodami, po czym spokojnie wylądował i pojechał dalej.

Najbogatszy człowiek świata i jednocześnie szef Tesli, Elon Musk, zauważył, że na tym pokazie musiała być publiczność, by zaświadczyć, że widzieli pokaz na własne oczy i że nie był on wytworem sztucznej inteligencji. Ekscentryczny wizjoner oznajmił również, że to już najwyższy czas, aby w naszej rzeczywistości zadomowiły się pełnoprawne, fruwające samochody. Zdaniem miliardera najnowszy model spółki jest „lepszy niż wszystkie samochody Jamesa Bonda".

Najnowszy Roadster występować ma w trzech wersjach. Latający wariant

eprasa.pl 03a9f32532



Profesor Štefan Klein stworzył projekt dwuosobowego samochodu, który w ciągu dwóch–trzech minut potrafi zmienić się w samolot

FOT. KLEIN VISION

nazywa się Rocket i został wyposażony w kompresor sprężonego powietrza, który tłoczy je pod wysokim ciśnieniem przez specjalne dysze. Zapewniają one dodatkowy ciąg, który pozwala samochodowi na krótko wznieść się w górę. Dziesięć dysz wokół samochodu pozwala z kolei na precyzyjne manewrowanie autem w powietrzu.

Tylne dysze na sprężone powietrze wspomagają również przyspieszenie na drodze. Dzięki temu Tesla Roadster w wariancie Rocket potrafi rozpędzić się od zera do 100 km/h w mniej niż sekundę (dokładnie: 0,81 s). Prędkość maksymalna nowego auta, jak na pojazd latający, została wyrażona w odniesieniu do prędkości dźwięku. Wynosi więc ona Mach 0,5, czyli połowę prędkości dźwięku. Jednocześnie wentylatory zasysające powietrze spod pojazdu dociskają auto do podłoża, znacząco zwiększając jego przyczepność (Tesla mówi o docisku rzędu 2G, co oznacza ok. 4700 kg nacisku na podłoże).

ROADSTER DŁUGO NIE POLECI

Niestety, trudno jeszcze mówić o wymarzonym latającym samochodzie. Tesla Roadster 2 nie potrafi bowiem latać, a tylko unosić się w powietrzu. A i to zaledwie przez krótki czas. Przy dodatkowym założeniu, że w aucie będzie siedział wyłącznie kierowca bez ciężkich bagaży (podczas premierowego pokazu wszystkie akrobacje samochód wykonał sam, bez żadnego człowieka w środku). Yann LeCun, laureat Nagrody Turinga i naukowiec specjalizujący się w rozwoju sztucznej inteligencji w Meta, publicznie skrytykował układ napędowy Roadstera firmy Tesla w systemie X, określając proponowany pojazd mianem „kompletnie niepraktycznego". LeCun stwierdził w mediach społecznościowych, że zastosowany w samochodzie system wykorzystuje sprężone powietrze i – choć jest prostszy od silnika rakietowego – charakteryzuje się impulsem właściwym wynoszącym mniej niż 50 sekund. Według LeCuna „nawet gdyby sprężone powietrze stanowiło połowę masy pojazdu, zapewniłoby użyteczny ciąg przez mniej niż 10 sekund, a być może ok. 5".

Innymi słowy: daleko nie polecimy. A nawet gdyby technologię chociaż trochę udoskonalono, to i tak nie moglibyśmy jeszcze przeskakiwać w powietrzu miejskich korków, ponieważ wariant Rocket nie został dopuszczony do ruchu po drogach publicznych. A zresztą nawet gdyby takie dopuszczenie jakimś cudem otrzymał, to pewnie ze świecą trzeba by szukać zakładu ubezpieczeń, który sprzedałby chociaż OC, nie wspominając nawet o autocasco.

Zgodnie z oficjalnymi zapowiedziami masowa produkcja nowego modelu ruszyć ma w 2028 r. Opóźnienia są co prawda bardzo prawdopodobne, ale na stronie internetowej można już składać rezerwacje. W umowie przedpremierowego zamówienia modelu Roadster Rocket Tesla uczciwie zaznacza, że nie może zagwarantować nawet przybliżonego terminu, kiedy samochód zostanie dostarczony. „Przyjmujesz do wiadomości, że w chwili zawarcia niniejszej Umowy Rezerwacji Roadster jest nadal w fazie rozwoju, w związku z czym nie możemy zagwarantować, kiedy pojazd zostanie faktycznie dostarczony" – czytamy w umowie rezerwacyjnej. Warto dwa razy przeczytać ten zapis, bo pierwsze wpłaty rezerwacyjne w wysokości 50 tys. dol. na zaprezentowanego w 2017 r. Roadstera amerykańska spółka zbierała już niemal dekadę temu, a samochód miał wejść do seryjnej produkcji w 2020 r., a następnie w roku 2025. „Od tego czasu Tesla nie dotrzymała żadnego zaplanowanego terminu wprowadzenia produktu na rynek" – zauważa CNBC.

Na razie latająca Tesla jest więc raczej bardzo udanym zabiegiem marketingowym niż realną ofertą pojazdu łączącego świat motoryzacji i lotnictwa. O wystrzałowej premierze Tesli mówi cały świat, a rozgłos rakietowego wariantu może zwiększyć sprzedaż również dwóch innych wariantów nowego Roadstera: Performance oraz Thrust. Oba mają mieć dwa miejsca oraz maksymalny zasięg przekraczający 480 km (co szczerze powiedziawszy, trudno obecnie uznać za szczególne osiągnięcie). Potencjalnym klientom podstawowego wariantu, czyli Performance, podobać może się jednak czas sprintu do setki. Nowy Roadster od zera do 100 km/h rozpędza się bowiem w mniej niż 1,6 s. Jeszcze lepszy czas uzyskuje wariant Thrust (doposażony w dodatkowe tylne dysze na sprężony gaz) – wersja z dopalaczem do setki przyspiesza w zaledwie 0,9 s. Co ważne, oba warianty mają być dopuszczone do ruchu po drogach publicznych. Do tego dochodzą „kosmiczne" dodatki, jak np. szyby „Gold Glazed", które mają naśladować miedzianą powłokę, nadającą osłonom skafandrów kosmicznych złoty blask.

Tesla przyjmuje w Polsce rezerwacje na obie wersje. Aby zapisać się na wersję Performance, trzeba wpłacić 22 tys. zł i w ciągu 10 dni dopłacić 190 tys. zł (swoją drogą wygląda na to, że Amerykanie wciąż podchodzą do Polaków jak do przedstawicieli rynku Trzeciego Świata, bo nie opanowali jeszcze języka polskiego i zachęcają do rezerwacji niczym Kali u Sienkiewicza: „Zapłać za pomocą Kartą"). Zapisać można się też na limitowany wariant Thrust. Jedna osoba może złożyć tylko jedno zamówienie. Warunki: 22 tys. zł trzeba wpłacić od razu, a w ciągu 10 dni dopłacić 1 mln zł. Zamówienie na jednomiejscową wersję Rocket mogą złożyć wyłącznie osoby, które otrzymały od

eprasa.pl 03a9f32532



W USA wynalazek Polaka zakupiła m.in. Florida Polytechnic University

FOT. FLORIDA POLYTECHNIC UNIVERSITY

Tesli stosowne zaproszenie. Do momentu zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" cena latającej wersji nie została podana do publicznej wiadomości. W każdym wariancie spółka uczciwie zaznacza, że żadna z wymienionych wyżej kwot nie stanowi ostatecznej ceny zakupu, a jedynie „orientacyjną cenę pojazdu" ani nie gwarantuje miejsca w produkcyjnej kolejce (zapewnia jedynie „przybliżony priorytet", cokolwiek to oznacza).

Jednocześnie hojne wpłaty na rezerwacje Roadstera spółce kierowanej przez Muska bardzo się przydadzą, bo zaprezentowany w ubiegłym tygodniu raport finansowy za trzeci kwartał 2026 r. trudno uznać za kosmiczny sukces. W dokumencie odnotowano znaczący spadek zysku netto spółki (do 787 mln dol., czyli o 43 proc. rok do roku), a także przychodów ze sprzedaży aut (wyniosły 28,05 mld dol.), magazynów energii oraz tzw. kredytów regulacyjnych (Tesla nadal zarabia miliony dolarów na sprzedaży kredytów emisji tradycyjnym producentom samochodów, którzy mieli zbyt mało aut elektrycznych w swojej flocie, aby spełnić ustawowe warunki emisji spalin). Niepokoić może znaczące pogorszenie rentowności, podobnie jak dynamiczny wzrost kosztów operacyjnych oraz obniżenie prognozy nakładów inwestycyjnych na 2026 r. do ok. 20 mld dol. z ponad 25 mld dol. zapowiadanych wcześniej. Widać też wyraźnie, że obserwowany na początku lat 20. XXI w. szybki wzrost sprzedaży Tesli gwałtownie wyhamował (m.in. ze względu na coraz lepszą ofertę chińskich konkurentów).

Niewykluczone, że prezentacja latającego samochodu może w niedalekiej przyszłości posłużyć do zilustrowania fuzji Tesli ze SpaceX. Na razie plany takiego połączenia nie zostały jeszcze oficjalnie potwierdzone, choć przedstawiciele motoryzacyjnego giganta przyznali, że część rozwiązań zastosowanych w Roadsterze Rocket zaczerpnęli z technologii kierowanej przez Muska spółki SpaceX. Rynkowa wycena SpaceX wynosiła w ubiegłym tygodniu ok. 2 bln dol., a kapitalizacja Tesli 1,4 bln dol. Obie spółki należą do prestiżowego grona zaledwie 12 amerykańskich firm, których wartość rynkowa szacowana jest na co najmniej 1 bln dol. Dla porównania: najwyżej wyceniana spółka na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie, czyli Orlen, jest warta ok. 46 mld dol.

JEDŹ I LEĆ

Skoro Roadstera w wersji Rocket nie można łatwo kupić, a do tego ten samochód nie tyle lata, ile na krótko unosi się w powietrzu, spójrzmy na konkurencyjne propozycje. Kilka prototypów ma już za sobą udane loty testowe. Część nie może legalnie poruszać się po drogach publicznych, a inne oprócz prawa jazdy wymagają też posiadania licencji pilota.

Kalifornijska firma Alef Aeronautics uczciła w październiku swój tysięczny zarejestrowany lot, publikując nagranie przedstawiające jej elektryczny Model A, który pionowo wznosi się wysoko nad zaparkowanymi samochodami, w tym słynnym Cybertruckiem. Przedstawiciele spółki – której prototyp jadący zamkniętą drogą, już w lutym ubiegłego roku wzniósł się w powietrze i zanim bezpiecznie wylądował, przeleciał nad innym pojazdem – żartobliwie powitali w ten sposób Teslę w „wyścigu latających samochodów".

Producent zapewnia, że Modelem A można legalnie jeździć po normalnych drogach miejskich i wiejskich. Samochód wykonany zgodnie z mottem „drive-and-fly" („jedź i leć") zmieści się na standardowym miejscu parkingowym i w tradycyjnym garażu. Latające auto od Alef Aeronautics – potrafiące pionowo wzbić się w powietrze i lecieć nad przeszkodami w dowolnym kierunku – docelowo ma kosztować 299 999 dol. Za wstępną rezerwację trzeba zapłacić 150 dol. – wówczas trafia się do zwykłej kolejki oczekujących. Aby znaleźć się w „kolejce priorytetowej", trzeba zapłacić 1500 dol. Firma chwali się, że ma już zamówienia na ponad 3,6 tys. egzemplarzy.

Technologię latających samochodów z powodzeniem rozwijają też Europejczycy. Na Słowacji prof. Štefan Klein stworzył projekt dwuosobowego samochodu, który w ciągu dwóch–trzech minut potrafi zmienić się w samolot. Pojazd, który automatycznie rozkłada skrzydła oraz ogon, w powietrzu osiąga prędkość do 300 km/h, a na drodze potrafi poruszać się z prędkością do 200 km/h. Maksymalny zasięg lotu wynosi 1000 km. Pojazd otrzymał słowacki certyfikat zdatności do lotu od Urzędu Transportu już w 2022 r., a w 2026 r. miała ruszyć jego komercyjna produkcja seryjna. Szacowana cena wynosi od 800 tys. do 1 mln dol. Zbudowany z kompozytów pojazd ma już na koncie ponad 500 startów i lądowań.

Wiele pomysłów na latające pojazdy ma też Polak Tomasz Patan. Utalentowany inżynier i współzałożyciel firmy Jetson wprowadził na rynek elektryczny pionowzlot wyposażony w intuicyjny system sterowania. Pojazd posiada osiem silników, umożliwia lot z prędkością ok. 100 km/h i pozwala na ok. 20 minut lotu. Na rynku amerykańskim nie wymaga ani licencji pilota, ani innych specjalnych uprawnień. Cała produkcja na lata 2026–2027 została już wyprzedana. Można się jednak zapisać na egzemplarz, który ma zostać dostarczony w roku 2028. Całkowita cena (z podatkami) to 148 tys. dol. W momencie rezerwacji zapłacić należy jedynie 8 tys. dol., a resztę, gdy pojazd będzie już gotowy w fabryce. W USA wynalazek Polaka zakupiła m.in. Florida Polytechnic University – pojazd ma wspierać patrole uczelnianej policji oraz działania ratunkowe, a także umożliwiać badania nad rozwojem zaawansowanej mobilności powietrznej.

Niestety, aby móc cieszyć się latającym lub chociaż unoszącym się w powietrzu samochodem, trzeba mieć nie tylko sporo cierpliwości, lecz także duże pieniądze. Tym samym w realnym świecie potwierdzenie znajduje teza Philipa K. Dicka, mówiąca o pionowym rozwarstwieniu społecznym: biedna masa na dole, a latający bogacze na górze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 03a9f32532



PROSTO ZYGZAKIEM

Kto zamknie TK duopolu?

PIOTR GABRYEL

Już chyba nic więcej niż tylko pusty śmiech wywołuje wojenka, którą obie główne partie, a raczej oba główne plemiona naszego politycznego duopolu – PO-PiS/KO-PiS, toczą o Trybunał Konstytucyjny. O ten sam TK, który właśnie przez tenże duopol, czyli przez PO/KO i PiS, został do cna i bezpowrotnie uśmiercony i już nigdy – bez całkowitego resetu – z martwych się nie podniesie. Bo też już nigdy bez takiego resetu nie zostanie uznany za sąd konstytucyjny, z którego racjami liczyć się będą główne siły polityczne.

Niszczenie TK, co warto przypominać do znudzenia, rozpoczęła Platforma, która w 2015 r. – w obliczu ryzyka przegrania wyborów parlamentarnych – zamiast wybrać, tak jak to wynikało z obowiązującego prawa, trzech nowych, „swoich" sędziów TK na miejsce trzech ustępujących, wybrała także „na zapas" dwóch „swoich" nadmiarowych sędziów – na miejsce tych, którzy mieli ustąpić dopiero w grudniu 2015 r., czyli już po wyborach do Sejmu i Senatu.

Z kolei PiS nie pozostał PO dłużny i po wygraniu wyborów, zamiast wybrać tylko dwóch „swoich" sędziów – na miejsce tych dwóch bezprawnie wybranych wcześniej przez PO, wybrał „swoich" aż pięciu. A wspierany przez PiS, wybrany w maju 2015 r. prezydent Andrzej Duda nie przyjął ślubowania od wszystkich pięciu sędziów wybranych jeszcze przez „Sejm PO" (a więc także od trzech wybranych przez PO zgodnie z prawem), natomiast przyjął je od wszystkich pięciu sędziów wybranych już przez „Sejm PiS" po wygraniu przez PiS wyborów w październiku 2015 r. (a więc także od tych trzech wybranych przez PiS niezgodnie z prawem).

Z tego powodu od 11 lat TK jest instytucją de facto martwą, skoro co najmniej jedna z dwóch głównych sił politycznych nie uznaje jego werdyktów. Teraz nie uznaje ich PO/KO, a wkrótce – jeśli dojdzie do spodziewanego, w taki czy inny sposób, „przejęcia" TK przez „sędziów PO" z rąk „sędziów PiS" – role się odwrócą i to PiS nie będzie uznawał werdyktów TK, a PO/KO będzie je przyjmowała z pocałowaniem ręki od jego nowego szefa – zapewne Macieja Berka, tak jak PiS przyjmuje je z pocałowaniem ręki od obecnego szefa – Bogdana Święczkowskiego, a wcześniej – od Julii Przyłębskiej.

Nie ma więc dziś innej drogi do odbudowy reputacji zapisanego w konstytucji sądu konstytucyjnego jak, i to jak najszybsze, rzeczywiste zlikwidowanie faktycznie już nieistniejącego TK i ewentualne zbudowanie go od nowa. Wszelako metodycznie niszczący instytucje polskiego państwa duopol PO-PiS/KO-PiS nie byłby duopolem, gdyby na to przystał, bo straciłby rację bytu. Czyż zatem stanie się to możliwe dopiero po odsunięciu go od władzy? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Starsi panowie dwaj

ŁUKASZ WARZECHA

Komitet Obrony Demokracji to marka już trochę zapomniana. Może pora, aby odświeżyło ją Prawo i Sprawiedliwość? Nastąpiła bowiem zabawna zamiana ról. Ci, którzy demokracji bronili niegdyś przed „Kaczorem dyktatorem", dzisiaj z całego serca popierają „przywracanie demokracji" pałą i uchwałą oraz wychwalają pod niebiosa policję. Ci, którzy kiedyś wychwalali policję, kiedy ta wykonywała ich polityczne zamówienia, dzisiaj nazywają ją „siepaczami", a sami siebie przedstawiają jako obrońców demokracji. Cyrk.

Chciałoby się zacytować stare powiedzonko Wojciecha Cejrowskiego: „Wszyscy won!"

Kto w tym cyrku uczestniczyć nie chce, widzi, że Trybunał Konstytucyjny po prostu nie działa. Skoro nie działa wskutek serii poczynań rozpoczętych mianowaniem dwóch nadmiarowych sędziów przez Platformę Obywatelską pod koniec jej rządów w 2015 r. oraz twórczym rozwinięciem tej praktyki przez PiS (mianowanie trzech nadmiarowych sędziów), to trzeba go naprawić. Na razie żaden z dwóch starszych panów, toczących swoją wojenkę naszym kosztem, nie chce tego zrobić. Donald Tusk zapowiada twardą walkę o demokrację, która może nie będzie za bardzo demokratyczna, ale przecież cel uświęca środki. Jarosław Kaczyński zaś pokrzykuje pod Trybunałem, że żadne tam resety, tylko po prostu muszą wejść nasi i wszystko znów będzie grało i furczało.

Chciałoby się zacytować stare powiedzonko Wojciecha Cejrowskiego: „Wszyscy won!". Mnie jako obywatela interesuje nie to, żeby jeden lub drugi starszy pan skutecznie przywalił temu drugiemu. Interesuje mnie tylko to, żeby TK zaczął w końcu normalnie działać. Propozycje na stole są. Od dawna leży na nim projekt Konfederacji, a od niedawna również Rozwoju Plus. Oba zakładają zmianę konstytucji, bo inaczej przeprowadzić się tego nie da.

Czy starsi panowie odpuszczą? Z pewnością nie. Oni już nie umieją inaczej. Waląc się po głowach laseczkami, nawet nie dostrzegają, że lecą wspólnie w przepaść. Jedyna nadzieja w tym, że wkrótce wpadną tam na dobre, a ich miejsce zajmą politycy mniej ogarnięci prywatnymi obsesjami, którzy wezmą się za mozolne naprawianie tego, co psute jest od ponad dekady. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

POCZET POLSKICH WODZÓW

Pretwicz, „terror Tartarorum”



JACEK KOMUDA

Bernard Pretwicz (Pretfic) herbu Wczele to kolejny z awanturniczych starostów, którzy bronili wschodnich kresów przed Tatarami i tworząc pierwsze oddziały Kozaków, położyli podwaliny pod przyszłą ich organizację. Bohater pochodził ze Śląska, być może jego rodzicami byli Piotr i Ludmiła ze Strwolińskich, właściciele kilku wsi w powiecie sycowskim. Karierę rozpoczął jednak na dworze króla Zygmunta Starego w 1525 r., wykonując różne misje dyplomatyczne. Później pojawił się jako towarzysz w rocie Mikołaja Sieniawskiego i brał udział w bitwie pod Obertynem. Wreszcie, w uznaniu zasług, w 1535 r. został rotmistrzem własnej roty i od tej pory poświęcił się walkom z Tatarami i Mołdawianami. Być może to on był twórcą taktyki polegającej nie tylko na atakowaniu czambułów, które weszły w granice Królestwa Polskiego, lecz także na ściganiu ich aż na koczowiska poza terenami kraju. W 1539 r. urządził taki pościg za Ordą aż nad Morze Czarne.

Rok później Pretwicz omal nie zginął, gdyż zamieszany w politykę, popadł w konflikt z rodem Zborowskich, którzy usiłowali pozbyć się człowieka wiedzącego zbyt wiele o ich spiskach; składał zresztą przed królem zeznania o planach Marcina Zborowskiego, przygotowywanych na wypadek śmierci Zygmunta I. Protektorką Pretwicza stała się wówczas królowa Bona, której zawdzięcza nadanie w 1541 r. starostwa barskiego na Ukrainie.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dzięki takiej bazie Pretwicz mógł utrzymywać na własny koszt oddziały zbrojne używane do walk z Tatarami, które w 1551 r. doszły do 300 ludzi. Zorganizował też swoistą „akademię wojskową”, ściągając młodzież i szkoląc ją; na starostwie miał do 80 takich „uczniów”, w większości synów szlachty i magnatów przysłanych w celu zdobycia doświadczenia.

Jego działalność wojskowa zdumiewa. Niemal rok w rok rozbijał wpadające na Ukrainę oddziały tatarskie. Jesienią 1540 r. rozbił ordyńców nad Czapczaklejem, a później pobił ich na Wierzchowinach Berezańskich koło Oczakowa. W marcu kolejnego roku jego podwładni rozgromili dwukrotnie Tatarów wracających z jasyrem i łupami. W 1542 r. gonił Tatarów wracających spod Owrucza pod Oczaków i poniszczył ułusy pod twierdzą, wziął wówczas 150 ludzi w jasyr i dwa tys. sztuk bydła. Rok później pobił Tatarów pod Barem, a następnie znowu gonił ich aż pod twierdzę Oczaków i Białogród. W 1544 r. rozbił w stepach kilka watah, biorąc do niewoli przywódców. Kilkakrotnie też brał udział w komisjach rozjemczych i był oskarżany przez Turków o niesprowokowane napady. W 1547 r. rozbił czambuł na szlaku kuczmańskim.

Sława Pretwicza rosła do tego stopnia, że już za życia nazywano go „strachem tatarskim” („terror Tartarorum”) i „murem polskim”. „Za pana Pretfica wolna od Tatar granica” – powiadano. Pisali o nim kronikarze: Marcin Bielski, Bartosz Paprocki, Szymon Starowolski. Jeszcze w XIX w. opisano go w zbiorze Ferdynanda Minsberga „Oberschlesische Sagen”. Działalność bohatera i jego samowolne wyprawy wielokrotnie spotykały się także z odwetem. Poza pojedynczymi napadami, w lutym 1550 r. na Bar napadł hospodar mołdawski Eliasz, chcąc schwytać starostę i oddać go w podarunku sułtanowi Sulejmanowi Wspaniałemu. Pretwicz wytrzymał oblężenie i pobił wracających za Dniestr Wołochów, co wywołało gniew sułtana żądającego ukarania bohatera i naprawienia szkód, uzależniając od tego odnowienie traktatów pokojowych. Pretwicz wyszedł z opresji obronną ręką, a w 1550 r. przedstawił w Krakowie przed Senatem traktat o obronie kresów przed Tatarami. Kiedy jednak skargi na jego działalność zdarzały się częściej, król w 1552 r. zabrał mu starostwo barskie, dając w zamian trembowelskie, gdyż sądził, że przesunięcie obszaru działań Pretwicza bardziej na zachód poskromi jego zapędy do urządzania wypraw na Tatarów. I rzeczywiście bohater odczuł to jako wielką krzywdę, a jego „przechadzki” stały się rzadsze, choć wziął jeszcze udział w pochodzie hetmana Sieniawskiego do Mołdawii. Otrzymał też kilkakrotnie propozycje przejścia na służbę do elektora saskiego i ks. pruskiego Albrechta, a w końcu do cesarza Ferdynanda. Pretwicz z jednych ofert nie skorzystał, innym sprzeciwili się król Zygmunt August i królowa Bona, nie chcąc tracić tak doświadczonego wojownika.

Starosta wielokrotnie narzekał na słabą obronę Podola i Ukrainy przed Tatarami, był też zwolennikiem rozbudowy formacji Kozaków zaporoskich. Zmarł w styczniu 1564 r., pozostawiając syna Jakuba, który odziedziczył po nim starostwo, i córkę Annę. Zanim odszedł, trzy lata wcześniej wpadł w letarg, jednak przebudził się z niego i wydał huczną ucztę na cześć swego zmartwychwstania.

Pamięć o Pretwiczu przetrwała w kolejnych wiekach w Polsce i na Śląsku. Jego portret miał ponoć w gabinecie król Jan Kazimierz. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

CHANGAN DEEPAL S05 ULTRA-HYBRID



FOT. JAP

To najmniejszy model w gamie samochodów marki Changan w Polsce. Wprawdzie w salonach stoi też jego elektryczny brat bliźniak (wrażenia z jego testu opisałem w nr 39/2026), ale hybryda PHEV cieszy się większym zainteresowaniem klientów.

I trudno się dziwić. Wariant hybrydowy ma bowiem równie futurystyczną sylwetkę (jej projekt powstał w centrum designu w Turynie, we Włoszech), ładnie wykończone wnętrze i przestronną kabinę (S05 to model na pograniczu segmentu C i D), a do tego imponujący zasięg (nieco ponad 1000 km, w tym niemal 100 km wyłącznie na prądzie) oraz bardziej atrakcyjną cenę od wersji czysto elektrycznej. Przypomnę tylko, że w zaskakująco skąpym standardowym wariancie Pro RWD elektryczny S05 został wyceniony na 169,9 tys. zł, a w dużo lepiej wyposażonej wersji Max RWD na 179,9 tys. zł. Tymczasem Deepal S05 Ultra-Hybrid w standardowej wersji Pro FWD kosztuje 149,9 tys. zł, a w (niemal) wszystko mającym wariancie Max FWD 164,9 tys. zł.

Do testów wzięliśmy najlepiej wyposażoną wersję, bo trudno sobie wyobrazić klientów na chiński samochód za 150 tys. zł bez podgrzewanej kierownicy, podgrzewanych foteli, automatycznie ściemniającego się lusterka wstecznego, elektrycznie podnoszonej klapy bagażnika czy ładowarki indukcyjnej. Wszystkie wyżej wymienione elementy wyposażenia znajdują się na szczęście w wersji Max FWD. W cenę Maxa wliczony jest również futurystyczny wskaźnik energii na słupku C (fajny bajer, który widziałem tylko w Changanie) oraz dopracowany kolorowy wyświetlacz Head-Up z nawigacją bazującą na rozszerzonej rzeczywistości (AR). To duże ułatwienie podczas jazdy, ponieważ za kierownicą nie ma ani tradycyjnych, ani cyfrowych zegarów. Prędkość odczytuje się albo na wyświetlaczu HUD, albo na dużym centralnym ekranie (o przekątnej 15,4 cala), który służy jednocześnie za wyświetlacz systemu multimedialnego. Niestety, w wersji hybrydowej również za pomocą ekranu reguluje się nawet położenie lusterek bocznych. Ani to wygodne, ani bezpieczne. I wielu chińskich konkurentów już z tego taniego rozwiązania zrezygnowało.

Przestronna kabina jest dobrze wyciszona. Wnętrze wykończono dobrej jakości materiałami, które zostały dobrze spasowane. Nic tu nie trzeszczy ani nie skrzypi. W bogatszej wersji znajdziemy też wentylowane fotele przednie, elektryczną regulację podparcia lędźwiowego oraz elektrycznie regulowany wygodny podnóżek dla pasażera.

Kolejną przewagą wersji hybrydowej nad elektryczną jest wielkość tylnego bagażnika (552 l wobec 492 l), choć wersja elektryczna ma jeszcze frunk.

Hybrydowy Deepal S05 dobrze się prowadzi. Maksymalna moc systemu hybrydowego wynosi 258 KM, a całkowity moment obrotowy 300 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 7,9 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h. Zużycie paliwa przy rozładowanym akumulatorze wynosi w cyklu mieszanym ok. 5,3 l/100 km. Producent chwali się też pięcioma gwiazdkami w testach zderzeniowych Euro NCAP.

MOTOROLA RAZR FOLD 5G



Rewelacyjne wyświetlacze, atrakcyjne wzornictwo, świetna jakość wykonania, bardzo dobre aparaty fotograficzne, wysoka wydajność, pojemna bateria oraz wsparcie dla rysika na obu ekranach – to największe zalety składanego smartfona marki Motorola.

Elegancki telefon „wielozadaniowość" ma na drugie imię. Do dyspozycji są tu dwa wyświetlacze. Wewnętrzny ma przekątną aż 8,1 cala, a zewnętrzny 6,56 cala. Oba ekrany zapewniają obraz bardzo wysokiej jakości. Duża przestrzeń robocza pozwala nie tylko na wygodniejszą pracę z dokumentami i e-mailami (zwłaszcza po przełączeniu się w tryb laptopa), lecz także na przyjemniejsze oglądanie filmów czy transmisji sportowych. Cieszy też dobry dźwięk z głośniczków (standard Dolby Atmos). Często przydaje się również tryb namiotu – ułatwia on oglądanie wideo i prezentacji, a w nocy może służyć jako zegar na szafce nocnej.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy Qualcomm Snapdragon 8 Gen 5, który współpracuje z 16 GB pamięci RAM. Na dane producent przeznaczył 512 GB. Na wydajność nie można więc narzekać.

W swym flagowym modelu Motorola zainstalowała również bardzo dobre aparaty fotograficzne, dzięki którym testowany model w globalnym rankingu DXOMARK zajął wysokie, 12. miejsce. Obiektyw główny, szerokokątny oraz teleobiektyw mają rozdzielczość 50 MP. Razr Fold umożliwia również nagrywanie filmów w rozdzielczości 8K z Dolby Vision (30 kl./s) lub 4K z Dolby Vision (30/60/120 kl./s).

Zdjęcia robione w dobrym oświetleniu zarówno na zewnątrz, jak i w pomieszczeniach wychodzą bardzo dobrze. Nieźle oceniam też jakość portretów. Kolory są żywe i realistyczne, a odcienie skóry wyglądają naturalnie. Niestety, wyraźnie gorzej od najlepszych smartfonów fotograficznych Razr Fold radzi sobie przy słabym oświetleniu oraz przy kręceniu filmików. Nadal jest jednak całkiem przyzwoicie.

Na pochwałę zasługują również bateria o pojemności 6000 mAh, która obsługuje technologię szybkiego ładowania (80 W), a także błyskawicznie działający czytnik linii papilarnych (mógłby być jednak wygodniej położony).

Wady? Smartfon bardzo mocno się nagrzewa zarówno podczas ładowania, jak i pod dużym obciążeniem. W codziennym użytkowaniu przeszkadza nieco kwadratowa wyspa fotograficzna – chociaż złożony smartfon mimo garbu na pleckach leży stabilnie, to już po rozłożeniu ekranu Razr Fold nieprzyjemnie się chyboce. Minusem jest również wysoka cena, w promocji za testowany model trzeba zapłacić 7999 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 03a9f32532



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czarna polewka

Czarna polewka, czyli czernina, to tradycyjna polska zupa. Niegdyś podawano ją w polskich domach, ale tylko od święta. Zupę z krwi, zazwyczaj gęsi lub kaczki, przygotowywano na Boże Narodzenie i podawano jako danie wykwintne. Czernina, nazywana też kaszanką w płynie, to esencja polskiej tradycji kulinarnej, która sięga aż średniowiecza. Jest ściśle związana z kuchnią staropolską i szlachecką XV w., pełniła także ważne funkcje komunikacyjne.

Jak opisał Adam Mickiewicz na kartach „Pana Tadeusza", gdy rodzice Ewy Horeszkówny odmówili wydania jej za Jacka Soplicę, nie zrobili tego wprost, podali mu czarną polewkę. Był to kulinarny sposób, aby nie narażać się na bezpośrednią, niełatwą rozmowę. Niedoszły zięć był częstowany zupą z czerniny na znak odrzucenia oświadczyn i sprawa była jasna. Właściwie można by przywrócić ten obyczaj i rozciągnąć go na inne sfery życiowe, prawda? Ciekawe, komu teraz najchętniej podalibyśmy czarną polewkę?

Obecnie zupa nie jest już tak popularna jak kiedyś. Dość silna tradycja jej przygotowywania pozostała jedynie na Kujawach, Pomorzu i w Wielkopolsce. W Krotoszynie na rynku jadłyśmy kiedyś bardzo smaczną czerninę z kluseczkami. Przepisy różnią się nieco od siebie, ale podstawą dania jest zawsze świeża krew. Aby ją uzyskać, należało kupić żywą gęś lub kaczkę i z jej krwi przygotować zupę. Jej kolor przypomina zupę z czekolady, co bardzo podoba się dzieciom, lecz smakuje trochę inaczej... To połączenie klasycznego, intensywnego smaku rosołu z wyraźnym smakiem krwi, a także z delikatnym słodko-kwaśnym smakiem owoców. Tę niezwykłą kombinację opisywano już w najstarszych książkach kucharskich, więc warto chociaż raz w życiu spróbować tego staropolskiego specjału.

Klasyczna czernina z kaczki

• 1,8 kg kaczki, • 2 marchewki • 2 pietruszki • 1 seler • 1 duża cebula • 5 ziarenek ziela angielskiego • 3 liście laurowe • 4 suszone śliwki • 4 suszone morele • 1 jabłko kwaśne, szara reneta • 2 łyżki octu lub wywaru ze śliwek w occie albo zalewie słodko-kwaśnej • sól, pieprz do smaku • przyprawa do rosołu • 250 ml świeżej krwi

Rosół:

Kaczkę dzielimy na kawałki, zalewamy gorącą wodą, odstawiamy na 10 min, czynność powtarzamy dwukrotnie. Gotujemy wywar, kaczkę zalewamy świeżą wodą, zagotowujemy, dodajemy ziele, liście i owoce, gotujemy ok. 30 min, dodajemy włoszczyznę, sól, przyprawę do rosołu i gotujemy do miękkości mięsa. Na koniec hartujemy rosół zimną wodą, ok. 100 ml dolewamy.

Krew mieszamy z 3 łyżkami octu jabłkowego, aby się nie ścięła. Rosół przecedzamy, mieszamy z krwią, wszystko przecedzamy przez sito. Gotujemy jeszcze chwilę i podajemy z makaronem lub kluskami lanymi. Możemy jeszcze doprawić do smaku, dodać suszone owoce i posypać natką. Smacznego! ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Chiny od spodu

Do Szanghaju przyjechałem wiosną 2013 r. i od razu nająłem pokoik wydzielony ścianką działową w mieszkaniu na parterze przy ulicy Qinzhou Północnej. Mieszkanie było ciemne i wilgotne, ale zaoszczędziłem pieniądze, wynajmując je bezpośrednio od właściciela. Poza mną mieszkały tam jeszcze dwie rodziny, łazienka i korytarz były wspólne, kuchni w ogóle nie było. Mój pokój był najtańszy i najmniejszy, miał około pięciu metrów kwadratowych".

Niewiele wiemy o Chinach, ale jest szansa, żeby się dowiedzieć. W książce „Byłem kurierem w Pekinie" autor Hu Anyan (rok urodzenia 1979) opowiada o doświadczeniach kilku lat pracy. Jako niewykwalifikowany pracownik brał, co popadnie, żeby się utrzymać. Był kurierem, pracował na stacji benzynowej, w piekarni, jako ochroniarz, w sklepie z rowerami, w obsłudze hotelowej, w sklepie z przekąskami...

To są Chiny od spodu, w rzeczywistości nisko opłacanych pracowników bez wykształcenia, harujących, gdzie popadnie, po 12 i więcej godzin, traktujących pracę doraźnie, aby przeżyć. Pracę zmienia się jak parę butów. Życie bez perspektyw, w byle jakich warunkach mieszkaniowych, od wypłaty do wypłaty. Jednak Hu Anyan mówi o Chinach więcej niż to, co możemy sobie wyobrazić, narzekając na kolejny przedmiot „made in China" czy oglądając



HU ANYAN „BYŁEM KURIEREM W PEKINIE" INSIGNIS

drapacze chmur kolorowego od neonów Szanghaju.

Byłam w Chinach 30 lat temu; z ulic Pekinu zapamiętałam nieliczne samochody, głównie sowieckie z demobilu i milion rowerów. Rowery pozostały, przybyło aut. Chiny jako potęga technologiczna czy zagrożenie militarne jawią się mętnie, jako odległy obraz, coś, co nas nie dotyczy. Trzeba by tam pojechać, żeby zmienić zdanie. Wybieram się wkrótce.

Jedna rzecz uderzyła mnie w tych opowieściach. Można odnieść wrażenie, że w Chinach nie ma już sklepów, wszystko kupuje się przez Internet. Tysiące kurierów rozwożą dobra po miastach i wsiach. Kilo jabłek i bułka, torebka ryżu? Kurier przywiezie po dwóch godzinach od złożenia zamówienia. A jak niedobre, to zabierze z powrotem. Że jest to rozkręcony świetny biznes, nie mam wątpliwości, ale czy podejście właściwe dla środowiska, nie jestem pewna.

Na tylnej okładce książką zachwycają się „The Economist", „People", „Financial Times". Przeczytałam ją w jeden dzień. Ale żeby aż tak chwalić? Prosty styl, zdania pojedyncze, trochę na poziomie licealisty. Tyle że nie dla pięknego stylu czytamy takie książki. Bo warto nasłuchiwać tego, co daleko od nas. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dni Młodzieży w Mediolanie

Dwa dni trwały występy młodych i bardzo młodych ludzi w centrum miasta. Skutki są opłakane. Zdewastowanych i rozgrabionych zostało kilkadziesiąt sklepów, domów towarowych, barów i restauracji. Podpalano i niszczono samochody oraz skutery. Wierni zgromadzeni na nabożeństwie w mediolańskiej katedrze w centrum miasta opuszczali świątynię w popłochu bocznymi drzwiami. Dzicz niszczyła wszystko, co stało na jej drodze. Szkody szacowane są na miliony euro. Siedemdziesięciu policjantów zostało rannych.

Nie ma wątpliwości, kim są wandale. Z zatrzymanych 280 osób aż 80 proc. stanowili nieletni, niektórzy w wieku 12–13 lat. Jak się okazało, bardzo wielu młodocianych to dzieci migrantów. Do podobnych ponurych wydarzeń doszło w Turynie, Bolonii i Bergamo.

Niewątpliwie inspiracją dla wandali były zakrojone na o wiele szerszą skalę zamieszki we Francji. O tym, że trzeba we włoskich miastach zmałpować to, co francuscy bojówkarze zrobili w Paryżu, mówili włoscy politycy skrajnej lewicy. Włoska lewica obwinia za wszystko rządzącą prawicę („Nie zadbaliście o młodzież"), a prawica lewicę („To wasz narybek, podjudzacie ich"). Spór o tyle nie ma sensu, że jak wynika z kreślonych teraz we włoskich mediach „portretów młodego wandala", polityka go w ogóle nie obchodzi. Nie czyta gazet, nie ogląda telewizji. Żyje w ogłupiającym świecie TikToka i Telegrama. To dlatego wandale starannie filmowali swoje wyczyny w Mediolanie, by potem popisać się nimi w sieci.

To właśnie tam, na „młodzieżowych" komunikatorach, ustalane są kanony najnowszej mody. A za modny ciuch czy buty nie tylko młody wandal dałby się posiekać. Jeden z nich tłumaczył w telewizji, że go na superciuch nie stać, a musi go mieć (kwestia prestiżu), więc musi rabować i kraść. Stąd w Mediolanie ofiarą wandali padły butiki i sklepy sportowe. Notabene włamali się również do ogromnej księgarni, ale chyba przez pomyłkę. Zniszczyli wszystko, ale nie ukradli ani jednej książki.

Powtarzana teraz w kółko diagnoza, że to, co się stało, było reakcją młodzieży na niedostatek czy niedomagania włoskiej szkoły, wydaje się chybiona. Chodziło raczej o udział w wyjątkowym superwydarzeniu, z dreszczykiem emocji, skaczącą adrenaliną i superbonusem – bijatyką z policją. Natomiast teraz jak na dłoni widać, że postępowe zasady chowu młodzieży kompletnie zawiodły. Idolem zbuntowanej gówniarzerii jest wulgarny raper albo traper. Młodzi ludzie w Mediolanie nie unieśli ciężaru nieskrępowanej wolności. O tym, że obok praw istnieją również obowiązki, nigdy nie słyszeli. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ćwierć butelkomatu

Kiedy studiowałem rusycystykę, czytaliśmy słynne opowiadanie Gleba Uspieńskiego z 1888 r. pt. „Ćwierć konia". Opowiadanie tego narodnika unaoczniało twarde zderzenie statystyki z realnym życiem. Otóż chodziło o to, że w tym czasie na cztery rodziny chłopskie przypadał w Rosji jeden koń, a więc ćwierć konia na jedną rodzinę. Uspieński pokazywał, jak wygląda ta statystyka w realu – po prosu chłopska rodzina w rezultacie nosiła ze sobą wszystko na plecach, a w polu sama zaprzęgała się do prac pociągowych.

Ja ostatnio zobaczyłem nie „ćwierć konia", ale ćwierć… butelkomatu. Jedynie w co czwartym punkcie, który sprzedaje plastikowe butelki, znajduje się butelkomat. Oczywiście jeśli wierzyć statystykom, boć ogląd subiektywny podpowiada, że jest tego mniej. Ale przyjmijmy, że to prawda. W trzech sklepach na cztery nie ma punktu automatycznego oddawania opakowań plastikowych. Jak wygląda więc taka ćwierć butelkomatu? Widziałem to w jednej z Biedronek. Po prostu pracownica stała obok kasy z wielkimi worami jak z IKEA i ustawiła się do niej kolejka ludzi z butelkami, za które dostawali jakieś kwity, a butelki lądowały w worach. Tak się kończy słynny system kaucyjny.

To nawet nie chodzi tylko o to, że ten system zrobił z Polaków zbieraczy śmieci. Do tej pory wrzucali je (po ewentualnej segregacji) do pojemników opróżnianych przez firmy najęte przez samorząd, za co płacili. Teraz płacą za każdą butelkę kaucję i by odzyskać te szantażowe pieniądze, muszą się ustawiać w kolejki do „ćwierci butelkomatu". Jednocześnie strumień plastiku, za którego recykling płaci mieszkaniec samorządowi, zmniejszył się o frakcje butelkomatowe. Zakupione przez firmy zbierające śmieci linie do recyklingu plastiku, wymagane przez stare prawo, stoją pustawe, stąd trzeba było podnieść ceny za wywóz śmieci.

System kaucyjny to największy przekręt zrobiony na miękkim ekologicznym serduszku. Policzmy. System dostaje 100 proc. z kaucji za butelki. Dzielimy: ok. 1 mld plastikowych butelek miesięcznie, z czego tylko ok. jednej czwartej (znowu mamy „ćwierć butelkomatu") ląduje w systemie. System więc obrabia i zwraca ok. 25 proc. całości pobranych kaucji. Teraz mnożymy to przez złotówki – Polacy płacą systemowi kaucyjnemu miesięcznie 500 mln zł kaucji za plastikowe butelki, odzyskują zaś 125 mln. Co miesiąc więc zostaje w systemie na czysto 375 mln. Te – wedle obietnic ministerki od klimatu i środowiska – miały być zainwestowane w rozbudowę systemu. Jak widać, nie bardzo, skoro trzy czwarte sklepów stoi bez butelkomatów. Gdzie są te pieniądze? ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

SPODE ŁBA

Myśmy wszystko zapomnieli!



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo ciekawą opinię wypowiedział niedawno prof. Antoni Dudek. Dyskutując na temat ataków nożowników w polskich szkołach, skrytykował on wysyłanie policji na szkolne podwórka, nazywając to „działaniem na pozór i pokaz". Przyczyny dramatycznych wydarzeń dostrzegł w nieodległej przeszłości. „Uważam, że to wszystko, co się w tej chwili zaczyna dziać, jest w jakimś sensie efektem traumy, którą bardzo wielu młodych ludzi przeżyło w czasie pandemii, z czego my, dorośli, sobie nie do końca zdawaliśmy sprawę" – stwierdził.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Opinia prof. Dudka jest w naszej debacie zaskakująco odosobniona. Tokujący o szkolnej przemocy „eksperci" przypominają ludzi, którzy, narzekając na ścisk w pokoju, nie mogą zauważyć stojącego w nim słonia. Jedni doszukują się winy w zaniedbaniach i niefrasobliwości rodziców, inni oskarżają szkoły, nie dość starannie monitorujące kondycję psychiczną pogrążonych w uzależnieniach cyfrowych uczniów. Winna jest kultura masowa i globalne trendy cywilizacyjne – czyli, konkretnie – nikt.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki w roku 2018 miało miejsce 119 „szkolnych strzelanin". W roku 2019 było ich 124. W roku 2021, gdy dzieci po przymusowych lockdownach zaczęły wracać do szkół, liczba „szkolnych strzelanin" wzrosła do 257, w roku 2022 było ich 309, w roku 2023 aż 352, w 2024 r. – 336. Amerykańskie i brytyjskie badania dotyczące zdrowia psychicznego osób poddanych pandemicznej izolacji nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, jak straszliwe spustoszenie uczyniła ona wśród młodej generacji. Kathleen Ethier, dyrektorka amerykańskiego Centre for Disease Control (CDC), tak opisała je w roku 2023: „Zbieramy podobne dane przez ostatnie 30 lat i nigdy nie widzieliśmy tego rodzaju przerażających („devastating"), spójnych ze sobą wyników. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że młodzi ludzie są w ogromnym kryzysie. Dane, które zbieramy, są po prostu krzykiem o pomoc".

Do równie alarmujących wniosków doszli brytyjscy badacze. W roku 2025 dziennik „The Guardian" opublikował artykuł zatytułowany „Jak COVID zmienił dzieci w Brytanii". Rachel de Souza, brytyjska Komisarz do spraw Dzieci, mówi w nim o „tsunami" problemów psychicznych dotykających dzieci od czasu lockdownu. „Pandemia COVID-19 wniosła niepewność w życie nas wszystkich, ale w wypadku dzieci zaburzyła ich edukację, zniszczyła nawyki i więzi społeczne w sposób, który wciąż zaczynamy dopiero rozumieć".

Nieliczne polskie statystyki dotyczące tego problemu rzadko opatrywane są wyjaśnieniami polskich polityków i uczonych. Według danych policji pośród grupy wiekowej 13–18 lat liczba prób samobójczych w roku 2018 wynosiła 746, rok później 905. W roku 2022 prób takich było aż 2008, a w roku 2023 życie usiłowało odebrać sobie aż 2054 nastolatków. Czyżby spowodował to Putin i wojna na Ukrainie?

Korelację pomiędzy lockdownami a wzrostem przemocy w szkołach odkrywa dziś nie badacz problemów zdrowotnych, lecz profesor historii. Wiele mówi to o naszych socjologach, lekarzach i politykach. Środowiskom medycznym „zamknięto gębę" budżetowymi pieniędzmi, zapewniając skokową podwyżkę wynagrodzeń. Politycy, na których spoczywała odpowiedzialność za zdrowie Polaków, zrzucają ją na zapomnianą i uwikłaną w podejrzane zależności Radę Medyczną. Ta, jako ciało doradcze, odpowiedzialności ponosić nie mogła. Medialni „celebryci" epoki pandemii zniknęli z ekranów telewizyjnych, w chwili gdy za sprawą Putina epidemia COVID-19 została przez polityków odwołana. Smutny los pokolenia polskich dzieci, podobnie jak setki tysięcy „nadmiarowych zgonów" w okresie pandemii, nie obchodzą obywateli na tyle, by rozliczenie covidowych decyzji przybrało, w przewidywalnej przyszłości, jakikolwiek realny kształt. Dla podżegaczy wojennych, straszących nas dziś nie gorzej niż za czasów pandemii, cechująca Polaków łatwość zapominania krzywd może stanowić zachętę i obietnicę bezkarności, cokolwiek się zdarzy. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Obóz demokratyczny i plebs



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Szanowny Pan Profesor Wojciech Sadurski, od niedawna zasiadający w dostojnym gremium kojarzonym z pięknym miastem nad laguną, raczył niedawno zauważyć na platformie X, że jednym z niewybaczalnych politycznych grzechów prezesa Jarosława Kaczyńskiego jest dopuszczenie do wywierania wpływu na państwo polskie przez „nieoświecony plebs".

Skoro jest „plebs nieoświecony", to idąc tropem myśli uczonego męża, należy domniemywać, że jest „plebs oświecony". Chyba nie zamieszkuje on w Pleszewie czy Świebodzinie, bo tam – jak wyjaśniał w 2019 r. Wielce Szanowny Pan Poseł Rafał Grupiński (aktualnie wicemarszałek Senatu – izby

Trzeba powiedzieć, że troska „oświeconego plebsu" o wartości demokratyczne i europejskie była i jest najwyższej jakości. Nawet nie pięcio-, ale ośmiogwiazdkowa

namysłu i rozwagi) – ludzie nie rozumieją i chyba nie zrozumieją, że jedną z najpilniejszych spraw do załatwienia w naszej Rzeczypospolitej jest sprawa „równouprawnienia ludzi LGBT". W tych „małych ośrodkach" żyje z pewnością „plebs nieoświecony".

No dobrze, ale gdzie szukać „plebsu oświeconego"? Może wśród uczestników tzw. czarnych marszów, które kilka lat temu przetaczały się przez polskie miasta i w ramach walki o rozdział Kościoła od państwa szturmowały świątynie, w których trwały nabożeństwa, a stróżów prawa (dzisiaj szczególnie chronionych przed „agresywnymi osobnikami z nożami w kieszeni") witały jędrnym, wyrażającym przywiązanie do reguł demokratycznego państwa prawnego „Wypierd…ć!"?

A może „oświecony plebs" ujawnił swoją troskę o neutralność światopoglądową państwa i wartości europejskie w pewną sierpniową noc 2010 r.? Pod krzyżem ustawionym na Krakowskim Przedmieściu grupa uśmiechniętych i mocno oświeconych obywateli urządziła „happening" (copyright by Donald Tusk), eksponując własny krzyż zrobiony z puszek po piwie i wznosząc – jak to na obywatelskich happeningach organizowanych dla „oświeconego plebsu" – dziarskie okrzyki w rodzaju: „Jest krzyż, jest zabawa!".

Duże ośrodki miejskie pełne ludzi z wyższym wykształceniem są naturalnym środowiskiem sprzyjającym ekspresji sentymentów proobywatelskich, demokratycznych i wolnościowych przez „plebs oświecony". W maju 2019 r. wypełnił on jedną z auli Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie oklaskiwał wygłaszane przez redaktora naczelnego pisma mającego w tytule słowo „Wolność!" (w tłumaczeniu na język polski) wywody o tym, że „zapasy ze świnią w błocie mają sens tylko wtedy, gdy się to lubi", a „rywalizacja na nienawiść na to, kto mocniej uderzy, kto znajdzie lepszą inwektywę, z przedstawicielami Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce nie ma sensu, dlatego że po paru minutach okazuje się, że ty cały jesteś umorusany w błocie, a druga strona jest w siódmym niebie".

Pierwsze eszelony „oświeconego plebsu", zasiadające tamtego dnia w uniwersyteckiej auli, z pełnym entuzjazmem oklaskiwały te jakże wolne od nienawiści i pozbawione nawet najmniejszego śladu inwektyw wywody wolnościowego dziennikarza.

Dwa lata później, w sierpniu 2021 r., „plebs oświecony" oklaskiwał wywody posła Sławomira Nitrasa o konieczności „opiłowywania katolików" w Polsce po tym, jak „obóz demokratyczny" przejmie władzę. Generalnie trzeba powiedzieć, że troska „oświeconego plebsu" o wartości demokratyczne i europejskie była i jest najwyższej jakości. Nawet nie pięcio-, ale ośmiogwiazdkowa.

Nic dziwnego, że takie wyczulenie na najważniejsze dla społeczeństwa obywatelskiego sprawy roznieca zapał, by bronić przestrzeni publicznej nie tylko przed znakami ekspansji państwa wyznaniowego (tutaj przedstawiciele „plebsu oświeconego" biorą sprawy w swoje ręce, wycinając raz po raz przydrożne krzyże), lecz także ekspansją niesłusznych, mało europejskich sieci handlowych. Dość wspomnieć w tym kontekście obywatelską czujność mieszkańców Wilanowa zniesmaczonych perspektywą otwarcia tam jednego ze sklepów z sieci Dino, która – tak, trzeba mieć tego świadomość – grasuje w takich miejscowościach jak Pleszew czy Świebodzin.

Mądry nauczyciel akademicki potrafi inspirować. Zachęca, by czytać więcej. Takim profesorem jest Wojciech Sadurski. Pod wpływem jego słów o „nieoświeconym plebsie" sięgnąłem do Chestertona. W swojej „Obronie świata" napisał: „Historia uczy, że istnieje na świecie pewna grupa ludzi, którzy wykazują osobliwy i wybujały talent do mylenia się na wszelkie możliwe sposoby – i jest to właśnie grono wybitnych intelektualistów". ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

GRA



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gry wojenne – scenariusze konfliktów rozgrywanych na sucho. W polityce i biznesie też stosuje się gry. A w co gra Trump?

Uchylił część sankcji nałożonych na Rosję. Demokraci podnieśli wrzask, że Trump staje po stronie bandyty. I na tym wrzasku koniec (trwał kilka dni), bo teraz cały świat, w tym Unia Europejska, cieszy się (po cichu) i czeka na spadek ceny diesla na rynkach światowych.

Sankcje powodowały wzrost cen na światowych giełdach i nic więcej. Ruski diesel nadal był kupowany, ale zrobił się droższy, bo trzeba go było importować z udziałem pośredników. Oligarcha rosyjski nadal dostarczał towar do Niemiec, ale z powodu sankcji robił to za pośrednictwem jakiegoś oligarchy w Kazachstanie. Niekiedy po drodze do Niemiec oligarchów było kilku, w kilku krajach. Każdy z nich chciał zarobić. Sankcje powodowały, że Niemcy płacili więcej na pompach, a w tym czasie Putin nadal prowadził swoją wojnę plemienną z Ukrainą. Sankcje to gra pozorów – Niemcy wciąż płacą Putinowi, tyle że korzystają z pośredników.

Żona do męża: Dawałeś tej dziwce jakieś pieniądze, zdrajco?

Mąż: Nie zapłaciłem tej pani ani grosza.

Technicznie wszystko się zgadza, bo forsę dostawał alfons.

***

Sankcje pozwalały zarabiać pośrednikom w różnych podejrzanych krajach i powodowały wzrost cen na rynku globalnym. Wszyscy płacili więcej, nawet ci, którzy nie byli zainteresowani karaniem Putina.

W Unii Europejskiej reakcja na ruch Trumpa jest wyjątkowo spokojna. Zniesienie sankcji obniża ceny wszędzie, czyli zniesienie sankcji leży w interesie wszystkich. Drożyzna nie opłaca się nikomu.

Kolejne sankcje były nieskuteczne – po pierwszej transzy wprowadzano kolejne i było ich ponad 20. Po co kolejne sankcje? Bo poprzednie nic nie dały. A skoro wszystkie kolejne okazują się nieskuteczne, to po co one w ogóle są? Zwiększają drożyznę w Europie i USA, ale Putinowi nie zaszkodziły. Trump postanowił przerwać tę grę pozorów, a Unia się UCIESZYŁA, że zrobił to za nich.

***

W co gra świat? Najbardziej popularną grą w Unii Europejskiej jest piłka nożna. To ustawia europejskie wzory myślenia. Gra w piłkę nożną jest drużynowa. Gdy wygrywamy, to „myśmy wygrali", gdy przegraliśmy, nie ma winnych – po prostu całej drużynie nie poszło. W sportach drużynowych trudniej o osobistą odpowiedzialność jednostki. Unia Europejska gra w piłkę nożną.

W Chinach najbardziej popularne gry to kilka odmian szachów oraz Go. Szachy znamy – bitwa dwóch armii i chodzi o pozbawienie króla możliwości ruchu.

Gra Go polega na tym, żeby otoczyć przeciwnika i przejąć jego terytorium. Chińczycy tak właśnie grają, do tego typu rozgrywek są przyzwyczajeni. I to widać w ich grach geopolitycznych – otoczyć, przejąć, zablokować ruchy przeciwnika.

Szachy są też bardzo popularne w Rosji i kształtują wzory myślenia o rozgrywkach politycznych. Cierpliwe wykańczanie przeciwnika, zaplanowane na wiele ruchów do przodu, oparte na wprowadzaniu w błąd, blokowaniu oraz na serii morderstw, gdy kolejne figury spadają z szachownicy. W Rosji tak właśnie wygląda polityka – kłamstwo to norma, a kolejne figury spadają po wypiciu herbatki. Rosja gra w szachy.

A jakie są najbardziej popularne gry w Ameryce? Bilard, kręgle i golf. W każdej z tych gier nie chodzi o planowanie ruchów do przodu – liczy się ten jeden ruch wykonywany teraz; i nie interesuje nas, co w tym czasie robi przeciwnik. Skupiamy uwagę na tym, że to ja mam wygrać, a nie na tym, jak utrupić przeciwnika, jak mu przeszkadzać, czym mu szkodzić. W Ameryce rozgrywka jest nastawiona na sukces własny, a nie na porażkę innych. Amerykanie wygrywają przez bycie lepszym, a nie przez szkodzenie konkurentom.

Przykład:

W tej chwili trwa wyścig USA z Chinami dotyczący AI. Ameryka gra w ten sposób, że wymyśla coraz lepsze algorytmy. Chiny grają w ten sposób, aby niszczyć algorytmy konkurentów oraz kraść własność intelektualną przeciwnika. Oba sposoby prowadzą do tego samego celu. Jeden zawiera element niszczenia innych, drugi skupia się na wyprzedzaniu przeciwnika.

***

Po co te dywagacje? Chodzi o zrozumienie mentalności.

W Europie obowiązuje mentalność kolektywna – nawet dyktatorzy potrzebowali jakiegoś kolegium, komitetu lub rady, aby ich decyzje nie były jednoosobowe.

W USA panuje mentalność indywidualistyczna i dlatego oni wybierają sobie prezydenta, który ma potem konstytucyjne uprawnienia tak szerokie jak dyktator. Gdy się gra w golfa, bilard lub w kręgle, gra się indywidualnie i samodzielnie podejmuje się decyzje.

Amerykanie są sprawni w zarządzaniu, bo zarządzanie wymaga decyzji szybkich i samodzielnych. Europa jest niesprawna w zarządzaniu, bo do wszystkiego potrzebuje kolegiów, komitetów, Rady Unii Europejskiej, Komisji Europejskiej – w UE rządzą organy, w USA – jednostki.

***

Świat jest przyzwyczajony do tego, że polityka to gra w szachy – planowanie wielu ruchów do przodu i ciągłe analizowanie, co zrobi przeciwnik. Trump ich ogrywa, bo gdy oni grają w szachy, on z nimi gra w bilard. Po każdym uderzeniu dziennikarze pytają Trumpa, co ma zamiar robić dalej, a on gra w bilard, więc u niego zawsze „wszystkie opcje są na stole", a o kolejnym ruchu decydujemy po obejrzeniu rezultatów ruchu poprzedniego. Mam wbić tę kulę do dziury – to jest mój cel, a z której strony podejdę z kijem – jeszcze sam nie wiem.

Na stole jest zbiór kul (spraw do załatwienia). Każda z nich ma docelowo zniknąć ze stołu jako załatwiona. Dla Trumpa jest obojętne, w jakiej kolejności to zrobi. On wykonuje zawsze tylko jeden ruch, ponieważ po każdym ruchu układ kul na stole się zmienia. Świat gra w szachy, a Trump gra ze światem w bilard. ©℗

eprasa.pl 03a9f32532

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

BP ATHANASIUS SCHNEIDER: „UCIECZKA OD HEREZJI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~617~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 326 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

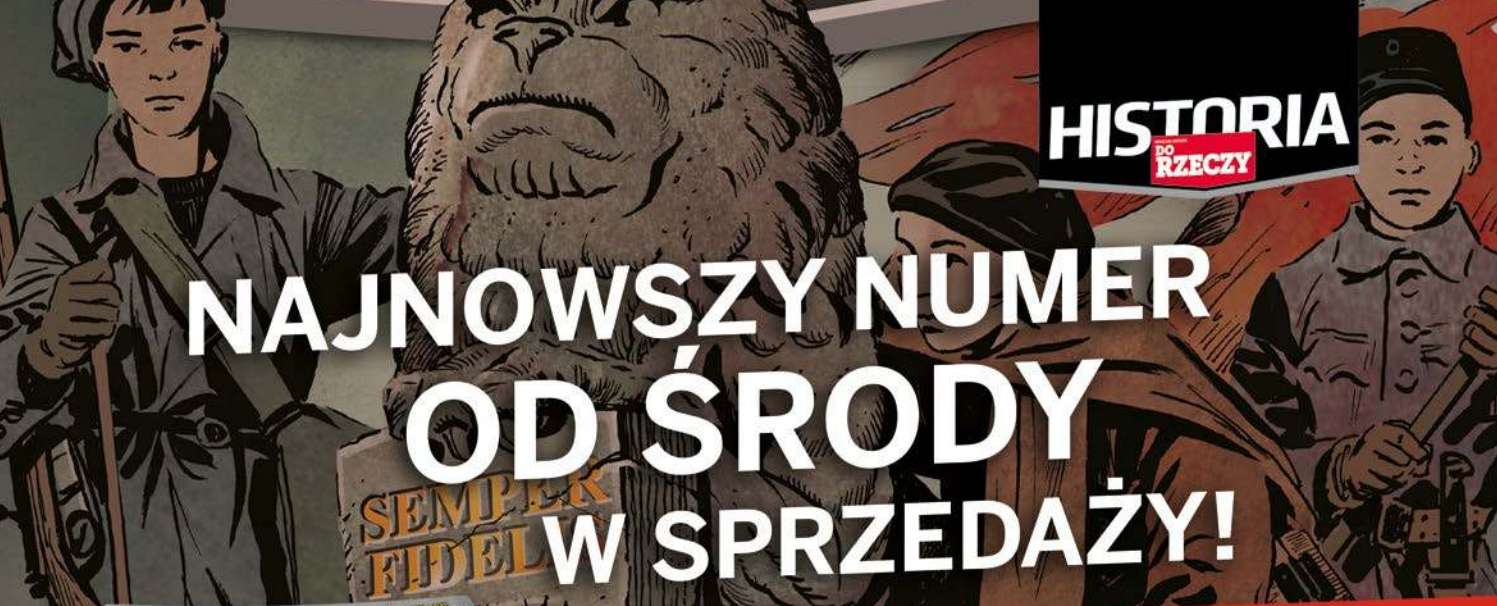
CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 03a9f32532



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



LWOWSKA EPOPEJA

„SEMPER FIDELIS" W OGIEŃ ZA POLSKĄ „To właśnie tam padły pierwsze strzały w obronie odradzającej się Polski. Lwów bardzo szybko stał się swego rodzaju wyrzutem sumienia dla tworzących się władz centralnych" – mówi prof. Damian Karol Markowski, autor książki „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918"

SERCE GALICJI, OSTOJA POLSKOŚCI Status autonomiczny Galicji, z Lwowem jako jej sercem, odegrał niezwykle istotną rolę w przetrwaniu narodu w epoce rozbiorów – pisze Tomasz Stańczyk

ŻĄDZA MAGELLANA „Wyczyn garstki członków ekspedycji Magellana można porównać chyba tylko do powrotu na Ziemię astronautów z Apollo 11 – mówi Roger Crowley, brytyjski pisarz, autor książki „Walka o przyprawy"

MISJA NIEMIECKIEJ KRÓLOWEJ POLSKI Przez całe wieki nasza historiografia wyrażała się o Rychezie niepochlebnie, przypisując jej zdradę. Jednak w końcu nasi historycy zaczęli patrzeć na nią bardziej łaskawym okiem – pisze Leszek Lubicki

ZAGINIONA WARSZAWA PRUSA Pisarz walczył o poprawę życia mieszkańców miasta, w którym umieścił akcję „Lalki" – pochylał się nad losem biednych dzieci i wspierał inicjatywy dobroczynne – podkreśla Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 03a9f32532